

JACEK PULIKOWSKI

SYCHAR

WYGRAĆ TRUDNE
MAŁŻEŃSTWO



SYCHAR

JACEK PULIKOWSKI

SYCHAR

Wygrać
trudne małżeństwo



Redakcja: Andrzej Szczepaniak

Korekta: Karolina Kalinowska

Projekt okładki i łamanie: Marcin Prokop

Fotografia na okładce:

© pixabay.com

Imprimatur: Kuria Metropolitalna w Krakowie, nr 1174/2020 z dnia 28 maja 2020 roku,
podpisał bp Janusz Mastalski

Wydanie I

Copyright © Wydawnictwo Fides, Kraków 2020

ISBN 978-83-61860-94-5



Wydawnictwo Fides, ul. Kozienicka 17, 30-397 Kraków
tel. 605 416 946, e-mail: fides@wydawnictwofides.pl
www.WydawnictwoFides.pl

WSTĘP

Zdaję sobie sprawę, że sięgnie po tę książkę wiele osób, których życie nie wygląda różowo. Także to życie sakramentalne, małżeńskie. Żyjąc w katolickim małżeństwie, niejednokrotnie mamy możliwość przekonać się aż nadto wyraźnie, że sakrament wcale nie gwarantuje życia bezproblemowego i lekkiego. Nie, on jest gwarancją czegoś o wiele, wiele cenniejszego: że we wszystkim, cokolwiek nas spotyka, jest obecny żywy Bóg, Jezus Chrystus. Bóg zawsze daje nam jakąś trudność, a my nie zawsze rozumiemy, dlaczego. Mimo to powinniśmy wierzyć, że trudności mają sens, one są darem i łaską, jak wszystko, cokolwiek otrzymujemy – bo poprzez trudności mamy wzrastać do świętości.

W małżeństwie sakramentalnym mamy jeszcze jedną gwarancję. Jeżeli oboje „uczepimy się” Boga i Jego łask sakramentalnych, to przetrwamy wszystkie burze i nawałnice. Mamy to obiecano w przypowieści o domu na skale. Dom się ostoja, bo na skale jest zbudowany. W innym miejscu otwartym tekstem jest napisane: „Skałą jest Chrystus” (por. 1 Kor 10,4).

Potwierdza to życie. Pary małżeńskie, które nieprzerwanie chodzą co niedziela na Mszę świętą rozwodzą się niezwykle rzadko, a te, które dodatkowo modlą się wspólnie codziennie praktycznie się nie rozwodzą. Precyzyjnie można by powiedzieć, że pary, które zachowują przykazania i naukę Chrystusa

nie rozwodzą się nigdy. Wszak sam Jezus powiedział: „co Bóg złączył człowiek niech nie rozdziela”. To, że katolicy, nawet ci praktykujący, czasem się rozwodzą zawsze wynika z odejścia od przykazań (najczęściej od : „nie cudzołóż”). Pary, które „kiedyś” chodziły do kościoła i przestępowały do sakramentów i „kiedyś” się wspólnie modliły po zerwaniu z tymi praktykami, oczywiście się rozwodzą. Najczęściej zerwanie z praktykami poprzedzone jest praktycznym odejściem od przestrzegania przykazań. W mojej ponad czterdziestoletniej praktyce pracy z małżeństwami przeżywającymi kryzysy zawsze sytuacja rozwodowa poprzedzona była odejściem od Boga przynajmniej jednego z małżonków. Nie spotkałem ani jednego rozwodu pary, która mimo poważnych trudności w małżeństwie nie zaprzestała codziennej wspólnej modlitwy.

Oczywiście, jasne jest, że małżeństwa, które się modlą, chodzą do kościoła, korzystają z łask sakramentalnych, też przeżywają jakieś, większe lub mniejsze, trudności. Trudności nas nie ominą – to jest otwarcie powiedziane w Piśmie Świętym. Pokonane wspólnie trudności w gruncie rzeczy są dobrodziejstwem, bo cementują więź. Nic tak nie łączy ludzi jak wspólnie pokonane trudności.

Każdego więc, kto tych słów moich słucha i wypełnia je, można porównać z człowiekiem roztroprnym, który dom swój zbudował na skale. Spadł deszcz, wezbrały potoki, zerwały się wichry i uderzyły w ten dom. On jednak nie runął, bo na skale był utwierdzony. Każdego zaś, kto tych słów moich słucha, a nie wypełnia ich, można porównać z człowiekiem nierozsądnym, który

dom swój zbudował na piasku. Spadł deszcz, weszły potoki, zerwały się wichry i rzuciły się na ten dom. I runął, a upadek jego był wielki (Mt 7,24-27).

Wichry i nawałnice będą zawsze, tego się nie da uniknąć. Dlatego, tak naprawdę, nie mamy innego wyjścia, jak tylko uczepić się skały, przyłgnąć do Boga, przyłgnąć do Maryi, przyłgnąć do Kościoła (jedyne go pośrednika i szafarza łask sakramentalnych) i trwać.

Mam jeszcze jedną optymistyczną prawdę wynikającą z wieloletniego doświadczenia pracy z małżeństwami przeżywającymi kryzysy. Otóż nawet gdy oboje małżonkowie pogubili się, odeszli od Boga i Jego przykazań i poranili się nawzajem bardzo mocno, to zawsze jest jeszcze nadzieja. Jeżeli oboje się nawrócą, zaczną od spowiedzi, powrócą do modlitwy, porzuconych praktyk religijnych i łask sakramentalnych to... dzieją się prawdziwe cuda. Mogę potwierdzić z mojego doświadczenia pracy z małżeństwami, że każde małżeństwo sakramentalne jest do uratowania. Więcej, może dojść po nawróceniu obojga do prawdziwej świętości (i to wcale nie przez męczeństwo).

Jest jednak druga strona tego medalu. Małżeństwa nie da się wygrać w pojedynkę. Można (i trzeba) dochować wierności małżeńskiej nawet gdy małżonek zdradzi i odejdzie. Można (i trzeba) się za niego modlić wytrwale, nawet aż do śmierci, ale wygrać małżeństwa w pojedynkę się nie da. Dlatego tak ważne jest gruntowne rozeznanie co do osoby, z którą wiąże się na całe życie i od której w dużej mierze może zależeć moja i jej wieczność.

Jednak ponad wszystko musimy wiernie trwać na straży nierozzerwalności ważnie zawartych sakramentalnych małżeństw i to nie tylko własnych. Niezależnie od tego, co robi współczesny pogubiony, bezbożny i wynaturzony świat. Bo to my mamy rację, nie świat.

ZAGUBIENIE ŚWIATA

A co się dzieje w tym biednym świecie? Małżeństwa rozpadają się na potęgę. Promuje się związki jedнопłciowe i nazywa je „rodzinami” (i nadaje nadzwyczajne przywileje do adopcji dzieci włącznie) mimo że są biologicznie niezdolne do rodzenia. Są niepłodne nie tylko fizycznie, ale też psychicznie i duchowo. Za odmowę w pośredniczeniu w adopcji dla takich par zakazano działalności wielu katolickim ośrodkom adopcyjnym. (Podobnie zamknięto wiele szpitali katolickich za jednoznaczny odmowę zabijania dzieci nienarodzonych przez tzw. aborcję. Znajomemu księdzu w Szwajcarii zamknięto kaplicę szpitalną za to, że ktoś tam odważył się modlić w intencji obrony życia nienarodzonych dzieci.) Przykładowo, w Kanadzie od kilkunastu lat istnieje prawo mówiące, że do każdej szkoły, również katolickiej, dyrektor musi wpuścić na spotkanie pary homoseksualne¹, by opowiedziały o swojej „miłości”. Pary heteroseksualne nie mają takiego prawa – ale homoseksualne tak. Druga ilustracja: gdy w Parlamencie Unii

¹ Zob. dokument watykański Kongregacji Nauki Wiary pt. „Uwagi dotyczące projektów legalizacji związków między osobami homoseksualnymi”. Pełny tekst podany jest na końcu książki i na stronie watykańskiej: http://www.vatican.va/roman_curia/congregations/cfaith/documents/rc_con_cfaith_doc_20030731_homosexual-unions_pl.html.

Europejskiej została podjęta ustawa o potępieniu holokaustu w Auschwitz, wymieniono w niej cztery grupy: Żydzi, Romowie, homoseksualiści i Polacy. W tej kolejności. Żydów w Oświęcimiu zginęło ponad milion sto, Romów dwieście kilkadziesiąt tysięcy, homoseksualistów kilkudziesięciu, Polaków – siedemdziesiąt tysięcy. A zatem, zgodnie z tą kolejnością, kilkudziesięciu homoseksualistów jest większą stratą dla świata niż siedemdziesiąt tysięcy Polaków! Piszę to, oczywiście, z ogromnym szacunkiem dla absolutnie każdego, kto stracił tam życie – ale to pokazuje, jak silne jest lobby lansujące wynaturzony model życia.

Już wspomniałem, że dziś na świecie zamyka się katolickie ośrodki adopcyjne, ponieważ odmawiają one przyznawania praw do adopcji parom homoseksualnym. Słyszałem o małżeństwie, które zostało skreślone z listy oczekujących na adopcję, ponieważ w trakcie rozmowy kwalifikacyjnej na pytanie, czy jeśli dziecko odkryje w sobie skłonności homoseksualne, będą promować jego rozwój w tym kierunku. Odpowiedzieli zdecydowanie, że nie, że poddadzą terapii, by mogło zaakceptować w pełni swą obiektywną płć. A kilka lat temu w Wielkiej Brytanii odebrano dzieci wychowującym je własnym, rodzonym dziadkom pod zarzutem... nadopiekuńczości i oddano do adopcji parze homoseksualistów! I nie jest to jeden, odosobniony przypadek. To lobby jest nieprawdopodobnie silne (i znacząco dofinansowywane) i wiele się jeszcze nacierpimy z tego powodu.

Przy tej okazji trzeba jasno powiedzieć, że opracowane są terapie dla osób z zaburzoną postrzeganiem seksualności. Niewiele wiemy o tym, bo władze szpitali i uczelni, członkowie rad miejskich nie wpuszczają na swój teren takich

terapeutów, nie dają im możliwości działania. Ale prawda jest taka, że ci terapeuci zajmują się terapią od kilkudziesięciu już lat, wyleczyli rzesze ludzi, ich pacjenci (nierzadko niegdyś czynni homoseksualiści) pozakładali rodziny, mają dzieci. Dziś na zachodzie oficjalnie zabrania się prowadzenia terapii osób o zaburzonej orientacji psychoseksualnej w kierunku homoseksualizmu. W Lublinie funkcjonuje wspólnota terapeutyczna „Odwaga”² dla osób z takimi zaburzeniami. Jej opiekunem jest kapłan. Rozmawiałem z nim kiedyś. Składał wniosek o fundusze na dofinansowanie działalności – i już, już miał dostać, gdy nagle ktoś doczytał, że on nie propaguje homoseksualizmu, tylko go leczy. Nie dostał ani złotówki, oczywiście.

Przez lata poprzedzające grudzień 1973 roku nikt nie miał wątpliwości, że homoseksualizm jest chorobą zaburzenia orientacji psychoseksualnej. Wydano w Polsce i na świecie setki naukowych publikacji o tym, że homoseksualizm jest chorobą – a mimo to kiedyś, jednego dnia, mocą „decyzji” Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego „przesłał” nią być, tak po prostu. Za niedługo okaże się, że to nas, jako heteroseksualnych katolików, należy leczyć. A prawda jest taka (tego też się nie podaje do wiadomości ogółu), że w populacji całego świata zaledwie kilka procent ma zaburzoną orientację psychoseksualną – a w tym gronie ogromna większość z tego powodu cierpi, niestety nie otrzymując potrzebnej pomocy. (W wielu krajach wręcz zakazana jest terapia osób

² Zob. www.odwaga.org.pl. W Polsce działa też uznawana przez Kościół katolicki Fundacja „Strumienie życia – Polska” (www.strumieniezycia.pl), która pomaga osobom mającym trudności w zrozumieniu i respektowaniu własnej tożsamości płciowej: www.strumieniezycia.pl/historia-programu/dekrety/.

z zaburzeniami orientacji psychoseksualnej.) Zwykle ukrywają swoje skłonności, nierzadko żyjąc w małżeństwach heteroseksualnych. Natomiast mały odsetek z nich to hałaśliwi, rzucający się dziś tak w oczy członkowie ruchu LGBT, którzy walczą tak naprawdę o szerzenie i społeczną akceptację rozwiązłości seksualnej. Czyli o akceptację ich stylu życia. Rozwiązłość seksualna powoduje szerzenie się chorób przenoszonych drogą płciową (w tym AIDS). Nic dziwnego, że w środowiskach propagujących rozwiązłość i czynnie ją uprawiających ponad przeciętnie szerzą się choroby przenoszone przez aktywność seksualną z wieloma partnerami. Zresztą, nie od dziś wiadomo, że przeciętny czynny homoseksualista żyje znacznie krócej niż mężczyzna heteroseksualny. (Właśnie z powodu rozmaitych chorób zakaźnych, na jakie jest narażony). Mówiąc brutalnie i nazywając rzeczy wprost, kobieca pochwa jest fizjologicznie przystosowanym, bakteriobójczym środowiskiem – a męski odbyt nie. Mieszanina spermy, kału i krwi (odbyt niejednokrotnie pęka) jest najlepszym środowiskiem do przekazania chorób zakaźnych.

Mitem jest też twierdzenie, że związki homoseksualne są bardziej trwałe i wierne. Geje sami w swoich pismach podają, że przeciętny czynny homoseksualista ma kilkuset „partnerów” w życiu. Pewien młody mężczyzna, który był uzależniony od pornografii i miał zaburzenia homoseksualne, pracował jako kamerzysta w filmach porno z udziałem męskich par homoseksualnych. Co go wyleczyło? Któregoś dnia, po zakończeniu ujęć, wszedł do szatni „aktorów” i ujrzał ich, jak uprawiają seks grupowo, każdy z każdym. Dostał takiego obrzydzenia, że doznany szok spowodował w nim głębokie nawrócenie. Teraz chłopak jest w drodze do zdrowienia i normalności.

Jakkolwiek zabrzmiało to humorystycznie, przyznam, że bardzo mi się spodobała informacja, że w Moskwie zakazano parad homoseksualistów do 2112 roku włącznie³. W 2012 roku wystąpiono bowiem do władz miasta z wnioskiem o zgodę na sto organizowanych raz w roku parad – a zatem, w kluczu znanej nam w Polsce dobrze logiki rosyjskich urzędników, władze Moskwy w odpowiedzi udzieliły zakazu – na sto najbliższych lat. Nawet tam, chciałoby się rzec, dzieją się dobre rzeczy... Sprawa jest jednak bardzo poważna. Kolejnym problemem jest tzw. „zmiana płci” Patrząc czysto zdroworozsądkowo muszę uznać, że w każdej, ale to w absolutnie każdej komórce mojego ciała jest zapisana moja płeć przez chromosomy XY. Mogę sobie poobcinać narządy, podorabiać protezy; można mnie przerobić hormonalnie, zmienić metrykę – i tak zapisu genetycznego się nie przerobi. Jestem – i na zawsze pozostanę – tym, kim powołał mnie do istnienia mój Stwórca. Mężczyzną! I tylko jako mężczyzna mogę być szczęśliwy. Tak więc prawdziwą pomocą jest terapia zaburzeń, a nie dawanie człowiekowi złudzeń, że może stać się kimś innym niż jest obiektywnie. Modna i promowana ideologia (nie nauka) gender sieje w tym względzie ogromne zamieszanie.

MAŁŻEŃSTWA HETEROSEKSUALNE (NORMALNE)

Powróćmy do rozważań na terenie normalności. Do małżeństw heteroseksualnych, gdzie też wiele złego się dzieje. Ludzie grzeszą, zdradzają się, rozwodzą... Jednak, żeby móc

³ <https://wiadomosci.onet.pl/swiat/rosja-zakazano-parad-gejowskich-do-2112-roku/r482b>.

żyć całkowicie niezgodnie z przykazaniami, trzeba wcześniej odejść od Boga. Jeżeli pojawia się pokusa grzechu, zawsze istnieją dwie możliwości: albo nie zrobię tego i wracam do przykazań (również po upadku), albo odrzucam przykazania i robię to, na co mam ochotę. Tak odchodzimy od Boga, od Kościoła, od wiary – i tak też odchodzimy od siebie nawzajem. Tak (i praktycznie tylko tak), rozpadają się małżeństwa. Tak więc trzymając się Boga i przykazań sakramentalni małżonkowie nigdy nie odejdą od siebie. Jednakże, aby to prawo w związku małżeńskim zadziało, potrzeba takiej postawy serca (trwania przy Bogu i przykazaniach) u obojga małżonków. Sakrament małżeństwa to jedyny z siedmiu darowanych nam przez Kościół katolicki sakramentów, który dotyczy dwóch osób jednocześnie. Tak więc ponawiam twierdzenie, że do przetrwania małżeństwa, więcej do coraz lepszego funkcjonowania małżeństwa potrzeba, by oboje utrzymali się przy Bogu i oboje korzystali z łask sakramentalnych, w tym z łask sakramentu małżeństwa. To jedyna pewna gwarancja na stale rosnące szczęście małżeńskie i rodzinne.

W naszym, trwającym już ponad czterdzieści lat, małżeństwie, występuje totalna różnica temperamentów: żona jest spokojna, ja jestem, mówiąc delikatnie, nerwus. Jest to zauważalne do tego stopnia, że nasze dzieci utworzyły w domu dwa kluby: klub raptusów i klub powolniaków. Mogłoby się zatem wydawać, że przy tak ogromnej różnicy temperamentów ciężki kryzys małżeński jest nie do uniknięcia. W końcu argument o tak zwanej „niezgodności charakterów” jest statystycznie najczęstszym uznawanym przez sądy powodem do orzekania o rozwodzie. A jednak przez wszystkie te lata nie było u nas tego, co dzisiaj nazywa się kryzysem małżeńskim.

Kryzys nigdy nie przetrwał nocy w naszym małżeństwie. To realizacja słów św. Pawła: *Gniewajcie się, a nie grzeszcie: niech nad waszym gniewem nie zachodzi słońce!* (Ef 4,26). Dlaczego? Podam prosty przykład, doskonale obrazujący tę sprawę. Któregoś razu, nie pamiętam już zupełnie, o co, rozgniewałem się na żonę mocno. Wyszedłem z domu z „mocnym” postanowieniem, że więcej tam, do niej, nie wrócę – wobec tego chodziłem wokół osiedlowego śmietnika, wkurzony. Trwało to dziesięć, może piętnaście minut. Potem zdrowy rozsądek zwyciężył. Wróciłem do domu – ale nadal byłem wkurzony. Nadszedł wieczór i, zgodnie z codzienną praktyką, uklękliśmy oboje do wspólnej, wieczornej modlitwy. Ukląknęliśmy do tej modlitwy obok żony jeszcze w tym gniewie – i po kilku chwilach para ze mnie zesza! Nie da się, uwierzcie, naprawdę nie jest możliwe szczerze i z serca pomodlić się wspólnie i nadal czuć na sobie gniew! Wystarczy, że wspólnie uklękniecie i powiecie razem:

– ... i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom – to wystarczy.

Na jakiej zasadzie to działa? Czy jest to jakaś magiczna sztuczka? Nie, jest to całkowicie uzasadnione psychologicznie. Przyzwoity człowiek nie jest w stanie (na szczęście) wypowiedzieć słów „i odpuść na nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom” w gniewie na klęczącą obok osobę. Jeśli przyjdą chwile ciężkie, nie uklęknie do modlitwy, jeśli się najpierw wewnętrznie nie przełamiesz. Musisz się jakoś przymusić – i to, jak się okazuje, już wystarcza. Jednak tu nie chodzi tylko o względy psychologiczne. Łaska Boża działa. Modlitwa posiada wielką moc – również i moc przemiany ludzkich serc. Sprawdziłem na sobie, wiem, co piszę. I już

samo to wystarczy, żeby małżeństwo przetrwało aż do śmierci. Nie chciałbym, oczywiście, sprowadzić modlitwy do swoistej, duchowej polisy ubezpieczeniowej na udane małżeństwo. Ale wiercie mi, że za tym pójdzie coś więcej. Ludzie, którzy razem się modlą, zawsze zbliżają się do siebie, ponieważ zjednoczenie z Bogiem na modlitwie buduje jedność w Nim.

Piękne świadectwo dało małżeństwo z dwudziestoletnim stażem, z czwórką dzieci. „Przed ślubem postanowiliśmy, że nie położymy się spać nie odmówiwszy jednego *Ojciec nasz* wspólnie. (Polecam tę praktykę od kilkudziesięciu lat.) Ani razu nie złamaliśmy tej zasady, ale kilka razy zdarzyło się... że wcale nie poszliśmy spać”. Byli tak na siebie wściekli, że nie potrafili klęknąć koło siebie, ale konsekwentnie nie położyli się spać. Tak, radykalne przestrzeganie ustalonych, dobrych zasad daje gwarancję sukcesu. Są wspaniałym małżeństwem zaangażowanym we wspólnocie Kościoła Domowego.

Muszę w tym miejscu podkreślić, że zawsze staram się pamiętać o tym, jak wiele nasze małżeństwo otrzymało dobra już na samym starcie. Bo prawdą jest, że nasz związek dojrzewał w cieplarnianych warunkach. Oboje pochodzimy z wierzących, katolickich rodzin. Moja żona jest najstarsza z piątki rodzeństwa, więc macierzyństwo wyćwiczyła już jako dziecko. U mnie w domu była nas trójka rodzeństwa, nie było niedzieli, żebyśmy razem z rodzicami nie poszli wszyscy do kościoła. Ponadto, solidnie zostaliśmy przygotowani do małżeństwa przez wspaniałych ludzi z Duszpasterstwa Rodzin. (Krótco po ślubie, niejako spłacając dług, sami zaczęliśmy w nim działać. Myślę, że tak już będzie do końca życia. Dopóki wystarczy sił.) Gdy o tym myślę, jak wspaniałe duchowe warunki mieliśmy już na starcie, raz po raz przychodzi mi do

głowy przypowieść o talentach. Bo oto dostaliśmy za darmo, za nic, na samym starcie talenty. I mamy je cały czas, jesteśmy tak zwanym przyzwoitym, katolickim małżeństwem. Ale czy ja te talenty pomnożyłem, czy podniosłem to, co dostałem, na wyższy poziom? Czy na końcu nie okaże się tak, że ten, który gdzieś, tam, w swoim małżeństwie, ledwo, ledwo przetrzymał – a może nawet nie wytrzymał, załamał się, ale wrócił – nie okaże się lepszy ode mnie, bo się bardziej starał...? Bo więcej włożył swego trudu... Czy mogę być pewien, że w ostatecznym rozrachunku będzie ze mną tak, jak z tym sługą, dobrym i wiernym, który usłyszał: *Dobrze, słuگو dobry i wierny! Byłeś wierny w rzeczach niewielu, nad wieloma cię postawię: wejdź do radości twego pana!* (Mt 25,21)? Oby nie tyczyły się mnie słowa Jezusa:

Odrzekł mu pan jego: «Słuگو zły i gnuśny! Wiedziałeś, że chcę żąć tam, gdzie nie posiałem, i zbierać tam, gdzie nie rozsypałem. Powinieneś więc być oddać moje pieniądze bankierom, a ja po powrocie byłbym z zyskiem odebrałem swoją własność. Dlatego odbierzcie mu ten talent, a dajcie temu, który ma dziesięć talentów. Każdemu bowiem, kto ma, będzie dodane, tak że nadmiar mieć będzie. Temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma. A słuگو nieużytecznego wyrzucicie na zewnątrz – w ciemności! Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów» (Mt 25,26-30).

Również i z dziećmi – a mamy ich trójkę – aż do ich dorosłości nie wszedłem nigdy na drogę poważnego kryzysu

relacyjnego. Żyję w tym szczęśliwym położeniu, że wszystkie nasze dzieci kroczą ścieżkami Bożymi i żyją w przyjaźni z Bogiem. Owszem, bywały trudne chwile związane z ciężkimi chorobami, ale to odmienny temat. Dlatego właśnie, świadomy tego, jak hojnie zostałem obdarowany, ze wszystkich sił staram się dzielić otrzymanym dobrem z innymi. To ogromne błogosławieństwo Boże, że nasza rodzina nie przeżyła nigdy kryzysu wiary, kryzysu relacji z Bogiem i relacji wzajemnej. To zobowiązuje mnie cały czas do tego, aby dobro rozdawać innym, aby nie zatrzymywać łaski tylko dla siebie.

1. GWAŁCENIE PRAWA NATURY

NISZCZENIE KATOLICYZMU W ŚWIECIE

Zyjemy w czasach, gdy scenariusze dawnych filmów science-fiction stają się rzeczywistością wprost, na naszych oczach. W XXI wieku, gdy można sobie wszystko wstrzyknąć, odciąć, dosztukować, cytaty ze słynnej *Seksmisji* – jak choćby ten, który wykrzyczał główny bohater: „Nie gwałćcie prawa natury!” – nie są już ani tak irracjonalne, ani tak śmieszne. I trudno sobie nie zadać pytania, co będzie później, w przyszłości? Jakie problemy w relacjach między mężem i żoną, kobietą i mężczyzną będą miały za dwadzieścia, trzydzieści lat dzisiejsze dzieci, wychowywane w ten sposób, zakażone ideologią gender? Strach się bać. Aby odpowiedzieć sobie na to pytanie, trzeba w pierwszej kolejności sięgnąć do genezy obecnych problemów. Zapytajmy, skąd się wzięły te kłopoty, które jako dorośli mamy dzisiaj? W tym celu trzeba się cofnąć o ponad jedno pokolenie.

Jak uczy historia, wszystkie wielkie cywilizacje, które upadły, upadły politycznie i gospodarczo dlatego, że doświadczyły najpierw upadku moralnego. Rozkład moralny zawsze stał u podłoża upadku wszystkich znanych wielkich cywilizacji w historii ludzkości. I zawsze charakteryzował się on rozwiązłością seksualną. Zawsze ten sam scenariusz. Mamy od Boga obietnicę, że siły piekielne nie przemogą Kościoła. To prawda.

Ale nikt nie powiedział, że w Europie. Może w tak zwanym Nowym Świecie? Może nasz kontynent jest skazany na wchłonięcie przez muzułmanów?

W 1571 roku obroniliśmy Europę przed zalewem islamu pod Lepanto, cudem ewidentnym, gdy wiatr zmienił kierunek i zmiotł flotę nie do pokonania. Stało się to po tym, jak Ojciec Święty Pius V zarządził, aby na wszystkich statkach chrześcijańskich codziennie spowiadano, sprawowano Eucharystię i odmawiano różaniec. Dzień zwycięstwa, 7 października ogłosił później świętem Matki Bożej Różańcowej.

W 1683 roku obroniliśmy Europę po raz drugi, pod Wiedniem. Udając się ze słynną odsieczą wiedeńską, polski król Jan III Sobieski najpierw pojechał na Jasną Górę i trwał tam na modlitwie cztery dni, chociaż wiadomo było, że liczy się każda minuta. Potem rozpoczął wymarsz na czele około dwudziestu sześciu tysięcy wojska polskiego. Pod oblężonym Wiedniem dołączyły do niego posiłki z reszty Europy w liczbie około pięćdziesięciu tysięcy, co razem dawało trochę ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy chrześcijan. Turcy mieli ponad sto piętnaście tysięcy uzbrojonych żołnierzy. Bitwa trwała bardzo krótko. Jak później skomentował to sam król, „Przybyłem, zobaczyłem, a Bóg zwyciężył!”. Dzień tego zwycięstwa, 12 września, został ogłoszony wspomnieniem Najświętszego Imienia Maryi.

Lecz na przełomie XX i XXI wieku nie obroniliśmy Europy przed inwazją najgroźniejszą ze wszystkich, bo prowadzoną najmądrzej: poprzez rodzenie dzieci. Statystyki są bezwzględne: za kilkadziesiąt lat w większości krajów Europy muzułmanie w demokratycznych wyborach obejmą rządy, przez zwykłą większość, po prostu. Opierając się na danych statystycznych, demografowie policzyli, że jeśli sytuacja będzie się rozwijać tak

nadal, to ok. 2050 roku demokratycznie wybrany rząd w sąsiadujących z nami Niemczech będzie... turecki (ludzi pochodzenia tureckiego). Przeciętna rodzina turecka mieszkająca za naszą zachodnią granicą ma ośmioro dzieci, podczas gdy na rodzinę niemiecką przypada statystycznie poniżej jednego dziecka. I państwo niemieckie wypłaca tym rodzinom tureckim potężne zasiłki, przewyższające znacznie wynagrodzenia, które dostawaliby we własnym kraju za pracę.

Tymczasem w Arabii Saudyjskiej za posiadanie Pisma Świętego stosuje się karę śmierci. Za podejrzenie o posiadanie – dożywocie. Jesteśmy dziecinnie naiwni w kontaktach z islamską agresją. Owszem, to, że chrześcijaństwo przetrwa, jest całkowicie pewne – ale nie jest pewne, że w Europie.

Muzułmanie domagają się głośno swoich „praw” a katolicy siedzą cicho, przeprasząc, że żyją. Katolik może sobie nawet być szczęśliwy, ale nie wolno mu tego publicznie ogłaszać. (Jego wiara to „prywatna jego sprawa”.)

Kiedyś zrobiłem taki eksperyment: dziewczyna, młoda redaktorka z pisma katolickiego – prawdziwie katolickiego – prowadziła wywiad na jakiś temat, coś o rodzinie. Zapytała, jak mnie podpisać, powymyślała jakieś tytuły, chciała koniecznie naukowe. Ja powiedziałem:

– Katolik. Szczęśliwy człowiek, szczęśliwy mąż, szczęśliwy ojciec, w tej kolejności.

Zanotowała skwapliwie. A ja, znając życie, dodałem:

– Ostrożnie, bo redaktorzy nie lubią takich podpisów!

– Obruszyła się: co pan mówi, jesteśmy pismem katolickim!

Za trzy dni bidulka zadzwoniła:

– Ja bardzo pana przepraszam, ale redaktor naczelny nie zgodził się na taki podpis...

Nam, katolikom, nie wolno być szczęśliwymi. Owszem, możemy sobie iść do kościoła, tylko nikomu o tym nie mówmy, to jest prywatna sprawa. Możemy nawet przestrzegać przykazań, ale biada, jak komuś o tym powiemy, mamy siedzieć cicho. Dzisiaj zły duch panuje, on ma wszelkie prawa i wszelkie przywileje. Katolik może być obrażany bezkarnie na wszystkie sposoby, on sam jednak musi siedzieć cicho. Pismo Święte można podrzeć publicznie, symbole religijne profanować, świętości katolickie bezcześcić. Wszystko bezkarnie. (Niechby ktoś odważył się podrzeć Koran.) Gdzieś, kiedyś trzeba ten świat zacząć uwalniać od nienawiści do Chrystusa i Kościoła katolickiego. Trzeba wyjść z ukrycia, bo inaczej nigdy tego świata nie nawrócimy. Dlaczego ludzie dołączali się do chrześcijan w pierwszych wiekach? Bo widzieli, jak żyją chrześcijanie, jak oni się miłują, i też tak chcieli. A dzisiaj, kiedy się dzieją jakieś dobre rzeczy w kręgach katolików – a dzieje się ich mnóstwo – panuje cisza. Ale gdy ktoś kogoś molestuje, zgwałci, zamorduje, to jest na pierwszych stronach wszystkich gazet. Myślę, że jest to jedna z konsekwentnie stosowanych metod umniejszania dobrych działań Kościoła i ludzi z nim związanych.

JEDNOŚĆ MAŁŻEŃSKA A DAR RODZICIELSTWA

Dlaczego jednak doszło do tego, do czego doszło? Oczywiście, wszyscy znamy porzekadło, że jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Jednak trzeba pamiętać, że z pieniędzmi zawsze powiązane są wielkie ideologie, które z jednej strony są przez pieniądze finansowane, a z drugiej stanowią motor napędowy dla zysków pewnych, określonych

grup. Zauważmy, że żadna instytucja, żadna organizacja nie psuje interesów tym siejącym ferment ideologiczny i bałagan moralny grupom, tak, jak Kościół katolicki. Prześledźmy fakty, kiedy to się tak naprawdę zaczęło? W latach sześćdziesiątych weszła w życie tzw. pigułka antykoncepcyjna. Szafowano argumentem rzekomego przeludnienia, a tak naprawdę chodziło o szerzenie niszczącej rozwiązłości seksualnej. Uczynienie z seksu rozrywki oderwanej od małżeństwa i od rodzicielstwa. Przystąpiono do szturm na etykę seksualną Kościoła katolickiego i szerzenia idei „rewolucji seksualnej”.

W 1968 roku ukazała się encyklika Ojca Świętego Pawła VI *Humanae vitae*, która jednoznacznie potępiła antykoncepcję i aborcję. Do komisji pracującej nad encykliką papież Paweł VI powołał Kardynała Karola Wojtyłę, którego władze Polski Ludowej nie wypuszczały na posiedzenia komisji do Rzymu. Kardynał Wojtyła powołał w Krakowie własną komisję złożoną z lekarza, teologów i filozofów (m.in. o. Karol Meissner OSB, o. dr Jerzy Ślipko TJ, ks. dr Jerzy Bajda, ks. dr Stanisław Smoleński, ks. dr Juliusz Turowicz, o. dr Józef Podgórski) z którą wspólnie opracował tzw. *Memoriał krakowski*. W *Memoriale* tym, wychodząc z prawa naturalnego, jednoznacznie ukazuje się nieład moralny antykoncepcji i jednocześnie wskazuje na możliwość zapanowania nad żywiołem płodności za pomocą rozumu i woli człowieka. Możliwe jest to przy wykorzystaniu wiedzy na temat cykliczności ludzkiej płodności. Służą temu tzw. metody naturalne planowania poczęć (NPR). Na dowód, że jest to praktycznie możliwe dołączono zeszyty tysięcy małżeństw polskich z zapisem obserwacji wówczas bardzo jeszcze prymitywnej metody termicznej. (Współczesne metody objawowo-termiczne są

bardzo udoskonalone.) Memoriał i materiały „dowodowe” przekonały Ojca Świętego Pawła VI. Ogłosił jednoznaczne potępienie antykoncepcji, przeciwstawiając się opinii niektórych członków komisji watykańskiej. Liberalni kapłani i hierarchowie tej decyzji nie zaakceptowali i do dziś na tym tle obserwujemy rozłam w Kościele katolickim. Jednak to papież Paweł VI miał rację, że płodność należy zawsze traktować jako dar a współżycie seksualne ma odbywać się wyłącznie w małżeństwach, bo jest to jedyny właściwy teren do przekazywania życia i wychowania dzieci. Papież pisze w encyklice: „Nierozzerwalna, podwójna więź znaków we współżyciu małżeńskim: znak jedności i znak rodzicielstwa. Nie wolno tych dwóch rzeczywistości rozdzielać. Oddzielenie jedności od rodzicielstwa powoduje rozdarcie, dezintegrację, zniszczenie człowieka, jego nieszczęście”. Przetłumaczmy to na język bardziej zrozumiały: jedynym miejscem na aktywność seksualną człowieka wierzącego jest sakramentalne małżeństwo, które jest otwarte na przyjęcie dziecka. Tak więc współżycie ma się odbywać wyłącznie w małżeństwie gotowym przyjąć każde poczęte dziecko, a dzieci mają się poczynić wyłącznie na skutek aktów miłosnych małżonków. To jest jednoznaczna wykładnia nauki Kościoła katolickiego. Zauważmy, że uderza ona w cały ogromny, globalny, przynoszący gigantyczne zyski biznes antykoncepcyjny. Co więcej, wyklucza jednoznacznie „produkcję” człowieka na drodze *in vitro*, czy przez sztuczne unasiennienie. Dziecko ma poczynić się wyłącznie na skutek miłosnego aktu małżeńskiego taty i mamy. A przecież w 1968 roku nikt jeszcze nie myślał o *in vitro*. Można śmiało powiedzieć, że encyklika *Humanae vitae* jest i pozostanie profetyczna. Jej jednoznaczny sprzeciw wobec wszelkiego nieładu

seksualnego jest powodem nieustannych ataków z rozseksualizowanego świata. Ataków sił, chcących zniszczyć człowieka i Kościół katolicki właśnie przez propagowanie wszelkiej rozwiązłości seksualnej. By tego nie widzieć, trzeba być ślepy i głuchy, dziś, po pięćdziesięciu latach, gdy rozwiązłość seksualna przybrała nieprawdopodobne rozmiary. Jeżeli nie powrócimy do etyki seksualnej wyłożonej w *Humanae vitae*, nic nie uchroni świata przed samozniszczeniem.

Kościół katolicki stoi na jednoznacznym stanowisku, że dla każdego bez wyjątku, niezależnie od aktualnych planów życiowych, płodność jest darem. Zawsze jako dar ma być traktowana i rozumnie w małżeństwie „zagospodarowana”. Paweł VI pisze: „Pochwala się małżonków, którzy decydują się na liczniejsze potomstwo i tych, którzy z ważnych przyczyn rezygnują z poczęcia kolejnego dziecka” – przy zachowaniu zasad moralnych, oczywiście. Zauważmy, że nie ma tu ani słowa, ile to konkretnie jest to „liczniejsze potomstwo”. I nie jest powiedziane, że to „kolejne” to nie może być drugie, a w szczególnych okolicznościach może to być nawet pierwsze – na przykład jakieś poważne załamanie się zdrowia krótko po ślubie. Kolejne wskazanie z *Humanae vitae* mówi: „O poczęciu dziecka powinna decydować roztropność i wielkoduszość”. O ile wydaje się, że roztropności w tej materii nam nie brakuje (niektórzy niemal do emerytury zastanawiają się, czy już jest czas na pierwsze dziecko), to chyba jednak dzisiaj jesteśmy małoduszni w przekazywaniu życia. Od kilkudziesięciu lat po raz pierwszy w historii Polski mimo że nie ma wojen, nasz Naród wymiera. Do niedawna (na początku XXI wieku) znacznie mniej nas się rodziło niż umierało, a to oznacza, że wymieramy jako Naród. Jednak prowadzone w Polsce statystyki i badania

socjologiczne z ostatnich lat pozwalają mieć realną nadzieję na poprawę i patrzeć bardziej optymistycznie na przyszłość naszego kraju. Dzięki polityce prorodzinnej (m.in. 500+) wyraźnie widać, że rodziny lepiej sytuowane, łatwiej decydują się na większą liczbę dzieci. To pozwala wierzyć, że nie zginie my, pomimo że na początku XXI w. naukowcy nie dawali nam, jako Narodowi, żadnych szans. Demografia mówiła wprost, że jesteśmy skazani na wymarcie. Oczywiście, że część dzieci wykradną nam związki jedнопłciowe, część wyjedzie za granicę (oby więcej powróciło), ale gros dzieci zostanie i w nich jest nadzieja na lepszą przyszłość Polski.

To wspomniane już przeze mnie zjawisko oddzielenia jedności od rodzicielstwa jest kwintesencją kryzysu i zarazem płaszczyzną, na której może dokonać się zaczątek odnowy. Bezbożny i wynaturzony świat próbuje całkowicie oderwać jedność od rodzicielstwa. Przy czym, mówiąc o seksie (świat mówi o seksie, a nie o płciowości i nieodłącznie z nią związanej płodności) sprowadza wszystko do chwilowej, cielesnej przyjemności seksualnej. Nic nie wspomina o przebogatej jedności cielesno-psychiczno-duchowej dwojga osób w miłującym się małżeństwie. Gloryfikuje przyjemność seksualną i tylko nią się zajmuje. Płodność traktuje jako przeszkodę w beztróskim zażywaniu przyjemności seksualnej. Propонуje usunięcie tej „niedogodności” przez: sterylizację, antykoncepcję, środki wczesnoporonne i aborcję. Wszystkie te środki traktuje jako „niezbędne do szczęścia dobrodziejstwo ludzkości”. Promuje je, zabiega o ich legalność (np. legalność aborcji), propaguje przez edukację seksualną (coraz częściej przymusową!), dofinansowuje (z naszych podatków, np. antykoncepcja, aborcja). Szczególnym terenem walki jest aborcja,

do której się lekarzy przymusza (sprawa prof. Chazana w Polsce, cofnięcie klauzuli sumienia dla lekarzy we Francji), ba, próbuje się ją uczynić „prawem człowieka”. Ludzie otumanieni propagandą i pewnie nierzadko zniewoleni własnym nieładem seksualnym nie dostrzegają tu analogii do najstraszliwszych reżimów stanowiących „prawo” do mordowania (katolików w dobie reformacji i Wielkiej Rewolucji Francuskiej, „burżujów” w rewolucji komunistycznej, „podludzi” w hitleryzmie, katolików w ramach „świętej wojny”.) Przy czym aborcja jest szczególnym bestialstwem, bo dotyczy całkowicie bezbronych i całkowicie niewinnych istot ludzkich.

Propagandzie tej ulegają również ludzie wykształceni, nominalnie świątli. Któregoś razu, prowadząc nauki przedmałżeńskie, wypowiedziałem zdanie, że wszystkie hormonalne środki tzw. antykoncepcyjne (*anty* – ‘przeciw’, *conceptio* – ‘poczucie’) mają działania również zabójcze już po poczęciu. Czyli zabijają już poczętą istotę ludzką. W tym momencie wstał jeden z mężczyzn, grzecznie się uklonił i rzekł:

– Proszę pana, jestem lekarzem i z całym szacunkiem dla pana, ale w imię prawdy muszę zaprotestować. Obecne środki hormonalne trzeciej generacji, działają antykoncepcyjnie, korzystnie dla kobiety, bo zmniejszają krwawienia, ale w żadnym wypadku nie powodują one śmierci poczętego dziecka.

Wtedy przyszła mi do głowy myśl, pochodząca, jestem przekonany, od Ducha Świętego. Zapytałem go:

– A czemu te środki zmniejszają obfitość krwawienia?

– Bo wpływają na niedorozwój endometrium (błona śluzowa macicy)... – odpowiedział i wyraz jego twarzy świadczył o tym, że już mówiąc to, zrozumiał, co powiedział. Po czym bez słowa, zakłopotany, usiadł. Zrozumiał,

że „dobrodziejstwo” zmniejszenia krwawień jest przyczyną śmierci około tygodniowego dziecka, jeżeli mimo mechanizmów antykoncepcyjnych jednak się poczęło.

Lekarz miał zapewne wszelką wyrywkową wiedzę ginekologiczną, anatomiczną, fizjologiczną, endokrynologiczną – ale nigdy dotąd nie skojarzył oczywistych faktów. Zmniejszony rozwój silnie ukrwionej, wewnętrznej wyściółki macicy (endometrium), co rzeczywiście wpływa na zmniejszenie obfitości krwawień, powoduje, że niemożliwe jest zagnieżdzenie się w jej ścianie zarodka. Istota ludzka, żyjąca już od kilku dni, składająca się z wielu komórek, nie mogąc znaleźć dogodnego miejsca do implantacji (zagnieżdzenie) w wyniku tego obumiera i ginie. Już martwa, około tygodniowa istota ludzka zostaje wydalona na zewnątrz razem z krwią. To jest proces uśmiercający żyjącą już od kilku dni istotę ludzką! Zwykle rodzice nie są świadomi, że stracili, być może kolejne już, dziecko. Dla uczciwości trzeba zaznaczyć, że opisane działanie jest tylko jednym z czterech. Dwa z nich (faktycznie znacznie częściej aktywne) mają rzeczywiście działanie przeciwpoczęciowe (antykoncepcyjne). Przede wszystkim chodzi o blokadę jajczkowania (najczęściej to właśnie działa) oraz, co prawda znikoma, plemnikobójczość. Dla kompletu czwartym działaniem jest spowolnienie tzw. perystaltyki jajowodów, dzięki którym poczęta istota ludzka przemieszcza się z bańki jajowodu (miejsce poczęcia) w kierunku macicy. Docierając tam zbyt późno, również ginie i martwe wydostaje się na zewnątrz organizmu matki wraz z krwią miesiączkową. To działanie zwiększa prawdopodobieństwo ciąży pozamacicznej (jajowodowej), co również kończy się śmiercią dziecka i nierzadko poważnymi konsekwencjami dla zdrowia, a nawet

życia matki. Oczywiście osoba łykająca pigułkę, świadoma, że to może spowodować śmierć dziecka (choćby do poczęcia doszło raz na tysiąc przypadków) ponosi winę i odpowiedzialność moralną jak za decyzję o zabiciu własnego, rodzonego choć nie urodzonego, dziecka.

Brak tak elementarnej wiedzy u wykształconych lekarzy pokazuje, że nawet przekazując podstawową wiedzę medyczną, można ją tak zmanipulować, by ukryć niewygodne ideologicznie fakty. Oczywiście trudno, by profesor uczelni wyższej, żyjący w dobrobycie dzięki wykonywanym aborcjom, mógł uczciwie, z przekonaniem ukazać barbarzyństwo tego działania. Podobnie, ktoś żyjący z „antykoncepcji” nawet nie chce znać niewygodnych faktów o jej szkodliwości a nawet poronności. Trudno zmienić poglądy, z których się dostаточно i „beztrosko” (czytaj: bezmyślnie) żyje.

Czy nie przesadzam z tymi korzyściami materialnym z antykoncepcji? Przecież w Anglii już dla nastolatek jest ona za darmo. Gdzie tu biznes...? Co znaczy za darmo? Opłaca je podatnik. Gdybym coś produkował a państwo by to rozdawało „za darmo”, to zrobiłbym najlepszy biznes życia. Brałby to każdy, czy potrzebuje, czy nie. A ja szybko awansowałbym do grona najbogatszych ludzi (na szczęście zupełnie mi się to nie marzy). O pieniądzach z antykoncepcji solidarnie się milczy. Nie mówi się, przykładowo, o tym, jaki procent zysku polskiego przemysłu farmaceutycznego (słabo rozwiniętego w tej branży na tle krajów Zachodu) pochodzi z antykoncepcji. Jest to 75% zysków całego przemysłu farmakologicznego w Polsce! (Można to wyczytać z raportów ministerstwa zdrowia.) Z czego taki zysk? Z „leczenia” płodności?! Przecież płodność nie jest chorobą, jest w oczywisty sposób elementem zdrowia.

Na zdrowy rozum powinno się zabronić sprzedawać w aptekach środki niszczące zdrowie człowieka. Tymczasem w Polsce zgodnie z prawem w aptece, nie wolno... nie sprzedawać środków antykoncepcyjnych. Znam księdza (Boży szalencie!), który zbudował kościół, przy nim trzy szkoły: podstawową, gimnazjum i liceum, sklep (w którym rozdaje codziennie chleb i mleko za darmo) oraz aptekę (w której emeryci dostają leki za darmo). I ten kapłan postanowił, że w jego aptece nigdy nie będzie sprzedawana antykoncepcja. Tak długo jeździł do ministra zdrowia, że w końcu wymusił na nim jego osobistą zgodę, że wyjątkowo w tej aptece, pod wezwaniem Ducha Świętego, przy parafii pod wezwaniem Ducha Świętego, wolno nie sprzedawać środków antykoncepcyjnych! Słynna już dzisiaj klauzura sumienia dla lekarzy w Polsce przeszła przecież kilka lat temu prawdziwym cudem. (We Francji wycofano klauzulę sumienia i lekarzowi odmawiającemu dokonania aborcji grozi 3500 euro grzywny i do dwóch lat więzienia! Lekarz ma obowiązek zabijać a nie leczyć?!) A polscy farmaceuci? Nadal nie mogą pracować w zgodzie ze swoim sumieniem.

Mamy zatem obecnie gigantyczne lobby, oferujące jako towar do kupienia „wyzwoloną”, oddzieloną od rodzicielstwa, od małżeństwa przyjemność seksualną. Totalnie wbrew nauce Kościoła katolickiego, co dotyczy wierzących katolików, ale jednocześnie wbrew obiektywnej naturze człowieka, co już dotyczy dokładnie wszystkich. A co na drugiej szali? Na niej umiejscowiono rodzicielstwo oddzielone od jedności małżeńskiej. Po drugiej stronie to samo lobby oferuje jako towar do kupienia dziecko. Dzieci zrodzone w oderwaniu od płodnej, trwałej miłości małżeńskiej mężczyzny i kobiety (dla wierzących zawsze sakramentalnej), poczynane na drodze sztucznej

inseminacji lub *in vitro*. Bez jednościi małżeńskiej. Bez aktu miłości taty i mamy. Przecież znowu jest to procedura dezintegrująca rodziców, rozrywająca ich więź, niszcząca jedność małżeńską. Ci, którzy skorzystali z tego „dobrodziejstwa”, doskonale wiedzą, jaki to upokarzający i niszczący zdrowie proces. I oto pojawia się coś nowego, pojawia się naprotechnologia. A tu cisza, zмова milczenia. Opiera się ona na bardzo precyzyjnej diagnozie, dlaczego para nie może mieć dziecka i bardzo precyzyjnym, „punktowym” leczeniu tego, co jest chore. Najnowocześniejsze podejście. Precyzyjna diagnoza i precyzyjne leczenie. Kilkanaście razy tańsze, wielokrotnie skuteczniejsze od *in vitro*, do tego bez żadnych negatywnych skutków ubocznych i w pełni akceptowalne moralnie. Dziecko poczyina się na skutek aktu miłości wyleczonych rodziców a nie manipulacji w laboratorium. Wszystko dzieje się siłami natury, nie odrywa się jednościi od rodzicielstwa. I co? Milczenie. (A jeżeli jakiś głos, to negatywny, o nienowoczesności, nienaukowości...) Ani złotówki na dofinansowanie naprotechnologii. Dlaczego? Bo ona się nie wpisuje w tworzenie bałaganu, bo nie służy biznesowi, który to wszystko napędza. Ilez kłamstw i tendencyjnych przemilczeń panuje wokół *in vitro*. Ile histerycznych ataków na oponentów, z odsądzaniem ich od czci i wiary. A jaka wielka cisza panuje wokół naprotechnologii. Metody, która pozwala wyleczyć niepłodność i doprowadzić do poczęcia dziecka w naturalnych warunkach, na drodze miłosnego zjednoczenia matki i ojca, zgodnie z nauką Kościoła katolickiego, bez żadnych wątpliwościi i dylematów moralnych, nie jest promowana?!

Już przed wielu laty w Stanach Zjednoczonych doszło do kuriozalnego przypadku, gdy zmarł jeden z milionerów,

pozostawiając po sobie żonę, kilkoro już dorosłych dzieci i... siedem fiolek zamrożonej spermy. Nieutulona w żalu wdowa wpadła na pomysł, aby „wyprodukować” sobie jeszcze jedno dziecko, na „pamiątkę” po zmarłym mężu. Gdy dowiedziały się o tym pozostałe dzieci, wspólnie pozwały ją do sądu, nie chcąc zgodzić się na narodziny dodatkowego... spadkobiercy. Sprawa, bardzo głośna w mediach, przeszła przez wszystkie instancje sadowe, aż w końcu sąd najwyższy orzekł w majestacie prawa spadkowego Salomonowy wyrok: wdowa po milionerze otrzymuje w spadku prawo do dysponowania zawartością trzech i pół fiolek nasienia zmarłego męża, natomiast pozostałe trzy i pół fiolek przypadają dzieciom, do równego, solidarnego podziału! Śmieszne? Tragiczne!

Inny przykład, sprzed kilku lat. Oto bogata kobieta postanowiła „wyprodukować” sobie dziecko. Nabyła spermę z banku spermy, kupiła jajeczka od jednej kobiety, wynajęła macicę od drugiej kobiety (tzw. surogatki). Procedura *in vitro* się powiodła, poczęło się dziecko i dokonano implantacji w macicy surogatki. Ta kobieta nosząca (za pieniądze) w swym łonie wyprodukowane dziecko wpadła na pomysł, że może da się je sprzedać drożej. Wystawiła je na internetowej aukcji. I rzeczywiście, udało się jej je drożej sprzedać. Wtedy ta kobieta, która pierwsza zapłaciła za dziecko, podała ją do sądu o kradzież „opłaconej” ciąży... To jest prawdziwa historia. Kto jest matką? Ta, która zamówiła i opłaciła produkcję dziecka? Ta, która nosiła i rodziła (rodzona matka)? Ta, która podkupiła, płacąc więcej? A może dziecko okaże się chore (co zdarza się wielokrotnie częściej niż przy naturalnym poczęciu), zostanie odrzucone i zaadoptuje je jakaś rodzina wielodzietna. A kto ojcem? Anonimowy dawca spermy. Oczywiście ostatecznie

rodzicami prawdziwymi (choć nie rodzonymi) będą ci, którzy zaadoptowali dziecko. Jednak tożsamość i pochodzenie dziecka są zagmatwane. Godność człowieka domaga się, by począł się na skutek aktu miłosnego pomiędzy tatą i mamą (por. *Donum vitae*). To jest ostateczna wykładnia nauki Kościoła katolickiego w tej kwestii.

Kilkadziesiąt lat temu do urzędu w Stanach Zjednoczonych zgłosiła się para chcąca zawrzeć związek małżeński. Dwoje kochających się młodych ludzi, chłopak i dziewczyna. Po sprawdzeniu dokumentów okazało się, że to niemożliwe. Oboje pochodzili ze sztucznego unasiennienia, dawcą był ten sam mężczyzna (dane o „ojcu” są przechowywane w tajnych archiwach), byli przyrodnim rodzeństwem. Po tym przypadku sprawą zajęła się nauka. Najtęższe głowy najlepszych uniwersytetów w kraju myślały jak logistycznie opracować sieć dystrybucji nasienia, aby maksymalnie zminimalizować ryzyko spotkania się brata i siostry. I wymyślili (uwzględniając migracje ludności) jakiś tam system, podobno optymalnie skuteczny. Żadnej refleksji etycznej po drodze.

Wszelkie ważne działania ludzkie podejmowane z wykluczeniem użycia rozumu i woli zawsze degradują człowieka. To jest elementarna wiedza o człowieku, którą trzeba ludziom przekazywać. Decyzja o podjęciu działań mogących przyczynić się do poczęcia człowieka należy do najważniejszych w życiu. Współżycie płciowe (oby było to pożycie małżeńskie) to jedyny moment, gdy człowiek może przedłużyć miłość na wieczność – wziąć udział w stworzeniu istoty ludzkiej, z duszą nieśmiertelną! Ludzie z tego robią bezrozumną rozrywkę, a Bóg... bezbronne do nich przychodzi i poczyną się dziecko... Jeżeli ja ponad wszelką wątpliwość wiem, że współżycie

seksualne może powodować wzrost duchowy obojga osób i zarazem pomnożenie ich szczęścia, ale z drugiej strony odwrotnie, przyczynić się do degradacji i upadku moralnego oraz nieszczęścia, i wiem, w jakich okolicznościach stanie się jedno, w jakich drugie – to nie wolno mi tego przemilczeć!

Gdybyśmy przywrócili do powszechnej praktyki głoszoną przez Kościół katolicki zasadę nierozdzielności jedności małżeńskiej i rodzicielstwa, uratowalibyśmy małżeństwa, rodziny i świat. Wówczas współżycie seksualne odbywałoby się tylko w małżeństwie (dla wierzących zawsze sakramentalnym) gotowym przyjąć każde dziecko – nawet w tym momencie nieplanowane, gdyby się jednak poczęło. Dzieci poczynąłyby się wyłącznie na skutek aktów miłosnych swoich rodziców, żyjących w trwałych małżeństwach. Zapanałaby ład moralny, mielibyśmy raj na ziemi.

Jednak świat (poprzez „rewolucję seksualną”) oddzielił jedność od rodzicielstwa. „Wyzwolił” współżycie z małżeństwa i z rodzicielstwa. Oferuje nieskrępowane zabawy seksualne przygodnych partnerów (w dowolnych konfiguracjach) i produkcję dzieci w oderwaniu od aktów miłosnych rodziców. I dziś, po kilku dekadach nachalnej propagandy jesteśmy wszyscy już tym w różnym stopniu skażeni. Przychodzą nam do głów różne myśli. Na przykład na temat *in vitro*. A może to w sumie dobrze...? Ci ludzie tak bardzo chcieli mieć dzieci, tacy porządni, będą je tak pięknie kochać! Ja sam znam dobrze ten ból czekania na narodzenie dziecka, zna go – chyba jeszcze lepiej – moja żona. Po latach starań możemy dziś dziękować Bogu za wspaniałe dzieci, ale także i za to, że w tym całym naszym bólu nie przysłała nam myśl o podjęciu działań sprzecznych z naturą i nauką Kościoła katolickiego. Ale wiemy, jak

bardzo trudna jest dla małżonków sytuacja, gdy pomimo najszerszych pragnień nie mogą zrodzić dziecka – i z całą mocą osobistego doświadczenia, które u nas trwało wiele lat, mogę stwierdzić, że to właśnie na tych szalenie trudnych emocjach bazują koncerny zarabiające na *in vitro*! Czerpią zysk z wielkiej tragedii kobiet i mężczyzn, często w dodatku wcale nie dając spełnienia ich marzeń!

Niepłodność to bardzo trudne doświadczenie – ale też Boży dar. Dziś, po latach, wspominamy z żoną ten czas jako wspaniałą lekcję pokory, uznania, że to nie my jesteśmy panami życia, lecz Bóg. Bardzo długo podejmowaliśmy starania o poczęcie dziecka wszelkimi dozwolonymi przez Kościół i zgodnymi z naszymi sumieniami metodami. W tym czasie broniliśmy się przed silnymi sugestiami ze strony otoczenia, aby zaprzestać beznadziejnych prób i zdecydować się na adopcję. Gdy wreszcie się poddaliśmy i stwierdziliśmy, że zgoda, jednak adopcja, to w następnym miesiącu poczęła się nasza pierwotna. Pan Bóg czekał, aż skruszejemy. To wielka łaska, za którą należy dziękować. Dziś człowiek chce nad wszystkim panować, chce być Bogiem. Oczywiście, można prosić, błagać – Jezus sam do tego namawia – ale zawsze trzeba mieć przy tym świadomość, że wszystko, co otrzymujemy z rąk Boga, jest dla nas stuprocentowo dobre:

I Ja wam powiadam: Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam. Każdy bowiem, kto prosi, otrzymuje; kto szuka, znajduje; a kołaczącemu otworzą. Jeżeli którego z was, ojców, syn poprosi o chleb, czy poda mu kamień? Albo o rybę, czy zamiast ryby

podaj mu węzła? Lub też gdy prosi o jajko, czy podaj mu skorpion? Jeśli więc wy, choć źli jesteście, umiecie dawać dobre dary swoim dzieciom, o ileż bardziej Ojciec z nieba da Ducha Świętego tym, którzy Go proszą (Łk 11,9-13).

Ponieważ sami nie mogliśmy cieszyć się rodzicielstwem i w bólu czekaliśmy ponad dziesięć lat na poczęcie pierwszego dziecka, staraliśmy się przekazać to doświadczenie innym. Rozmawialiśmy z innymi małżeństwami przeżywającymi ten problem. Po wielu latach czekania umieliśmy wesprzeć młode pary, przeżywające dramat podobny do tego, przez jaki przechodziliśmy sami; pomóc im w przyjęciu tego trudnego daru. Te rozmowy umawialiśmy zawsze w naszym domu, nie w poradni. W wielu przypadkach spotkania te owocowały poczęciem dzieci – często skutkowały nasze rady dotyczące sfery psychiki, a czasem po prostu wystarczyło przekazać rzetelną informację na temat mechanizmów funkcjonowania organizmu kobiety. I pamiętam bardzo dobrze, że przez te lata w sumie tylko dwa razy zdarzyło się, że przyszły do nas małżeństwa z problemem *in vitro*. Ciekawa rzecz, że oba spotkania wydarzyły się w jednym tygodniu – może dlatego zapamiętałem to tak wyraźnie.

Za pierwszym razem przyszła para, która wtedy była już po kilkunastu nieudanych sztucznych zapłodnieniach – w sumie doszli do trzydziestu sześciu. Wtedy, gdy do nas zawitali, ona już miała kilkakrotnie powiększoną objętość ciała (hiperstimulacja jajników zawsze są szkodliwe dla organizmu kobiety, m.in. powodują nieraz ogromne tycie, kilkanaście razy częściej powodują śmierć kobiety niż poród, ale o tym się

nie mówi, bo to już nie wygląda atrakcyjnie). Oni życzliwie wszystkiego wysłuchali, że to ostatecznie Pan Bóg jest dawcą życia – wyszli. Zacisnęli zęby i... próbowali dalej z *in vitro*. W końcu zrezygnowali, przystąpili do adopcji, dość szybko otrzymali jedno dziecko, potem drugie – i zostali przeszczęśliwymi rodzicami. Ale wcześniej przeszli przez koszmar, który ich zniszczył. (Również finansowo, ale o tym nie godzi się wspominać, wobec zniszczenia osób.) Kuracje hormonalne żony, oddawanie nasienia do próbówki przez męża...

Druga z tych par przyszyła do nas dwa dni później. Byli młodzi, przeczytali w gazecie, jak to pięknie i prosto jest mieć dziecko z *in vitro*, więc po dwóch zaledwie latach czekania stwierdzili, że chcą spróbować. Ale coś im tam jeszcze świtało, jakieś wątpliwości, poszli zatem do księdza proboszcza. Proboszcz, staruszek, powiedział, że on się wprawdzie nie zna na tych nowoczesnych zdobyczach nauki i cywilizacji, ale zna się na wykładni Kościoła katolickiego – i dał im dwie rzeczy: dokument *Donum vitae* oraz telefon do nas. Zadzwo-nili, umówili się, przyszli – ale przed spotkaniem przeczytali dokument. I tu dał o sobie znać geniusz tych młodych ludzi. W momencie, gdy do nas przyszli, niemal od progu opowiedzieli całą historię i zakończyli tak:

– Po tym, jak przeczytaliśmy *Donum vitae*, stwierdziliśmy, że skoro Kościół w oficjalnym dokumencie zabrania *in vitro*, to widocznie wie, co mówi i my też rezygnujemy z tej drogi.

Genialne! Cóż za pokora! Porozmawialiśmy o tym, powiedzieliśmy im więcej szczegółów, czym w istocie jest *in vitro*. Włosy im się na głowach zjeżyły, nie wiedzieli tego, bo w gazetach wyczytali tylko, jakie to jest wspaniałe i jak wstrętny jest Kościół, który się czepia, ludziom szczęścia odmawia...

Oczywiście o naprotechnologii w tamtych czasach nie wiedział jeszcze nikt.

Później porozmawialiśmy o tym, jak zwiększyć prawdopodobieństwo poczęcia poprzez stosowanie metod naturalnych. Mieli nawet pomiary i zapiski – ale nikt ich nie nauczył, co to wszystko oznacza i jak to stosować w praktyce. Ze wszystkich tych notatek wynikało, że dotychczas bardzo mało dawali szans na poczęcie, ponieważ współżyli w niewłaściwych momentach. Przy tej okazji wyszło, że ostatnie współżycie odbyło się kilka dni przed wizytą u nas. Było ono tym razem blisko przed jajeczkowaniem (chyba trzeci raz w ciągu dwóch lat). Później zaczęliśmy mówić o środkach „nadzwyczajnych” – że bardzo skutecznie działa, na przykład, wstawiennictwo św. Gerarda Majelli, włoskiego redemptorysty. O jego skuteczności w tej dziedzinie wiedzieliśmy z żoną z własnego doświadczenia – daliśmy zatem tej parze tekst modlitwy, medalik, co tam jeszcze mieliśmy na temat św. Gerarda. Na do widzenia (o drugiej w nocy) pożegnaliśmy się słowami:

– Święty Gerard jest naprawdę dobry. Czasem nawet działa wstecz. (Australijczyk, który powiedział nam o św. Gerardzie obiecał, że się będzie modlił o poczęcie naszego drugiego dziecka. Stąd zrodziło się u nas powiedzenie, że św. Gerard działa wstecz.)

Po paru tygodniach przyszła do nas kartka, napisali krótko: „Święty Gerard działa wstecz! Dziękujemy!”. Pojęliśmy z żoną, że oni byli u nas z już poczętym dzieckiem! Niesamowite! My więcej znaków nie potrzebujemy!

Dwa tak diametralnie różne przypadki, darowane przez Boga w odstępnie dwóch dni. Mnie nie trzeba już więcej przekonywać, która droga jest właściwa! Zaufajmy Temu, który

nas bardzo kocha i bardzo dobrze zna i wie, czego nam potrzeba. Nawet, gdy nie wszystko rozumiemy. W zasadzie jest jedna rada, która rozwiązuje wszystkie problemy szczegółowe: po prostu się nawrócić. Jeszcze bardziej przytulić się do Pana Boga. Wtedy dzieją się cuda, naprawdę, dzieją się cuda. Poznałem już małżeństwa, gdzie sytuacja była karkołomna – i wszystko stawało się możliwe z Bożą pomocą. Problem leży wyłącznie w ludzkiej niepokornej naturze. My wszystko chcemy po swojemu. Jednak nie zawsze jest to dla nas dobre.

Ludzie nierzadko mają taką postawę:

– Panie Boże, zrób to i to – a jak tego nie zrobisz, to znaczy... że Cię nie ma. Absurdalna alogiczność! To nie tędy droga. Uczciwe używanie rozumu zawsze prowadzi do Boga. („Każdy, kto uczciwie szuka prawdy, znajdzie Boga”, św. Benedykta od Krzyża – Edyta Stein.)

2. PODSTAWY SZCZĘŚCIA CZŁOWIEKA

DEFINICJA SZCZĘŚCIA

By lepiej zrozumieć tę myśl, że trudności są darem i łaską, ponieważ poprzez nie mamy wzrastać i tym samym zbliżać się do szczęścia, należy w pierwszej kolejności odpowiedzieć sobie na pytania zupełnie podstawowe: Czym jest szczęście? Co jest człowiekowi do szczęścia tak naprawdę potrzebne? Wszyscy chcemy być szczęśliwi, to jest jasne – ale, jak wiadomo, nie wszyscy na świecie czują się szczęśliwi i nie wszyscy są szczęśliwi. Jak widać, nie wystarczy chcieć. Świat nas maami różnymi sztucznymi, wyimaginowanymi „szczęściami”. Wmawia się nam, że jeśli coś sobie kupimy, jeśli będziemy zażywać jakiejś przyjemności, jeśli coś tam sobie załatwimy (najlepiej kosztem innych), wówczas będziemy szczęśliwi. I tych fałszywych wizji szczęścia jest bardzo dużo, bardzo wielu ludzi dało się zwieść. Wiele osób dało się złapać na tę przynętę i trwa w iluzji pozornego szczęścia. Myślą, że są szczęśliwi, obiektywnie rzecz biorąc szczęśliwymi nie będąc. Smutne to, zważywszy, że człowiek jest istotą rozumną, mogącą wybierać, bo obdarzoną wolną wolą. Bardzo wielu uległo tej ułudzie, że jak się będą dobrze bawić, to będą szczęśliwi. Nie. Akurat nie ma możliwości, żeby stać się szczęśliwym poprzez nasycenie zmysłowe. Po pierwsze dlatego, że przyjemność i szczęście to zupełnie inne kategorie. Przyjemności nie

można mnożyć w nieskończoność, ponieważ te same bodźce, które działają na nasze ciało, powtarzane cyklicznie, będą dały coraz słabszą reakcję. Czyli przyjemnościami nie można się nasycić, przeciwnie, przyjemnościami „przedawkowanymi” trzeba się, prędzej czy później, znudzić.

Przykładowo, bardzo lubię cukierki „Bajeczne” i jest mi przyjemnie, kiedy zjem, powiedzmy, dwa. A co, jeśli zjem kilogram...? I tak jest ze wszystkimi przyjemnościami zmysłowymi, po prostu się przejadają. Gdyby kazali mi zjeść dziesięć kilogramów na raz, to już do końca życia nie mógłbym spojrzeć na „Bajecznego”. Tak przyjemność „po przedawkowaniu” będzie coraz słabsza, zanikająca. To jest podstawą tragedii ludzi, którzy uwierzyli, że do szczęścia można dojść np. przez przygodne kontakty seksualne. Zabawiają się, odbierając przyjemności. Jednak one słabną. Zaczynają mnożyć bodźce, by podtrzymać gasnącą przyjemność. Wymyślają coraz bardziej ekscentryczne formy zażywania przyjemności zmysłowej. W końcu nie starcza bodźców. Organizm przestaje reagować. W dziedzinie seksualności nazywamy to impotencją. Każdy, kto szuka szczęścia w przygodnych kontaktach seksualnych, wkracza zawsze na ścieżkę ku własnej impotencji... Gdy się w porę zorientuje i powróci do czystości, może ten proces zatrzymać, ale rany pozostają do końca życia. Stare porzekadło mówi: Pan Bóg żałującemu wybacza zawsze, człowiek czasem, ale natura nigdy. Tak, każde działanie przeciw naturze (wynaturzone) pozostawia trwałe ślady w człowieku.

Poziom przyjemności nie ma wiele wspólnego ze szczęściem. By jednak nie odżegnać się od zażywania przyjemności w ogóle, trzeba stwierdzić, że przyjemności mogą być pożyteczne. Trzeba tylko nauczyć się rozróżniać przyjemności

dobre od złych. Przyjemności dobre, zgodne z naturą człowieka, są pożyteczne i należy je zażywać. (Albo w duchu ascezy świadomie ich sobie odmawiać dla osobistego i osobowego wzrostu.) Jednak przyjemności złe, sprzeczne z naturą (wynaturzone i grzeszne) należy odrzucić. Bo chociaż są przyjemne, działają destrukcyjnie, powodują degradację osoby i tym samym niszczą jej szczęście. Oczywiście, że przyjemności są przyjemne, ale kiedy ktoś, zażywając przyjemność, mówi i myśli, że jest szczęśliwy, to po prostu myli pojęcia. Tak naprawdę nie wie, co mówi.

Tak więc w ciele można przeżyć co najwyżej przyjemność. Dopiero w wyższym wymiarze, w wymiarze psychicznym, jest możliwe przeżycie czegoś jakościowo wyższego. Dzięki wymiarowi psychicznemu człowiek (w odróżnieniu od zwierząt) może myśleć, planować, tęsknić, oczekiwać, marzyć. Spełnienie planów na przyszłość, tęsknot, oczekiwań i marzeń daje poczucie spełnienia, satysfakcję, zadowolenie, radość. Są to przeżycia wyższe, zarezerwowane dla człowieka. (Pies, nie mogąc planować, nie może czuć się spełniony, a nie mogąc oczekiwać i marzyć, nie może przeżywać radości ze spełnienia marzeń.) Tak więc radość jest jakościowo wyższym przeżyciem niż przyjemność. Dla zobrazowania tej różnicy przywołam (z pamięci) fragment *Dzienniczka* św. Faustyny:

Siostra przełożona do siostry Faustyny:

– Siostra dzisiaj taka radosna. Pewnie spotkały siostrę dziś same przyjemności.

W odpowiedzi siostra Faustyna:

– Przeciwnie, Siostrze Przełożona. Spotkało mnie dziś wiele niezasłużonych przykrości, które mogłam ofiarować za biednych grzeszników. Dlatego jestem radosna.

Inny przykład: człowiek rzuca się w płomienie i wynosi z płonącego domu dziecko, ratując mu życie. Jest cały poparzony. Nie jest mu przyjemnie. Jednak jest radosny, że zachował się szlachetnie, wypełnił człowieczą powinność.

Jedną z głębszych radości może być radość z ubogającego spotkania z drugim człowiekiem. Weźmy taką sytuację. Jestem u przyjaciół, rozmawiamy na ważne tematy, ubogacamy się swoimi przemyśleniami, przeżywamy radość ze spotkania. Owszem, przy tej okazji skubimy „Bajeczne”, które leżą na stole i jest przyjemnie, ale gdyby ich nie było, radość ze spotkania nie byłaby mniejsza. Zobaczmy, co my robimy w naszej kulturze bardzo często: spotkania ludzi, które mogą dać coś z wyższej półki, zamieniamy na żarcie, mówimy tylko o jedzeniu. Ja bardzo lubię dobre jedzenie, ale jeżeli spotkanie miałyby się ograniczyć li tylko do jedzenia, to byłaby szkoda. Rozmowa przy jedzeniu zanika, przynajmniej ta rozmowa prawdziwa, która zawiera wymianę myśli. Podstawą spotkania powinno być dzielenie się radościami, troskami – nie tylko... musztardą. To niestety zanika. Mój dobry, dziś już nieżyjący znajomy zrobił kiedyś taki eksperyment. Był zaproszony na czyjeś imieniny. Wszedł dokładnie w trakcie serialu, to chyba był jakiś australijski tasiemiec. Wszedł, usiadł przy stole, wszyscy byli wpatrzni w telewizor, nie mówiąc nic, najadł się i wyszedł. Nazajutrz pytali, czemu go nie było. W ogóle nie zauważyli, że on przyszedł i był tam pół godziny! Nie traćmy szansy na przeżycie czegoś większego niż przyjemność.

Jednak największa nawet satysfakcja, radość i poczucie spełnienia nie są jeszcze szczęściem. Szczęście jest jakościowo wyższe od największej radości. Jest zarezerwowane dla wymiaru duchowego. I dlatego pełni szczęścia nie możemy osiągnąć

ani w ciele, ani nawet w wymiarze psychicznym. Ściślej, jedynym źródłem szczęścia jest relacja miłości pomiędzy osobami obdarzonymi wymiarem duchowym. Czyli jedynym źródłem szczęścia może być relacja miłości do Boga i do drugiego człowieka. Mówi o tym wprost, jako zalecenie, przykazanie: będziesz miłował Pana Boga swego ze wszystkich sił swoich, a bliźniego swego jak siebie samego. To najprostszy przepis na pełnię szczęścia w życiu i... wieczności. Miarą człowieczego szczęścia jest jego miłość do Boga i ludzi.

Tak więc, obiektywnie rzecz biorąc, człowiek jest szczęśliwy lub nie (niezależnie od tego, co sam myśli na ten temat). Co jednak uprawnia mnie do stwierdzenia, że ktoś jest obiektywnie szczęśliwy lub nie? Czy patrząc z zewnątrz, mogę to wiedzieć? Tak, mogę powiedzieć, że ptaszek, który siedzi w klatce, jest obiektywnie nieszczęśliwy – chociaż on może sobie po ptasiemu myśleć, że jest szczęśliwy, bo klatka ze złota, a nasionka z importu. A jednak wiadomo, że nie jest szczęśliwy. Dlaczego? Bo wszyscy wiemy, że ptak został stworzony po to, aby latać – nie siedzieć w zamknięciu w klatce. Ptaszek w klatce nie jest „sobą”. Człowiek będzie szczęśliwy wtedy (i tylko wtedy), gdy będzie „sobą” w najgłębszym tego słowa znaczeniu. Kim obiektywnie jest i do czego został powołany, ma odkryć, nie wygenerować! To osobisty problem każdego, kto (rozumnie) chce być szczęśliwym: Kim ja jestem i co ja w życiu powinienem robić? Ja, osobiście?

Czego potrzebuje do prawdziwego szczęścia? Powtórzmy, co jest źródłem prawdziwego, obiektywnego szczęścia człowieka: miłość do Boga i ludzi. Tak, człowiek został stworzony z miłości i do miłości. „Człowiek w pełni nie może odnaleźć siebie inaczej, jak tylko jako bezinteresowny dar z siebie samego”

(*Gaudium et spes*, Sobór Watykański II). Człowiek nie może odnaleźć siebie, być sobą, czyli być szczęśliwym, na innej drodze niż droga miłości rozumiana jako dar z siebie samego.

Z powyższego logicznie wynika, że człowiek, by móc siebie dać, musi wpieryw siebie posiadać. Musi władać sobą i chcieć oddać siebie na służbę miłości. Człowiek niedojrzały, nieposiadający siebie, ograniczony nałogami nie może siebie w pełni dać. Nie może w pełni miłować i tym samym nie może być w pełni szczęśliwym (dopóki nie osiągnie prawdziwej wolności wewnętrznej). Najwyższy stopień posiadania siebie to wolność wyboru dobra i odrzucenia zła w każdej sytuacji, bez względu na cenę. Ostatecznie nawet za cenę życia. Taka pełna wolność, oparta na Bożej hierarchii wartości, jest po prostu świętością. Najwyższy format miłości i szczęścia zarazem zarezerwowany jest dla świętych!

Ludzie nierozumiejący powyższego popadają w sprzeczności. Nie walczą o wolność wewnętrzną i nie są gotowi do ofiary a marzą o „wielkiej miłości”. Chcą być szczęśliwymi a nie dążą do własnej świętości... Te „chcenia” nie mogą się spełnić, przez co zawsze prowadzą do zawodu, frustracji. Ci ludzie obiektywnie rzecz biorąc błędzą! Cóż, próbuję błędzących pouczać. Oby kiedyś przejrżeli... zanim umrą.

WZROST KU ŚWIĘTOŚCI

Przyjrzyjmy się zatem warunkowi niezbędnemu do osiągnięcia szczęścia: wzrostowi ku wolności wewnętrznej, umożliwiającej ofiarowanie siebie w miłości. Czyli ku czemu konkretnie? Czym jest ta pełna wolność, jak się objawia, po czym

ją można rozpoznać? Wolność to taki stan, w którym ja mogę robić to, co uważam za dobre, niezależnie od tego, do czego chcą mnie przymusić czynniki zewnętrzne lub wewnętrzne. Niezależnie od tego, co próbują wymusić na mnie jakieś siły zła przez naciski czy groźby, i niezależnie od pobudzeń wewnętrznych, podkorowych. Ja mimo wszystko mogę robić to, co uważam za dobre i obronić się przed tym, co w moim postrzeganiu jest złe. Wówczas jestem doskonale wolny. Należy zauważyć jednak, że napisałem „co uważam za dobre” i „co w moim postrzeganiu jest złe” – a zatem doskonała wolność nie zawsze musi być tożsama ze świętością. Aby tak było, konieczne jest spełnienie jeszcze jednego warunku. Jeżeli miałowicie pod taką wolność podłożymy dobrą – to znaczy Bożą – hierarchię wartości, wówczas mamy jednocześnie definicję świętości. Człowiek, który zawsze wybiera dobro, a odrzuca zło, według Bożych kryteriów, jest człowiekiem świętym. I to jest właśnie pierwszy, podstawowy warunek, by móc osiągnąć szczęście przez miłość. Posiadać siebie, by móc siebie ofiarować na wybranej drodze miłości, drodze powołania życiowego. Nie chodzi o świętość dla świętości a o świętość, by móc przeżywać ekstremalne szczęście w miłości rozumianej jako bezinteresowny dar z siebie.

Nam się dziś świętość obrzydza. Wmawiają nam, że świętość jest nieatrakcyjna, że atrakcyjne jest łajdactwo. Ale prawdziwie atrakcyjna dla człowieka jest jego własna wolność, a tę może zapewnić jedynie świadomie obrana droga osobistego wzrostu, droga do świętości. Nie rodzimy się wolni, rodzimy się, jak to się mówi, zdeintegrowani, rozbici wewnętrznie. Droga do pełnej wolności, do pełnej integracji, zdolności wyboru dobra jest naszą całościową drogą. I to każdy z nas

przerabia, lepiej lub gorzej, podczas tej ziemskiej, doczesnej wędrówki. Każdemu z nas jeszcze ileś czasu dano na to, żeby dojść do tej w miarę najpełniejszej wolności.

Powstaje poważne pytanie, czy można do takiej doskonałej wolności wewnętrznej (świętości) dojść o własnych siłach? Nie! Zraniona (grzechem pierworodnym), niedoskonała natura nie może o własnych siłach dojść do... doskonałości. (Wierzący wiedzą: „Łaska Boska jest do zbawienia koniecznie potrzebna”, Sześć Prawd Wiary) Mimo protestów niewierzących niewzruszenie twierdzą, że do osiągnięcia pełni wolności potrzeba łaski. Tylko osoba wierząca może oddać życie za świat wyznawanych wartości.

Zachodzi zatem poważne pytanie, jaki musi być „wkład” własny, a ile można otrzymać darmo w postaci łaski? Nie wiem! Znam jednak anegdotę, która to ładnie ilustruje. Pewna starsza pani, przeżywszy uczciwie życie, przeszła na „drugą stronę”. Zobaczyła drzwi raju i pewnym krokiem skierowała się w ich stronę. Zatrzymał ją św. Piotr:

- Chwileczkę, tu obowiązuje punktacja!
 - Jaka punktacja?
 - Za to, co dobrego w życiu zrobiłaś.
 - Jak to, całe życie wierna żona, uczciwa matka...
 - Ładnie. Dziesięć punktów. Co jeszcze?
 - Syn jest księdzem. Poświęca się. Nie szuka wygody w życiu...
 - No dobrze, pięć punktów dodatkowo, co jeszcze?
- Pani, coraz bardziej przerażona, wyszukując w pamięci:
- Pomagałam chorej sąsiadce. Całkowicie bezinteresownie, nosiłam jedzenia, sprzątałam, pomagałam w myciu...
 - Dobrze. Dodatkowy jeden, niech będzie dwa punkty.

Kobieta coraz bardziej przerażona pyta:

- Święty Piotrze, a ile tych punktów potrzeba?
- Noo... Dziesięć tysięcy!

Kobieta totalnie przerażona woła:

- Jezu miłosierny, ratuj!

Na co św. Piotr:

- Dziękuję, wystarczy!

Tak, spodobało się Stwórcy, byśmy się osobiście trudzili a o resztę pokornie prosili... Niewierzący nigdy tej brakującej reszty nie dostaną... dopóki się nie nawrócą!

Jest jeszcze jeden poważny dylemat z tą wolnością wewnętrzną otwierającą drogę do szczęścia przez miłość. Ludzie nie chcą podjąć trudu, by zmierzać do własnej wolności. Rozsiadają się w zniewoleniach i jeszcze twierdzą, że to lubią. Kolejny przykład z życia. Młodziutka narzeczona (23 lata) pisze w mailu: *Panie Jacku. Mój narzeczony 3 miesiące przed ślubem przyznał się do pornografii i samogwałtu. Mój świat się zawalił. Straciłam grunt pod nogami. Po jakimś czasie zebrałam myśli. Są przecież terapie, ludzie wychodzą z najstraszliwszych uzależnień. Mówię mu: „Kochamy się. Wygramy! Ja się modłę, a ty idziesz na terapię. Wygramy!”. On na to: „Jaką terapię? Ja to lubię!”. Poszłam do jego rodziców i usłyszałam: „Przecież wszyscy to robią!”. Moi rodzice powiedzieli: „Co ty, chcesz być starą panną?”. Panie Jacku, czy ja zwariowałam, czy świat wokół mnie zwariował?...*

Otóż, świat zwariował. Ścisłej, bardzo liczni ludzie przestali kierować się rozumem i zrezygnowali z kształtowania woli, poddali się bezwolnie pobudzeniom podkorowym. Zaczęli ulegać ideologiom, które taką postawę (bezrozumną i bezwolną) pochwalają, kierować się poprawnością

polityczną. „Róbta co chceta” zakrólowało. (Notabene, „rób co chcesz”, czy „rób co lubisz” to naczelne hasło współczesnego satanizmu). Cały świat wartości chrześcijańskich został przez nich odrzucony, nawet tak oczywiste przykazania jak „nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij”... W konsekwencji ludzie zaczęli masowo ulegać nałogom. Robią, na co mają ochotę i (nieszczęśni) to nazywają swoją „wolnością. Ludzie upadali, upadają i będą upadali, gdy jednak ktoś nie chce powstać i swój upadek nazywa „wolnością”, to już świadczy o degeneracji człowieczeństwa.

Ludzie, którzy zrezygnowali ze swojej wolności, automatycznie (nie wiedząc o tym) odcięli się od możliwości przeżycia szczęścia w życiu. Ponieważ odcięli się od możliwości przeżycia prawdziwej miłości. Tak więc wolność wewnętrzna (świętość) jest warunkiem niezbędnym do szczęścia dla każdego z nas. Ta osobista dyspozycja wewnętrzna ostatecznie nie zależy od warunków zewnętrznych, od żadnych osób drugich – nawet nie od współmałżonka. Można i trzeba walczyć o nią osobiście, oczywiście korzystając ze wszystkich i wszystkiego, co może być pomocne. Również z łask sakramentalnych. Mogę zostać porzucony przez małżonkę, odcięty od rodziny i... nawet w takich warunkach osiągnąć wolność wewnętrzną. W pewnym sensie, taka ekstremalnie trudna okoliczność przy współpracy z łaską Bożą jest niesamowitą okazją do przekraczania siebie – choć, oczywiście, ani sobie, ani nikomu innemu takiego skrajnie trudnego doświadczenia nie życzę, to rzecz jasna.

Idźmy dalej. Skoro swoistą przepustką do szczęścia dla każdego człowieka jest jego własny wzrost do świętości, wynika stąd, że ekstremalne szczęście zarezerwowane jest dla

świętych. A zatem: Czym na ziemi jest świętość. Co to konkretnie jest? Jak zdefiniować świętość i czym ona objawia się w praktyce, w realiach tego doczesnego świata? Świętość to czystość bycia tym, kim zostałem stworzony, oraz robienia tego, do czego zostałem stworzony. Świętość to zdolność bycia sobą, po prostu – sobą prawdziwym, to znaczy sobą takim, jakiego mnie pomyślał, pokochał i powołał do istnienia Stwórcy (w tej właśnie kolejności, nie inaczej). Woda czysta to woda, w której nie ma ścieków. Czyste złoto nie zawiera domieszek. Analogicznie, człowiek czysty to człowiek taki, jakiego Bóg stworzył i pragnie mieć. Jakiego człowieka pragnie Bóg? O czym myślał Jezus, gdy, konając w męczarniach, wyrzekł jedno ze swych ostatnich przed śmiercią słów: *Pragnę* (J 19,28b)? On pragnął oddać odkupioną ludzkość Stęsknionemu Ojcu, odzyskać człowieka takiego, jakim stworzył go Bóg. A Bóg chciał mieć człowieka dla niego samego; człowiek to jedyne stworzenie, którego Bóg chciał dla niego samego, bezpośrednio. Nasz Stwórca chciał, żebyśmy byli szczęśliwi. I ten element szczęścia dotyczy każdego życia i każdego powołania. Dlatego każdy z nas do końca życia ma obowiązek (oby zaakceptowany jako powinność) o swoją czystość, o swoją zgodność z własną naturą, o wytrwanie w obranym powołaniu walczyć, wiedząc niezbicie, że to jest prawdziwe źródło szczęścia.

RELACJA MIŁOŚCI JAKO JEDYNE ŹRÓDŁO SZCZĘŚCIA

Jedynym źródłem szczęścia (o którym wspomniałem na samym początku) jest relacja miłości z Bogiem i drugim

człowiekiem. Odpowiadając na pytanie, które z przykazań jest największe, Jezus bez wahania podaje przykazanie miłości Boga i bliźniego:

Gdy faryzeusze dowiedzieli się, że zamknął usta saduceuszom, zebrali się razem, a jeden z nich, uczony w Prawie, zapytał Go, wystawiając Go na próbę: «Nauczycielu, które przykazanie w Prawie jest największe?». On mu odpowiedział: «Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem. To jest największe i pierwsze przykazanie. Drugie podobne jest do niego: Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego. Na tych dwóch przykazaniach opiera się całe Prawo i Prorocy» (Mt 22,34-40).

Można to rozumieć jako nakaz – ale nie sposób nie zobaczyć w tym także i obietnicy: *będziesz miłował*. Jezus wie, że prawdziwa, zdrowa relacja miłości do Boga i drugiego człowieka jest źródłem naszego szczęścia – i obiecuje nam, że krocząc Jego drogą, stanie się to naszym udziałem.

I tu dotykamy najboleśniejzych spraw. Dla ludzi, którzy weszli w małżeństwo, od dnia, kiedy wypowiedzieli swoje ostateczne: „tak”, najważniejszą relacją międzyludzką do końca życia musi być już zawsze relacja mąż – żona. I nigdy się od tego nie ucieknie. Pisząc o małżeństwie, mam na myśli przede wszystkim, oczywiście, związek sakramentalny wierzących katolików – ale ta podstawowa prawda dotyczy nawet ludzi niewierzących, jeżeli wzięli ślub z myślą, że to jest

decyzja na całe życie. Nie piszę o osobach, które ot, tak, dla zabawy czy na próbę weszły sobie w małżeństwo, powiedzmy na rok – ale o tych (nawet niewierzących), którzy poważnie podjęli decyzję na całe życie. W tym momencie zdecydowali, że ze wszystkich relacji międzyludzkich dla nich najważniejszą do końca życia będzie relacja mąż – żona. Dopiero dalej idą relacje z dziećmi. Nawet gdy są one piękne i fascynujące (zwłaszcza dla matki), nigdy nie powinny stać się ważniejsze od relacji ze współmałżonkiem. (Postawienie dzieci na pierwszym miejscu burzy Boży ład i prowadzi do bardzo poważnych negatywnych konsekwencji w życiu całej rodziny.)

Jeśli w małżeństwie przyszły na świat dzieci, to w porządku relacji międzyludzkich zajmują one drugie miejsce po relacji mąż – żona. Jeżeli dzieci jest więcej niż jedno, istotne dla prawidłowego rozwoju wszystkich jest to, aby rodzice mieli relacje z każdym z nich, nie wykluczając żadnego. Aby wszystkie nasze dzieci nie zeszyły w życiu z dobrych dróg, musimy mieć relację z każdym. Brak dobrej więzi ojca i matki choćby z jednym z dzieci powoduje zaburzenie rozwoju emocjonalnego i duchowego nie tylko tego jednego, ale także wszystkich pozostałych. Dobrze ilustruje to przypowieść o zagubionej owcy, gdy pasterz zostawia dziewięćdziesiąt dziewięć i biegnie szukać tej setnej, która się zagubiła:

*Opowiedział im wtedy następującą przypowieść:
«Któż z was, gdy ma sto owiec, a zgubi jedną
z nich, nie zostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu
na pustyni i nie idzie za zgubioną, aż ją znajdzie?
A gdy ją znajdzie, bierze z radością na ramiona
i wraca do domu; sprasza przyjaciół i sąsiadów*

i mówi im: „Cieszcie się ze mną, bo znalazłem owcę, która mi zginęła”. Powiadam wam: Tak samo w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia (Łk 15,3-7).

W owczarni musi być komplet, żeby wszystkie owce funkcjonowały prawidłowo. Choćby nawet rodzice mieli piętnaścioro dzieci i jedno im się zagubiło, do końca życia nie będą w pełni szczęśliwi – chyba, że się odnajdzie. To dlatego ojciec syna marnotrawnego otwiera szeroko ramiona i szykuje ucztę, przyjmuje syna bez względu na to, co on narozrabiał. Drugi syn tego nie rozumie, nie wie, że naprawa relacji z marnotrawnym bratem jest warunkiem szczęścia wszystkich domowników, jego również:

Tymczasem starszy jego syn przebywał na polu. Gdy wracał i był blisko domu, usłyszał muzykę i tańce. Przywołał jednego ze sług i pytał go, co to ma znaczyć. Ten mu rzekł: „Twój brat powrócił, a ojciec twój kazał zabić utuczzone cielę, ponieważ odzyskał go zdrowego”. Na to rozgniewał się i nie chciał wejść; wtedy ojciec jego wyszedł i tłumaczył mu. Lecz on odpowiedział ojcu: „Oto tyle lat ci służę i nigdy nie przekroczyłem twojego rozkazu; ale mnie nie dałeś nigdy koźlęcia, żebym się zabawił z przyjaciółmi. Skoro jednak wrócił ten syn twój, który roztrwonił twój majątek z nierządnicami, kazałeś zabić dla niego utuczzone

ciele”. Lecz on mu odpowiedział: „Moje dziecko, ty zawsze jesteś przy mnie i wszystko moje do ciebie należy. A trzeba się weselić i cieszyć z tego, że ten brat twój był umarły, a znów ożył, zaginął, a odnalazł się” (Łk 15,25-32).

Zwykle biblijny ojciec syna marnotrawnego jest rysowany jako ikona Boga miłosiernego, taki wspaniały, wybaczący, bez słowa wyrzutu – i z pewnością jest to prawidłowa interpretacja. Ale gdybyśmy popatrzyli na to z punktu widzenia psychologicznego, gdyby to był facet, który by chciał „egoistycznie” być szczęśliwy, musimy przyznać, że zrobiłby dokładnie to samo. Bo w momencie, kiedy syn wraca, ojciec odzyskuje szansę na pełnię szczęścia. Ma wszystkich „w domu”.

Dalej, po relacji ze współmałżonkiem i z dziećmi jest miejsce dla rodziców i teściów. Rodziców wprost z przykazania, ale teściów? Tak. Skoro małżonkowie mają być: „dwoje w jednym ciele”. Skoro ich miłość ma być „pełna” – obejmować wszystkie dziedziny życia. Skoro wreszcie: „Celem małżeństwa jest wspólna droga do świętości przez budowę komunii osób na wzór komunii Osób Boskich” (św. Jan Paweł II) to wszystko jest ich wspólne. Również rodzice, również... szczęście. Rodzice (zwłaszcza mama) zajmują bardzo ważne miejsce w sercu każdego z nas. Matka jest takim uczuciowym łącznikiem z domem rodzinnym, z dzieciństwem. Jeżeli np. mąż pielęgnuje w sobie nienawiść, albo choćby niechęć do mamy żony, to nigdy z tą żoną nie zbuduje najgłębszej więzi. To ich będzie oddzielać. Czas byśmy to wreszcie zrozumieli. Żeby być szczęśliwymi, musimy mieć dobre relacje, choćby wewnętrznie, z własnymi rodzicami – określa to jasno czwarte przykazanie – i z rodzicami

współmałżonka, tak zwanymi teściami... Wiem, że teściowie bywają nieznośni, że potrafią naprawdę niezle się wtrącać w nieuprawniony sposób w małżeństwo, a nierzadko też w wychowanie dzieci, czyli ich wnuków.

Niektórzy z panów pewnie powiedzą: Pan nie zna mojej teściowej! Otóż, znam różne teściowe. Od bł. Marianny Bierackiej, która dobrowolnie poszła na rozstrzelanie zamiast swojej synowej w stanie błogosławnym, po naprawdę nieznośne, próbujące ustawiać małżeństwo swych dzieci. Jeżeli masz naprawdę trudną teściową, to potraktuj ją jako... siłownię. (Nawet nie musisz wykupywać karnetu. Sama przychodzi, za darmo!) Jej nie zmieniaj a siebie wzmocnij. Masz szansę na wzrost samoopanowania, na wzrost w wymiarze psychicznym a nawet duchowym.

Potraktuj to jako zadanie i szansę. Ten temat rozwinę w dalszych rozdziałach książki – tymczasem zaznaczmy tylko, że właściwa relacja z rodzicami i teściami jest absolutnie konieczna dla prawidłowego rozwoju i szczęścia całej rodziny.

Dopiero na czwartym miejscu (co do ważności) jest miłość do wszystkich innych osób. I tych innych ludzi jest mnóstwo wokół nas, na szczęście do pewnego stopnia możemy ich sobie wybierać, nie jesteśmy skazani na wszystkich, którzy nam są w ten czy inny sposób niemili. Możemy wybierać do pewnego stopnia, ale też nie do końca – nie wszyscy mogą sobie wybrać szefa w pracy, nie wszyscy mogą sobie wybrać sąsiada i tak dalej. Na pewnych ludzi jesteśmy mniej lub bardziej skazani i ważne jest, by relacje z tymi ludźmi były... ludzkie. Nie musimy się zgadzać politycznie, nie musimy się poklepywać po plecach, natomiast mają to być zawsze pełne szacunku

wzajemnego, uczciwe relacje. Jedno jest ważne. Abyśmy do nikogo na świecie nie żywili nienawiści. Bo nienawiść niszczy... nienawidzącego. Blokuję jego rozwój, wzrost i w efekcie szczęście. Dlatego Chrystus powiedział: „Miłujcie nieprzyjaciół swoich” (por. Mt 5,44). To nie znaczy: „Pochwalajcie ich złe czyny”, czy: „Pozwólcie się krzywdzić”. Absolutnie nie! To znaczy, że mamy nieprzyjaciółom życzyć dobrze, czyli, aby się nawrócili, by przestali źle czynić. Na to powinien móc się zdobyć każdy chrześcijanin. Życzenie komukolwiek „by go piekło pochłonęło” jest niechrześcijańskie. Przed tym trzeba samego siebie bronić.

Reasumując, są cztery grupy relacji międzyludzkich (niezależnie od relacji z Bogiem), które decydują o szczęściu człowieka żyjącego w małżeństwie. Na pierwszym miejscu współmałżonek. Na drugim dzieci. Potem, na trzecim, rodzice i teściowie. To jest „pula obowiązkowa”. Ze wszystkimi z tej „puli” musimy mieć całozyciowe, dobre relacje miłości, jeżeli naprawdę chcemy być szczęśliwymi. Tych relacji za żadną cenę nie możemy sobie odpuścić. Osoby, które wchodzą do tej puli ludzi, nawet patrząc z egoistycznej strony, do końca życia muszą być przez nas miłowane. Pozostałych ludzi (czwarta grupa) mamy po chrześcijańsku miłować. A z wybranymi spośród nich (odpowiadającymi nam „duchowo”) mamy budować bliższe więzi miłości, które jednak nigdy nie powinny zagrozić więziom podstawowym ze współmałżonkiem i z dziećmi. Przykładowo, mąż mający aktualnie złą relację z żoną nie może sobie pozwolić na zaprzyjaźnienie się z kobietą, „bratnią duszą”. Potem zwykle następują zwierzenia, jak mu ciężko z żoną i jej szlachetne „rady”, jak naprawiać małżeństwo... Jest to śmiertelnie niebezpieczne, co

jednoznacznie potwierdza doświadczenie życiowe. Może mieć dziesięć „bratnich dusz” pod warunkiem, że relacja z żoną jest co najmniej dziesięć razy głębsza.

A zatem, punktem wyjścia do szczęścia są relacje miłości, a one wymagają osobistego wzrostu do wolności dysponowania sobą, czyli... świętości. Wszyscy potrzebujemy własnego wzrostu i relacji miłości. O ile pracy nad własnym wzrostem dokonywać może każdy indywidualnie, w każdej sytuacji życiowej, o tyle w przypadku rozwijania relacji z ludźmi potrzebujemy innych ludzi – i nic na to poradzić się nie da. Tak więc szczęście nie jest sprawą indywidualną, potrzebujemy do niego innych i tym samym od tych innych jesteśmy w pewnym sensie uzależnieni. Małżeństwo jest więc ryzykownym powołaniem, wszyscy o tym doskonale wiemy, właśnie dlatego, że nie da go się wygrać w pojedynkę. Małżeństwa nie da się wygrać w pojedynkę! I choć naprawdę daleki jestem od rozdzielania win, że to wina męża, tamto wina żony, to muszę przyznać, że każdy z nas, małżonków, ponosi ryzyko w tym sensie, że jest uzależniony od postawy tego drugiego. W związku z tym ludzie, którzy weszli w małżeństwo, z jednej strony mają szansę na ekstremalne szczęście, ale z drugiej nie mogą mieć gwarancji, że będą szczęśliwi. I powinni to brać pod uwagę, gdy stają przed ołtarzem. Dlatego wejście w małżeństwo musi być roztropne. Wielu kłopotów byśmy uniknęli, gdybyśmy wchodzili w małżeństwo roztropnie i... po Bożemu. (Choćby przestrzeżenie przykazania „nie cudzołóż” uchroniłoby wielu przed wejściem w małżeństwo od startu rokujące źle i oszczędziłoby wielu problemów małżeńskich, zwłaszcza w dziedzinie intymnej, do zdrad włącznie.)

Patrząc z tego punktu widzenia, można by stwierdzić, że kapłani mają w pewnym sensie bezpieczniej. Ja nie mówię, że powołanie kapłańskie jest łatwiejsze, nie powiedziałem tego – jest na pewno bardzo trudne, skoro do tego powołania został dołączony sakrament, jako specjalna pomoc „odgórna”. Skoro do małżeństwa i do kapłaństwa został dołączony sakrament jako łaska nadzwyczajna, to widocznie te dwa powołania do miłości są po ludzku niemożliwe do wypełnienia. Dlatego trzeba pomocowych środków nadzwyczajnych. (Zresztą każdy, kto obficie korzysta z łask sakramentalnych, wytrwa w swoim powołaniu do śmierci.) Ale kapłan ma łatwiej w tym sensie, że w wypełnieniu swego powołania nie jest uzależniony od żadnego z ludzi. Związanie pierwszą, najważniejszą miłością z Bogiem jest całkowicie bezpieczne. Bóg nigdy nie „nawala”. Człowiek zawsze, bardziej lub mniej... Oczywiście kapłan może mieć nieznośnego proboszcza, ale to tylko na jakiś czas. W każdym razie, to nigdy nie jest już do śmierci jazda na jednym wózku, tak jak wsiadają na jeden wózek do wspólnego szczęścia w dniu ślubu małżonkowie.

RELACJA Z BOGIEM

Rozważając konieczność tej nadzwyczajnej łaski, jaką jest darowany przez Boga sakrament, trzeba sobie koniecznie uświadomić jedną podstawową rzecz: żaden człowiek nie jest panem swojego – ani tym bardziej cudzego – życia. Decydując się ponad czterdzieści lat temu, że będę z moją żoną do końca życia, jako człowiek wierzący nie mogłem powiedzieć ani sobie, ani jej:

– Od dzisiaj jesteś moją żoną, idziemy do łóżka i będziemy żyli jak małżeństwo!

Nie. Nie jestem przecież panem swojego życia tak do końca, ja jestem tylko zarządcą. Moje życie zostało mi powierzone do zagospodarowania, ale jego Panem jest Bóg. A zatem, chcąc wejść w związek małżeński, musiałem Jego zapytać, czy ja mogę tę drogę miłości realizować. On się zgodził (po przebadaniu przez Kościół – protokół przedślubny), pobłogosławił – i zawarliśmy sakramentalny związek małżeński. W tamtym momencie stało się coś takiego, że to nie ja wziąłem sobie żonę, ale to On na moją prośbę mi ją dał. On mi ją dał! Ja mogę pytać:

– Panie Boże, dlaczego ten dar jest taki trudny? – ale zawsze muszę mieć świadomość, że jest to dar od Niego. A skoro tak, to nie mogę poddawać w wątpliwość, że ten dar od Pana Boga jest dla mnie potrzebnym darem, bo Bóg nie daje rzeczy niepotrzebnych.

Jest taka prosta, pobudzająca do refleksji, opowieść księdza Malińskiego o ludzkich krzyżach. Otóż, pewien człowiek już chciał skończyć ze sobą, już miał dosyć, ponieważ czuł, że krzyż, który dźwiga, to krzyż ponad jego siły. Ale w nocy przyszedł do niego Anioł Stróż, zabrał go na jakiś dziwny strych, na którym leżało pełno krzyży. I Anioł rzekł:

– Skoro twój krzyż ci nie odpowiada, wybierz sobie lepszy, Bóg ci pozwolił zamienić na inny.

Człowiek zaczął się rozglądać. Chwycił piękny, złoty, nabijany kamieniami szlachetnymi – ale był za ciężki. Przymierzył więc dębowy, ale okazał się strasznie twardy. I tak mierzył jeden, drugi, piąty, dziesiąty, całą noc przymierzał – nie było odpowiedniego. W końcu, zniechęcony, zobaczył jeszcze

jeden, oparty o ścianę w kącie. Niby prosty, ale było w nim coś... Przymierzył – no, lekki nie jest, ale właściwie da się unieść, jakoś dobrze leży na plecach – podjął decyzję: weźmie ten, jest w sam raz! Wtedy jego Anioł Stróż rzekł mu:

– To jest ten krzyż, który niesiesz od urodzenia.

Jest taka piękna modlitwa kardynała Newmana, która mówi: „Nie szukam raju odległych widoków, daj mi promyczek dla jednego kroku”. Żebyśmy ten jeden krok jeszcze zrobili, a jutro następny i następny – nie musimy widzieć od razu całej perspektywy, bo czasami tej perspektywy, po prostu, nie widać.

Pisząc o relacjach, które są warunkiem szczęścia człowieka, nie wyczerpałem więc jeszcze tematu. Istnieje jeszcze jedna relacja, która jest niezbędną do szczęścia człowieka. To jest relacja fundamentalna, stanowiąca tęsknotę wkodowaną od samego poczęcia w serce każdego człowieka. To nie jest przypadek, że we wszystkich zakątkach świata, nawet na najmniejszych wyspach Pacyfiku, w buszu, dżungli czy górach, wszyscy ludzie od zawsze wzdychali i do dziś wzdychają do jakiejś Istoty Wyższej, jakkolwiek by ją nazywały.

Logiczna i uprawniona jest zatem interpretacja, że taka tęsknota jest po prostu wpisana w serce człowieka przez jego Stwórcę. To tęsknota do relacji ze swoim Stwórcą. Jeżeli tę tęsknotę rozwiniemy, pójdziemy za nią, wówczas możemy dopiero być w pełni szczęśliwi. Jeżeli tę tęsknotę odrzucisz, nie będziesz w pełni sobą, a więc nie będziesz szczęśliwym. Ludzie, którzy ją wypierają, jakoś zagłuszają w sercu, nie realizują relacji z Bogiem, obiektywnie rzecz biorąc, nie mogą być w pełni szczęśliwymi. Z tego toku rozumowania wyłoniła się straszna rzecz: człowiek niewierzący nie może być szczęśliwy. Tak to w istocie

wygląda. Nie może być w pełni szczęśliwy, ponieważ nie jest w pełni sobą. Do bycia w pełni sobą konieczna jest relacja człowieka z Bogiem. I naprawdę nie piszę tego z pogardą ani z poczuciem wyższości dla ludzi niewierzących. Przeciwnie, czynię to z ogromnym smutkiem, ponieważ wiem, że choć wielu z nich myśli, że żyją pełnią szczęścia, mimo to są obiektywnie głęboko nieszczęśliwi, niestety. (Dopóki się nie nawrócą.)

Z faktu, że tęsknota za relacją z Bogiem została każdemu człowiekowi „zaprogramowana” niejako odgórnie, przez Stwórcę, wynika również i to, że relacja ta jest możliwa do rozwijania przez każdego i w każdej sytuacji życiowej. Nawet w zamknięciu w więzieniu, w celi śmierci, nawet w jakimś kalectwie, które nie pozwala ruszyć ręką i nogą, nawet w porzuceniu przez współmałżonka – w każdej sytuacji życiowej, przy każdym zdrowiu możemy w tę relację ze Stwórcą inwestować.

Skoro „kawałkiem” twojego szczęścia jest relacja z Bogiem, to sensowne jest pytanie, ile w nią inwestujesz. Konkretnie, ile czasu poświęcasz dziennie Panu Bogu. Stefan kard. Wyszyński powiedział: Ludzie mówią, że czas to pieniądz. A ja wam mówię, że czas to miłość”. Tak, poświęcany czas jest miarą twojej miłości. Jeżeli więcej czasu przeznaczasz na hobby niż na dzieci, to znaczy, że bardziej kochasz hobby niż dzieci. Jeżeli więcej czasu przeznaczasz na Internet czy telewizję niż na modlitwę, to znaczy, że bardziej kochasz to, co tam oglądasz, niż Boga. Miara czasu jest prosta, jednoznaczna i obnażająca. Odzierająca z samozadowolenia i złudzeń. Ilu ludzi bez zmruczenia oka mówi: „Jestem wierzący”, a Pana Boga „odwiedza” w Kościele dwa razy w roku (na pasterkę i ze święconką). Pora podjąć konkretną decyzję: ile czasu dziennie poświęcę Panu Bogu. Może 1%? To daje 14 minut i 24 sekundy! Święta Teresa

Wielka mówiła: „5 minut dziennie kontemplacji a będziesz świętym”. Matka Boża w Medjugorie wzywa do... 3 godzin modlitwy dziennie. A może świat w swojej bezbożności i kpienie z przykazań zabrnął tak daleko, że potrzeba 3 godzin modlitwy dziennie ofiarowanych Bogu przez ludzi wierzących, by ten świat uratować? Zauważmy, że inwestycja czasu w relacje z ludźmi jest zawsze ryzykowna, bowiem ludzie... zawsze „nawalają”. Oby coraz mniej, ale wszyscy do końca życia będziemy (oby coraz mniej) „nawalać” w relacjach miłości. W relacji człowieka z Bogiem, On nigdy nie nawala! Inwestycja jest na 100% pewna. Można tylko zyskać! Ktoś może powiedzieć: „Ale ja jestem tak zagoniony w codzienności, że nie mam nawet tych 15 minut dziennie”. To się zatrzymaj w biegu, zastanów, co najważniejsze. Przestań robić wyłącznie rzeczy pilne, a zacznij ważne! Skąd wziąć czas? Wstań 15 minut wcześniej. Organizm tego nie zauważy. A jeżeli jesteś leniem i trudno ci się wstaje, to jeszcze lepiej. Pokonując trudność, własną słabość będziesz przybliżał się do szczęśliwej świętości.

Podsumowując, niczym nieograniczone perspektywy dążenia do własnego szczęścia stanowią dwa czynniki: własny rozwój do świętości i własna relacja z Bogiem. Natomiast w relacjach z innymi ludźmi jesteśmy zawsze ograniczeni i uzależnieni również od ich świadomych i wolnych wyborów. Tę zależność od drugiego trzeba zawsze wkalkulować w międzyludzkie relacje miłości. Tego bezbronnego oddania się w miłości uczy nas sam wszechmocny Bóg, który jako pierwszy zgodził się uzależnić swoją relację z człowiekiem od decyzji jego wolnej woli. Dał człowiekowi wolną wolę, pozwalającą nawet Go odrzucić, ogłosić, że Go nie ma, nawet bluźnić... To jest nieodgadniona tajemnica Miłości.

3. CZYNNIKI UTRWALAJĄCE WIĘŹ MAŁŻEŃSKĄ

CEL SAKRAMENTU MAŁŻEŃSTWA

Zacznijmy od tego, że małżeństwo jest pomysłem Stwórcy. Czytamy w nauce Kościoła katolickiego: „Małżeństwo bowiem nie jest wynikiem jakiegoś przypadku lub owocem ewolucji ślepych sił przyrody, Bóg Stwórca ustanowił je mądrze i opatrnościowo w tym celu, aby urzeczywistnić w ludziach swój plan miłości” (*Humanae vitae* II,8). Gdybyśmy trzymali się Jego „przepisu” na małżeństwo, wszyscy bylibyśmy przeszczęśliwi. Ten „przepis” to przykazanie miłości Boga i bliźniego rozszerzone w dziesięciorgu przykazań. Wszystkie tragedie w małżeństwach mają swoją przyczynę w odejściu od przykazań. Dodajmy, że ustanowione przez Boga małżeństwo było zaplanowane jako nierozzerwalne. „Co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela” – to słowa samego Chrystusa (por. Mt 19,6). By nie było żadnych wątpliwości, Chrystus dodał: „Kto oddał swoją żonę i łączy się z inną cudzołożą, kto łączy się z oddaloną – cudzołożą” (por. w. 9). Tych słów Chrystusa nie da się odwołać. Nawet papież i Kościół nie jest władny zmienić Bożą koncepcję małżeństwa jako związku nierozzerwalnego do śmierci. Ta Boża koncepcja nierozzerwalnego małżeństwa będzie aktualna do końca świata, niezależnie od tego jak ludzie jej się sprzeniewierzą i będą próbowali zanegować.

Bóg wie, że miłość małżeńska jest trudna, po ludzku nie do wygrania w pełni. Dlatego wyposażył Stwórcą tę miłość w środki specjalnego, nadprzyrodzonego wsparcia. Myślę oczywiście o łasce sakramentu małżeństwa. I wiem ponad wszelką wątpliwość, że małżeństwo, które z tych łask będzie nieprzerwanie korzystać, przetrwa wszystkie kryzysy i trudności. Tego uczy doświadczenie. To jest obiecane w przypowieści o domu na skale.

Na samym początku rozważań na temat trwałości więzi małżeńskiej należy zadać sobie pytanie podstawowe: co w ogóle jest celem małżeństwa? To bardzo ważne pytanie. Gdyby ktoś zrobił ankietę na ulicy, okazałoby się, że celów małżeństwa będzie wymienionych sporo. Prawdopodobnie większość ankietowanych odpowiedziałaby, że podstawową funkcją małżeństwa jest spłodzenie i wychowanie potomstwa – ale to wcale nie jest pierwszorzędny cel. Oczywiście ważnym zadaniem małżeństwa jest przekazywanie życia w miłości, ale jest coś ważniejszego. Co jest celem pobytu człowieka na ziemi? Zbawienie. A zatem, co jest celem małżeństwa? Również zbawienie – zbawienie, które należy osiągnąć na tej konkretnej drodze. Człowiek żyje na tym świecie, żeby się zbawić. (Świat bezbożny kusi nas wizją, że żyjemy po to, żeby się zabawić. Jest to jednak ułuda, na którą, niestety, wielu dało się nabrać.) Właśnie w kontekście wspólnego zmierzania do zbawienia należy mówić o miłości małżeńskiej. Tak więc budowa relacji miłości pomiędzy małżonkami jest najważniejszym zadaniem i jednocześnie źródłem szczęścia małżonków. Tak, miłość w relacji małżonków jest podstawowym źródłem szczęścia płynącego z małżeństwa (poza wspomnianą wcześniej relacją miłości z Bogiem). Kolejnymi źródłami szczęścia

w małżeństwie są relacje miłości z dziećmi, rodzicami i teściami, i wreszcie z innymi ludźmi.

Zacznijmy od zdiagnozowania sytuacji człowieka żyjącego w trudnym małżeństwie. Człowiek, który sądzi, że wszystkiemu, co złe w małżeństwie, jest winny ten drugi, nie jest w stanie tak naprawdę uczciwie zabrać się do pracy nad naprawą relacji małżeńskiej. Bo skoro wszystkiemu jest winny ten drugi, to czemu ja mam się zmieniać? Jeżeli żona wszystko robi źle, a ja całe życie jestem umęczony tą wstrętną kobietą, to dlaczego mam się teraz jeszcze wysilać?! Zdarza się, że ktoś przychodzi do mnie, do poradni, z takim problemem. Bywa, że wówczas stosuję następujący zabieg:

– Czyli w waszym małżeństwie pan jest ten lepszy, a żona gorsza?

– No, tak.

– To kto powinien naprawiać i ratować małżeństwo, lepszy czy gorszy?

–????????? (cisza)

Czasem, próbując pobudzić do krytycznego względem siebie samego myślenia stosuję inny zabieg:

– Z tego, co pan mówi, to żona jest straszną jędzą...

– Tu się muszę z panem zgodzić!

– To po co pan się z taką jędzą żenił?

– Ależ, proszę pana, w dniu ślubu to ona była wspaniała, zupełnie inna...

– Acha. I przy panu się taka stała. Pod pana opieką?

–????????? (cisza)

Logika powyższego jest trudna do podważenia. Może pomóc w zmianie myślenia i... we wzięciu się za ratowanie małżeństwa przez tego „lepszego”.

Każda ze stron ma moralny obowiązek inwestować w rozwój więzi małżeńskiej, w jej naprawę – nikt nie jest z tego zwolniony aż do śmierci. Oczywiście, o naprawie i rozwoju można mówić tam, gdzie to jest możliwe – czasami możliwe nie jest. Ale to nie znaczy, że jesteśmy zwolnieni z wysiłków. Jak już pisałem wcześniej, akurat w relacji małżeńskiej nie mamy gwarancji szczęścia, ponieważ nie zależy ono tylko od nas samych. Nie możemy tej relacji w pojedynkę wygrać – i to nie tylko w sytuacji, gdy współmałżonek już odszedł, czasami jest to niemożliwe nawet wtedy, kiedy on jest tuż obok nas. Jeśli się jedna strona, że tak to ujmę, usztywni na swoim złym stanowisku, wówczas druga staje się, wydawać by się mogło, bezradna. Ale to nie znaczy, że jest zwolniona ze starań o naprawę małżeństwa. Ma robić wszystko, co w jej mocy, by ratować małżeństwo do końca życia, do śmierci. Czasem pozostaje tylko (i aż) wytrwała modlitwa, tej nigdy nie wolno zaniechać. To wybraliśmy w dniu ślubu, na to się zdecydowaliśmy.

Jeśli współmałżonek odszedł, trzeba się zastanowić, co można zrobić ze swojej strony. Oczywiście, da się wypełnić przysięgę małżeńską jednoosobowo: miłość, wierność i uczciwość małżeńską, nieopuszczenie do śmierci – to wszystko ze swojej strony wypełnić można. Można to zrealizować w pojedynkę i dojść tą drogą do świętości – natomiast nie można być w pełni szczęśliwym tu, na ziemi, jeżeli relacja małżeńska zostanie zniszczona. Na pewnych terenach tak: w rozwoju osobistym – tak, w rozwoju relacji z Bogiem – tak, tu nie ma żadnych granic; ale już w relacji ze współmałżonkiem,

najważniejszej z relacji międzyludzkich – nie. Tego jednoosobowo nie wygramy.

PRZYLGNIĘCIE DO BOGA

Popatrzmy pod kątem pozytywnym, co może uchronić małżeństwo przed rozpadem. Wspomniałem już, że w mojej ponad czterdziestoletniej praktyce pracy z małżeństwami stwierdziłem wyraźny związek religijności z trwałością małżeństwa. Oczywiście poziomu prawdziwej wiary i religijności nie da się obiektywnie zmierzyć jednak poziom praktyk i korzystanie z łask sakramentalnych wiele o tym mówią. Małżeństwo, które potrafi codziennie wieczorem wypowiedzieć wspólnie słowa „... i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy...” w moim przekonaniu, opartym na doświadczeniu przetrwa zwycięsko najcięższe nawet kryzysy. Pamiętam piękne małżeństwo z czwórreczką dzieci, które po dwudziestu latach małżeństwa powiedziało: „w dniu ślubu postanowiliśmy, że codziennie przed snem odmówimy jedno wspólne Ojcie Nasz. Bez tego nie położymy się spać!” Po chwili z uśmiechem dodali: „parę razy w ogóle nie położyliśmy się spać”. Przetrwali wszystkie kryzysy i są szczęśliwym małżeństwem! A zatem mamy „receptę”: wystarczy chodzić co niedzielę do kościoła i codziennie odmówić Ojcie nasz ze słowami: „Odpuść nam nasze winy, jako i my sobie odpuszczamy”, czyli czynem wypełnić powiedzenie św. Pawła: „Niech słońce nie zachodzi nad zagniewaniem waszym” (por. Ef 4,26).

Ponadto próbuje nam się wmawiać, że ponowne związki są lepsze od pierwszych. Oto mówią nam, że w drugim małżeństwie już wie się, jak żyć – a w pierwszym popełniło się

błędy. Nic podobnego: w drugie małżeństwo wnosi się rany z pierwszego. Wchodzi się w nie z tym brzemieniem, że tamto pierwsze, jedyne, które miało być do końca życia, trwało zaledwie parę lat. Często powtarzam: druga żona ma wszystkie wady pierwszej i... dodatkowo jeszcze swoje. Nie zapomnę rozmowy w poradni, gdy mężczyzna powiedział:

– Gdybym wiedział, jaka będzie moja trzecia żona, nigdy nie odszedłbym od pierwszej.

Dla mnie najpewniejszym zabezpieczeniem trwałości małżeństwa jest po prostu przyłgnięcie do Boga (poprzez wytrwałe codzienne praktyki i korzystanie częste z łask sakramentalnych. I dlatego, kiedy rozmawiam z dziewczyną, która mówi tak:

– Proszę Pana, poznałam chłopaka, taki miły jest, nawet zwierzątka lubi, wie pan, i tak pięknie się dziećmi zajmuje, nawet do siostry się ładnie odnosi i mamę szanuje... – tak słucham tego, tych wszystkich peanów i przechodzę do sedna:

– No i co, niewierzący?

– A skąd Pan wie?

Bo takich rozmów miałem wiele. Całe to opowiadanie było na usprawiedliwienie tego, że jest niewierzący. Opiekuje się dziećmi i zwierzątkami, cudownie. Tylko jak ona zbuduje więź duchową z osobą niewierzącą? Jak wychowa religijnie dzieci w świecie wartości katolickich z osobą niewierzącą? Nie będzie jej to przeszkadzać? Przecież dziecko patrzy na ojca, budując w sobie obraz Boga! To jest dramat bardzo wielu porządnych i wierzących matek, że dziecko buduje w sobie obraz Boga, patrząc na ojca, który... jest nieprzyzwoity. Dziecko takie, z ogromnym prawdopodobieństwem, w wieku kilkunastu lat odejdzie od Kościoła ze słowami:

– Jeżeli Bóg jest taki, to ja w niego nie wierzę!

Odrzuci karykaturę Boga i słusznie, bo powinno ją odrzucić – ale przy okazji odrzuci też Boga prawdziwego, którego nie zna, zerwie z Kościołem, z sakramentami, z modlitwą, z Bogiem prawdziwym. Dlaczego? Bo tatuś był nieprzyzwoity i Boga mu... obrzydził! Boga prawdziwego, wszechmogącego, miłującego i miłosiernego, poznawszy choćby odrobinę, nikt przy zdrowych zmysłach nie odrzuci!

Bezwzględnie pierwszym i podstawowym elementem trwałości małżeństwa jest szczerze przyłgnięcie obojga do Boga, do sakramentów, Kościoła i modlitwy. Chodzi o odnowienie w sobie tej pierwszej miłości, o której pisze św. Jan w Apokalipsie:

*Znam twoje czyny: trud i twoją wytrwałość,
to że złych nie możesz znieść,
i że próbie poddałeś tych, którzy zwa samych
siebie apostołami, a nimi nie są,
i żeś ich znalazł kłamcami.
Ty masz wytrwałość:
i zniósłeś cierpienie dla imienia mego –
niezmordowany.
Ale mam przeciw tobie to, że odstąpiłeś od twej
pierwotnej miłości.
Pamiętaj więc, skąd spadłeś,
i nawróć się,
i pierwsze czyny podejmij! (Ap 2,2-5a).*

Małżeństwa, które znalazły się na jakimś bardzo trudnym zakręcie, nawet po bardzo ciężkich zadanych sobie ranach, mają realne szanse, aby się podźwignąć. Jeśli tylko dochodzą

do tego, że jednak chcą to sakramentalne małżeństwo ratować, że jednak chcą to sklecać, że jednak chcą raz jeszcze próbować, raz jeszcze zaufać. Wiem z wieloletniego doświadczenia w poradni, że to się w pełni udaje, kiedy oni naprawdę i szczerze nawrócą się do Boga. Jeżeli padną na kolana, jeżeli zaczną od spowiedzi, jeżeli przywrócą regularne praktyki, sakramenty, wówczas udaje się wyjść z najgorszych nawet opresji. Z nieprawdopodobnych sytuacji ludzie się już podźwigali. Ale też miałem parę takich przypadków, że ludzie o własnych siłach chcieli się dźwigać – to działało czasem tydzień, czasem dwa, euforia... i potem znowu wszystko upadało. (Myślę tu szczególnie o pewnym związku ludzi podających się za wierzących. Związku niesakramentalnym, bez przeszkód do zawarcia małżeństwa, z trójką małych dzieci. Nie chcieli uregulować sytuacji z Bogiem. Chcieli „najpierw” o własnych siłach naprawić. Bezradnie towarzyszyłem ich miotaniu się. Nie muszę dodawać, że nie dali rady...)

STAŁE KIEROWNICTWO DUCHOWE

Potrzeba środków nadzwyczajnych, potrzeba Bożych łask, żeby w pewnych sytuacjach się pozbiierać. Coraz częściej podpowiadam przychodzącym do mnie małżeństwom stałego spowiednika. Myślę, że jest to inaczej potrzebne kobiecie, inaczej mężczyźnie – ale coraz bardziej skłaniam się do tego, że jest potrzebne obojgu. Zazwyczaj namawiam, żeby to był kapłan w miarę możliwości starszy o dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat – po to, żeby podchodził do nich z pozycji ojca. Kapłan, oczywiście, jest kapłanem – każdy, ten dzień po święceniach

też – i spowiedź u każdego jest tak samo ważna. Natomiast chodzi również o to doświadczenie duszpasterza, który już niejedno widział – żeby rozeznał, pomógł, pokierował. To doświadczenie buduje autorytet i jest to szczególnie ważne zwłaszcza w przypadku mężów. Mężczyźni znacznie łatwiej jest uznać autorytet kogoś, kto jest starszy, doświadczony, na pozycji bliskiej ojcu. To ważne, bo czasami panowie mają różne głupie pomysły na ratowanie małżeństwa. Kapłan odnoszący się do nich z pozycji ojca może pewne pomysły wyhamować, a do innych zachęcić. Także dla żony kapłan dużo starszy będzie odpowiedniejszy. Ma to szczególne znaczenie w przypadku małżeństw, które przechodzą bardzo silny kryzys więzi. Znacznie bezpieczniej jest skorzystać z pomocy księdza starszego wiekiem, niż rówieśnika – również po to, aby wyeliminować czynnik wynikający ze zwykłej ludzkiej słabości w relacji kobieta – mężczyzna. I wcale nie chodzi mi wprost o sprawy łóżkowe. Może mimo woli nastąpić porównywanie: mąż mnie nie słucha, a on mnie słucha. Mąż mnie nie rozumie, a on mnie rozumie. Mąż dla mnie nie ma czasu, a on zawsze ma. Mąż się moimi słowami i problemami nie przejmuje, a on z uwagą rozpatruje i doradza... Takie porównywanie może zaowocować ostatecznym zniechęceniem do osoby męża i chęci ratowania małżeństwa. Uczucia serdeczności i wdzięczności są kierowane w stronę mężczyzny kapłana, a wzmożonej niechęci do męża.

W każdym razie, pośrednictwo kapłana może być nieocenioną pomocą. To skutkuje również dlatego, że mężczyźni znacznie łatwiej jest posłuchać innego mężczyzny, do tego fachowca i osoby starszej i doświadczonej. Trudniej mu przyjąć racje – choćby i najśluszniesze – od kobiety, albo kogoś młodszego

wiekem. To problem też możliwości przyjęcia mądrości od drugiego mężczyzny. Może pojawić się takie odczucie, że (przepraszam) smarkacz nie będzie mu się tu mądrył. Może te słowa nie padną wprost, ale gdzieś to siedzi w każdym facecie. To jest lęk o swoją mądrość, rozum. I dlatego mężczyźni tak długo się bronią również przed pójściem do jakiegokolwiek poradni. Bo skoro ma iść do kogoś, to znaczy, że jest głupi, że sobie nie daje rady w życiu... To dla mężczyzny bardzo upokarzające.

Oczywiście, trzeba mężczyznom tłumaczyć, że idzie do kogoś nie dlatego, że jest głupi, a tamten mądry, tylko z tego powodu, że on, będąc emocjonalnie zaangażowanym, nie jest w stanie obiektywnie sam swojej sytuacji ocenić. Każdemu koledze w podobnej sytuacji by dobrze poradził i pomógł, ale nie sobie. Mądrość chodzenia do doradców nie polega na tym, że chodzi się do mądrego, który rozwiąże problemy, ale do tego, kto ma jakieś doświadczenie w rozwiązywaniu analogicznych problemów, a który, patrząc z boku, może coś sensownego podpowiedzieć, albo niesensowne pomysły wyhamować. Niestety, trzeba w tym miejscu wspomnieć, że zdarzają się mężczyźni, którzy nie uznają żadnego autorytetu. Nawet sam papież – więcej, nawet sam Bóg – nie jest dla nich autorytetem, przed którym warto schylić głowę. Dlaczego? Bo, podświadomie bojąc się o swoją mądrość, trwają okopani na swoich pozycjach, przy swoich mądrych racjach. Nie dopuszczają do siebie żadnego głosu i żadnej myśli, która zburzyłaby im obraz własnej mądrości w swoich własnych oczach. Oczywiście u podstaw takiej postawy stoi lęk płynący z zaburzonego poczucia własnej wartości.

Tak czy owak, w ogóle na całe życie – a zwłaszcza na trudne życie – stały spowiednik, czasem przewodnik duchowy, jest

cudownym „narzędziem”, bardzo pomocnym na drodze własnego wzrostu ku świętości. Bywa to czasami technicznie trudne, ponieważ księża diecezjalni są potwornie obciążeni. Gdyby nagle połowa parafii chciała kierownika duchowego, życia im nie starczyłoby. Ale w większych miastach są zakony i tam przeważnie jest troszeczkę luźniej. Jest tych zakonników trochę więcej i te obowiązki się inaczej rozkładają, toteż tam jest trochę większa szansa na spokojniejszy czas dla penitentów.

Wspomniałem, że nieraz działając w dobrej wierze mamy po prostu głupie pomysły. Są całe organizacje, które podpowiadają niezbyt mądre pomysły ludziom, walczącym, na przykład, o dzieci po rozwodzie: jakieś siłowe rozwiązania, uprowadzenia, ucieczki za granicę – a nic nie wspominają o możliwości pojednania małżonków, która tak naprawdę jest jedynym dobrym rozwiązaniem. Albo doradcy na kłopoty seksualne doradzają zmiany partnerów. Na zdradę odwet w postaci zdrady, by druga strona zobaczyła jak to boli itd... Jest pewna granica, której nigdy nie wolno przekraczać. Przy próbie naprawy cze- gokolwiek nie wolno się zgodzić na zło moralne. Ono zawsze działa niszcząco! To jest jedyna granica, której przekroczyć nie wolno. Nie wolno dla zgody w małżeństwie przyzwolić na zło moralne, bo nawet jeśli na chwilę jakiś problem pozornie zostanie załatwiony, to zło rozsądzi potem więź od środka. Owszem, jest w tym jeden wyjątek, czasowej zgody na zło, by nie stracić więzi z pogubionym współmałżonkiem. O tym jednak nie będę tu szerzej pisać. Jest on opisany w watykańskiej instrukcji dla spowiedników. Mówiąc obrazowo, małżonek może na jakiś czas wejść w błoto, w którym się tapla współmałżonek, ale tylko po to, by go z tego błota wyciągnąć. Ale oczywiście nie można nigdy zgodzić się na zło ekstremalne, na przykład na

zło zabicia dziecka poczętego, żeby „poprawić” relację między małżonkami, bo mąż sobie tego „życzy”. Nic nie może usprawiedliwić łamania przykazania: „nie zabijaj”.

POKONYWANIE EGOIZMU

Gdyby szukać zaprzeczenia słowa miłość to pewnie najlepiej pasowałby egoizm. Wszak miłość jest ukierunkowana na dobro drugiego a egoizm na „dobro” własne. (Napisałem dobro w cudzysłowie, bowiem to „dobro” wcale nie okazuje się dobrem prawdziwym.)

Do budowy więzi małżeńskiej, a konkretnie relacji miłości, potrzebna jest gotowość do świadomego pokonywania czynami własnego, wrodzonego egoizmu. Dlaczego? Bo czynne zwalczanie egoizmu to niezbędny element wzrostu każdego człowieka. Jest konieczne na drodze do szczęścia, do zbawienia. Jako małżonkowie mamy wspólnie zmierzać do świętości i mamy się w tym wspierać. Ojciec Święty Jan Paweł II określił to tak: „Celem małżeństwa jest wspólna droga do świętości przez budowę komunii osób na wzór komunii Osób Boskich”. Tego nikt z nas do końca nie zrozumie, tego nikt z nas w pełni nie pojmie, bo nikt nie jest w stanie zrozumieć tajemnicy jedności Osób w Trójcy Przenajświętszej. Ale wszyscy, bez wyjątku, czujemy, że tu chodzi o jakąś niepojętą, niesamowitą, niebotyczną jedność! I my mamy w małżeństwie iść do świętości, budując wzorowaną na niej naszą komunie między mężem i żoną! To jest celem małżeństwa! Poprzez budowę komunii osób ja mam dojść do zbawienia. I oczywiście na zbudowanie takiej komunii nawet w najświętszym, w najlepszym małżeństwie do końca życia nie

starczy czasu. Mimo zdolności, starań i nawet korzystania z łask sakramentalnych takiej komunii na ziemi nikt nie osiągnie. Nie chodzi o to, by osiągnąć w pełni komunie, jak Komunia Osób Boskich, ale byśmy, wpatrzeni w doskonały wzorzec, niestrudzenie zmierzali w tę stronę. Owszem, wzorzec jest niedościgny, ale wytycza kierunek, w którym mamy zmierzać. A skoro nie da się zbudować takiej komunii z jedną osobą w ciągu jednego ludzkiego życia – tym bardziej pomysł, żeby budować taką komunie z kilkoma paniami po kolei jest doprawdy zupełnie absurdalny. A przecież to staje się powszechne, ba, reklamowane, w dzisiejszym świecie. (Pewien znany reżyser powiedział: „Miałem cztery żony, ale każdej byłem wierny”!)

Najważniejszym celem małżeństwa jest budowa komunii żony z mężem, a męża z żoną. To jest nieprawdopodobnie trudne zadanie, którego nie da się wygrać w pojedynkę. Żeby taką komunie budować, potrzeba dojrzałości obojga osób. Dojrzałości do czego? Do nieustannego pokonywania swego egoizmu, do ciągłego przekraczania samego siebie, słowem – do umierania z miłości. To, że jakaś dorosła osoba jest niedojrzała do przeskoczenia własnego egoizmu, jest ostatnio dosyć częste. Wynika to z bezstresowego, roszczeniowego modelu dzieciństwa, jaki się w naszych czasach z upodobaniem lansuje. Jeżeli ktoś nigdy nie musiał się z nikim podzielić, wszystko miał zawsze za darmo, bez osobistego wysiłku, to jak teraz nagle ma chcieć się dla kogoś wysilać, komuś ustępować, z kimś dzielić? I nie mówię bynajmniej, że dotyczy to tylko i wyłącznie jedynaków, ani że jest to domeną wszystkich jedynaków. Oczywiście w rodzinie wielodzietnej niemal nie da się wychować egoistów, ale znam wspaniałych, dojrzałych jedynaków, którzy potrafią się pięknie poświęcać dla drugih. To jest możliwe

nawet dla kogoś, kto wychowywał się bez rodzeństwa – tylko trzeba to na kimś przećwiczyć. Jedyacy też mogą się dzielić, muszą tylko najpierw kiedyś... oddać cukierka koledze. Mamusia (zupełnie nieświadomie) rozwala przyszłe małżeństwo swego dziecka, jeśli mówi:

– Nie dawaj cukierków kolegom, bo ja nie mam pieniędzy, żeby żywić całe podwórko!

Dziecko ma się nauczyć dzielić. Od głupiego cukierka się zaczyna, jest utrwalane i ćwiczone poprzez kolejne, coraz większe czyny altruistyczne, aż w końcu stajemy się zdolni do miłości. (Przypomnę: „Miłość to bezinteresowny dar z siebie samego”). Tymczasem we współczesnym świecie raz po raz słyszymy:

– Nie bądź głupi, nie bądź jeleń, nie daj się wykorzystywać, bądź cwany, niech inni na ciebie pracują... – to przecież cała idea tak lansowanego indywidualizmu. Jak fałszywa jest idea indywidualizmu, widać doskonale z perspektywy szczęścia człowieka. Idea ta głosi mianowicie, że człowiek ma się uszczęśliwić sam, w pojedynkę. Kosztem innych, nawet po trupach. (Przesadzam? A ilu po trupach swych nienarodzonych dzieci szuka szczęścia w przygodnych kontaktach seksualnych? Jeszcze żądają „prawa” do zabijania tych dzieci!) Stąd wyrasta tak popularna dziś idea singla: posługując się ludźmi, masz być szczęśliwy w pojedynkę. To jest fałszywa wizja człowieka, całkowicie sprzeczna z istotą człowieczeństwa. Bardzo wielu dziś dało się oszukać – my na szczęście mamy rozum i możemy tą drogą nie podążać.

Zobaczmy, jakie mogą być słodkie owoce dojrzałej miłości. Para starszków poszła sobie na spacer, po drodze przechodziła przez rynek, kupili trochę śliwek, drugi gatunek, takie na

kompot (wiadomo, emeryturki „cienkie”), ale po umyciu do jedzenia się nadawały. Po spacerku siedli przy stoliku. Między nimi na talerzyku umyte śliweczki. Siedzą, odpoczywają, rozmawiają, skubią bezwiednie śliwki... Po jakimś czasie, gdy na talerzu było już dosłownie kilka ostatnich śliwek, staruszka zauważyła, że zostały najładniejsze. Spojrzała z miłością na męża. On, widząc, że żona się do niego uśmiecha, też zauważył, że najładniejsze zostały i uśmiechnął się z wdzięcznością do żony. I nic nie mówili, i było im dobrze.

Żaden niedojrzały człowiek, żaden egoista czegoś takiego nie przeżyje. On pierwszy rzuci się łapczywie na najładniejszą śliwkę, zeżre ją w pośpiechu, by nikt mu jej nie zabrał... I myśli sobie: znowu mi się udało, znowu ja mam najlepiej! Biedaku, nawet nie wiesz, że... „cymbał brzmiały” jesteś i póki się nie zmienisz, nigdy nie zaznasz szczęścia płynącego z prawdziwej miłości (1 Kor 13,1)! Biedny jest człowiek, który nie widzi perspektywy „wyżyn” przeżyć wyższych i pozostaje na „nizinach” przyjemności zmysłowej. Żałosny, myśli, że egoistyczna przyjemność to jest szczyt, który może osiągnąć człowiek... niestety wiele, wiele małżeństw po kilkudziesięciu latach małżeństwa wciąż wrywa sobie nawzajem lepsze kąski, wypycha jedno drugie do gorszych robót. Matka dla dzieci to jeszcze się poświęci, ale dla męża...?

W prawdziwej miłości każdy bierze na siebie trudy, które jest w stanie udźwignąć, i troszczy się, by to współmałżonek miał wiele godziwych przyjemności, radości i szczęścia.

Perspektywy prawdziwej miłości są przepiękne, choć dla bardzo wielu zakryte. Dla tych, którzy nigdy nie zaryzykowali zrobienia czegoś bezinteresownego ponad własny egoizm. Prawdziwie moje potrzeby w małżeństwie będą spełnione

dobrze tylko wtedy, gdy ja będę dbał o moją żonę. Ponieważ ona będzie najlepiej dbać o moje potrzeby wtedy, kiedy ona sama będzie zadbana. Prosta wymiana dóbr. Tylko zasada jest inna niż w świecie materii. Tam im więcej oddasz, tym mniej masz. W świecie miłości obowiązuje inna ekonomia: im więcej oddasz, tym więcej otrzymasz! To jest właśnie ten „wspólny wózek”, do szczęścia przez miłość małżeńską. Tylko żeby na niego wsiąść, trzeba najpierw przekroczyć swój egoizm.

4. POWODY KRYZYSU MAŁŻEŃSTWA I RODZINY

ATAKI NA MAŁŻEŃSTWO I RODZINĘ

Zanim przejdę do szczegółowego omówienia, jakie konkretnie są trudności w budowie komunii między małżonkami, najpierw chciałbym się na chwilę zatrzymać nad tym, dlaczego w ogóle źle się w małżeństwach dzieje – i czemu ostatnio jest coraz gorzej. Po pierwsze – nie będzie to pewnie odkrywcze, ale trzeba to zaznaczyć – jest to inicjatywa złego ducha. A zły duch oczywiście posługuje się ludźmi. Można powiedzieć, że szatan atakuje wszystko, co dobre. To prawda, ale faktem jest niezaprzeczalnym, że w małżeństwo i rodzinę uderza bardzo, naprawdę bardzo mocno. Dlaczego? Rodzina jest najbardziej nienawidzonym przez szatana obszarem dlatego, że w rodzinie przekazuje się wartości, przede wszystkim zaś wiarę. Przecież wszyscy to wiemy, że trwała rodzina to przyszłość świata i wszystkich ludzi. Jeżeli zniszczą nam rodzinę, świat ulegnie samozagładzie, ponieważ nie będzie terenu do wychowania dzieci. Pełna, miłująca się rodzina jest jedynym środowiskiem, które jest zdolne do wychowania dzieci do wartości, nie da się tego ominąć w żaden sposób. Poza rodziną może dokonywać się „chów”, ale nie wychowanie człowieka do wartości w ogóle a do miłości w szczególności. Świat walczący z Bogiem atakuje rodzinę wściekle, od samych podstaw, uderza w fundamenty. Nawet nazwę

rodziny już niszczy, dokładając starań, aby rodziną nazywać pary jedнопłciowe i, co gorsza, nadawać im przywileje należne rodzinom. Prawo adopcji dzieci przez te pary (moim zdaniem) woła o pomstę do nieba. Ludzie ci biologicznie, psychicznie i duchowo są niezdolni do rodzenia! (Znane są oczywiste, negatywne skutki wychowania dzieci przez takie „rodziny”.)

Próbuje się dziś niszczyć na tysiące sposobów strukturę i trwałość rodziny. Obserwujemy nagminne ułatwianie rozwodów, wręcz zachętę do nich. Panuje cały nastrój pochwały „uczciwego” odchodzenia z małżeństwa a nawet z kapłaństwa. Jak często dzisiaj to koleżanki (nierzadko same rozwiedzione) zagrzewają żonę do rozwodu, w duchu (sprytnie podkręcającej) walki płci:

– Nie daj się dziadu, dowal mu, dowalmy im wszystkim, niech sobie dziady nie myślą!

To dzieje się w „nowoczesnym”, „niepruderyjnym”, zrywającym z „zapyziałą tradycją” świecie. (Słowem, w świecie bezbożnym i wynaturzonym, czyli poddanym złemu duchowi.) Oczywiście, jeśli napiszę, że to jest planowe, to powiedzą, że jestem zwolennikiem spiskowej teorii dziejów – ale ja i tak się przed tym nie wywinę, bo takie łatki już od dawna mi przypinają. Mimo tego ja nie mam żadnych wątpliwości, że to jest działanie celowe.

Przykładowo: wprowadzenie walki między kobietą a mężczyzną – a właściwie zbuntowanie kobiety przeciwko mężczyźnie – jest zaplanowane. Zaczęło się to już ponad dwieście lat temu. (1776, plan Adama Weishaupta zniszczenia chrześcijaństwa i monarchii, przyjęty przez hierarchię masońską.) Było tak w XVIII wieku, tajne związki (supertajni Iluminaci), ukryte, głęboko jeszcze za masonerią, planowały zniszczenie

świata. Powstał tajny plan zniszczenia świata. I w tym planie, oczywiście, na pierwszym miejscu było zniszczenie Kościoła i monarchii jako dwóch ości świata wartości. Jako ciekawostkę zdradzę, że ten absolutnie tajny plan, niedostępny dla zwykłych śmiertelników został „przez przypadek” ujawniony. (Pan Bóg czasem robi różne kawały.) Zdarzyło się, że w 1786 przewożono wozem te tajne dokumenty, spisane w wielkich księgach, gdy piorun w ten wóz strzelił i wszystko się zapaliło. Przy ratowaniu z pożaru papiery wyszły na jaw, część z nich została ujawniona. Miałem tę możliwość ujrzeć niektóre z nich, wydrukowane, widnieje na nich wielopunktowy plan zniszczenia świata, długoterminowy, rozpisany na stulecia. W planie tym na bardzo poczesnym miejscu było: zbuntowanie kobiet przeciwko mężczyznom... Minęło zaledwie głupie dwieście lat i to już się udało. (Żebyśmy się dobrze rozumieli. Kobiety w dawnych czasach miały naprawdę uzasadnione powody do niezadowolenia. Pozbawione były praw przynależnych wyłącznie mężczyznom. Tymczasem, zamiast zawalczyć o dowartościowanie odwiecznych ról kobiet, zaczęły walczyć o przejmowanie ról męskich i walczyć... z mężczyznami. Obiektywnie rzecz biorąc, z punktu widzenia rozwoju społeczeństw, najważniejsze jest rodzenie i wychowanie dzieci. To trzeba i dziś dowartościować.) Tymczasem współcześnie od przedszkola szkoli się dziewczynki, żeby walczyły o swoje prawa z chłopcami. A później żona i mąż walczą ze sobą, udowadniają sobie, kto jest gorszy, na każdym kroku. Teoria spiskowa dziejów...?

Tym, którzy oskarżają mnie, że jestem zwolennikiem spiskowej teorii dziejów, dedykuję anegdotkę:

Dwie dobrze upasione świnie stoją przy korycie, żrą paszę, którą gospodarz sypie. Jedna mówi do drugiej:

– Wiesz, a ja słyszałam, że oni nas tak dobrze karmią, bo chcą nas potem zarznąć i kiełbasy z nas porobić...

– No tak, ty znowu wyskakujesz z tą swoją teorią spiskową dziejów!

Nie trzeba być zwolennikiem spiskowej teorii dziejów, wystarczy mieć zdrowy rozum, żeby zobaczyć, że wszyscy szerzący nieład moralny idą ręką w rękę, bo każdy nieład napędza kolejny. A więc ci, którzy żyją z pornografii, będą wspierać tych, co żyją z antykoncepcji oraz tych, którzy żyją z aborcji, bo to są wspólne kręgi zarabiających, a także i tych, którzy panienki ustawiają dookoła miast i tych, którzy reklamują związki jednopłciowe. To wszystko się nawzajem napędza, wobec tego nie muszą się nawet jakoś szczególnie umawiać, to jest wspólny biznes. A największym, wspólnym wrogiem wszystkich jest Kościół, ponieważ broni ładu moralnego. Kościół to jedyna instytucja światowa, która od dwóch tysięcy lat broni ładu moralnego – i naprawdę nie tylko w wymiarze seksualnym, choć w tym wymiarze szczególnie to jest widoczne. Niezmiennie broni i niezmiennie jest opluwany ze wszystkich stron.

Przed laty papież Benedykt XVI leciał do Afryki. Jeszcze nie doleciał, a już go dziennikarze dopadli w samolocie z pytaniem o prezerwatywę. On spokojnie, jednoznacznie odpowiedział, jak ta sprawa wygląda w nauczaniu Kościoła i w jego rozumieniu. Ja akurat wtedy leciałem z Poznania do Irlandii i w samolocie były dwie gazety, „Wyborcza” i „Głos Wielkopolski”. Wobec takiej alternatywy wybrałem tę drugą opcję, bo tej pierwszej to już od dawna nie dotykam (od tego czasu tej drugiej też już nie...). Na pierwszej stronie przeczytałem zdania tego typu, że papież rozum postradał, że jest mordercą Afryki, zamiast rozdawać, to odrzuca prezerwatywy i teraz

cała populacja Afryki wymrze na AIDS. On będzie za to odpowiedzialny...

Przecież ci dziennikarze, którzy to napisali, prawdopodobnie doskonale wiedzą, że jest w Afryce jeden kraj, Uganda, w którym kiedyś był najwyższy poziom zachorowania na AIDS, a gdzie dziś epidemia zaczęła się cofać. Tylko w tym jednym kraju na całym kontynencie. Co zrobiono, czy porozdawano dwa razy więcej prezerwatyw? Wręcz przeciwnie. W Ugandzie całkowicie zrezygnowano z propagowania antykoncepcji. Kościół, w porozumieniu z państwem zaczął wprowadzać politykę propagowania czystości, wierności i wyłączności seksualnej oraz wstrzemięźliwości przedślubnej. I co się okazało? Zachorowalność na AIDS spadła! Jednak to lobby, żywiące się wszelką rozwiązłością seksualną, jest tak silne, że na pierwszej stronie gazety zarzuciło papieżowi, że rozum postradał. W takim żyjemy świecie. Tak działają wielkie media...

Trzeba ludziom poprzez media niezależne i wszelkie dostępne środki przekazywać prawdę, poszerzać prawdziwą wiedzę o świecie, by mogli odmieniać swoje myślenie. By mogli obronić się przed zniszczeniem życia po pójściu za fałszywymi prorokami...

Pewnego razu, po spotkaniu w Duszpasterstwie Akademickim podszedł do mnie młody mężczyzna z malutkim dzieciątkiem na ręku. Takim kilkutygodniowym oseskiem. Powiedział, że pragnie mi podziękować, bo ja mu uratowałem życie. A konkretnie to moja książka pt. *Warto być ojcem*. Oczywiście, ja mu życia nie uratowałem, on sam je sobie uratował, ale moja książka była po temu impulsem. W tej książce ukazana jest wizja normalnej, zdrowej męskości, mężczyzny-ojca, mężczyzny-opiekuna, mężczyzny-obroncy. Ten młody mężczyzna

wyznał mi w dalszej rozmowie, że planował pozostać singlem. Zamierzał zabawiać się na wszystkie możliwe strony, zbijać kasę, robić karierę – i być na tej drodze, ma się rozumieć, ekstremalnie szczęśliwym. Lecz poprzez tę książkę, a zatem po zapoznaniu się z jakimiś treściami, pewnymi konkretnymi danymi, których w tym świecie się tak łatwo nie znajdzie, on zmienił zdanie. Stwierdził, że chce założyć rodzinę. Założył ją i odkrył, że jest szczęśliwy.

Ten przykład jest bardzo krzepiący, pokazuje bowiem, że wcale to nie jest tak, że propaganda światowa musi nas zaciągnąć na manowce, jak bezbronne owce na rzeź. Owszem, świat konsekwentnie ukazuje nam każdy grzech jako atrakcję, bo czystość ciała i serca jest w jego rozumieniu „nudą”. W takim klimacie żyjemy i takim powietrzem oddychamy – ale to wcale jeszcze nie oznacza, że musimy się temu bezwolnie i bezrozumnie poddawać. Musimy świadomie wybierać i kształtować w sobie tęsknotę do tego, co nas prawdziwie doprowadzi do szczęścia. Do tęsknot właściwych i niewłaściwych jeszcze powrócę – w tym miejscu skupmy się nad rodzajami trudności, jakie mogą wystąpić na drodze budowania więzi i komunii małżeńskiej. Po to, aby móc umiejętnie je przezwyciężyć.

MIŁOŚĆ A UCZUCIA

W budowie relacji miłości przeszkadza w dużej mierze zamieszanie panujące już w samych pojęciach. Otóż, miłość jest powszechnie mylona z uczuciami. I naprawdę mówienie o tym nie jest tylko nieistotnym sporem o słowa, nie jest przysłowiowym dzieleniem włosa na czworo. Jeżeli ktoś uczucia

nazywa miłością, tym samym utożsamia je z miłością i w efekcie uczuciom przypisuje prawa przynależne miłości. W związku z tym nadmiernie polega na uczuciach i pozwala, aby one nim kierowały. Tymczasem uczucia miłością nie są.

Na pułapkę narażone są tutaj obie płci, jednak ten problem jest szczególnie zagrożeniem dla kobiet, ponieważ to właśnie one w swoim postępowaniu są pod wielkim wpływem aktualnie przeżywanych uczuć. Oczywiście kobieta dojrzała duchowo, u której duch panuje nad emocjami, nie jest poważnie zagrożona. Ale niedojrzała? I nie chodzi tylko o młode dziewczyny, zwłaszcza te, które nie mają ojców lub które nie są dla ojców księżniczkami. Owszem, te są w grupie wysokiego ryzyka. Łatwo taką sprytny mężczyzna, grając na uczuciach, podziwiając jej kobiecość, omota. Ona, spragniona potwierdzenia swej kobiecości, przeżywane cudowne uczucia nazwie wielką miłością. A przecież miłość uprawnia do wszystkiego. Nawet św. Augustyn mówił: „Kochaj i rób, co chcesz”.

Dziewczyna, która była w dzieciństwie dla ojca księżniczką i jako dorastająca kobieta pozostała nią, nie potrzebuje potwierdzenia swojej kobiecości. Ale jeżeli dziewczyna została przez ojca, najważniejszego mężczyznę życia, odsunięta jako kobieta... Wielu tatusiów tuli, pieści, całuje swoje córeczki, gdy są jeszcze małe, jednak kiedy dochodzą do tego wieku, gdy stają się kobietami, wówczas odsuwa je „na bezpieczną odległość”. Dlaczego? Bo się naoglądali w telewizji, jak to ojcowie masowo molestują seksualnie swoje córki! A przecież wszyscy normalni ojcowie wiedzą, że tak jakoś Pan Bóg to zapisał, w genach, czy nie wiadomo gdzie, że najpiękniejsza nawet córka dla normalnego ojca absolutnie nie jest bodźcem seksualnym. Jej ciało jest dla rodzzonego ojca aseksualne! Każda inna w jej wieku może

być (i strzeżmy się wystawiania na te bodźce), natomiast córka nie. Niestety, światu udało się wprowadzić taki terror, że ojcu nie wolno już dotknąć córki, przytulić, pocałować, bo zaraz będzie oskarżony o „zły” dotyk, o molestowanie.

W ten sposób produkuje się masowo emocjonalne kaleki, ponieważ dotyk jest bardzo ważnym narzędziem budowania więzi. Niestety, bardzo wielu ojców odsuwa „na bezpieczną odległość” córki w najtrudniejszym dla nich momencie życiowym, w okresie dojrzewania. Te córki czują się odsunięte przez najważniejszego mężczyznę ich życia, przez tatę. Czują się do niczego jako kobiety i dlatego są tak łatwymi ofiarami w rękach pierwszego gorszego chłopaka, który może pokazać im w łóżku, że są jako kobiety atrakcyjne. To dzieje się ogromnym całonocnym kosztem, ale niestety coraz częściej. I dramat ten rozgrywa się właśnie na poziomie uczuć. Ta dziewczynka, której chłopak naszeptał piękne słówka do ucha, to, co czuje, nazywa miłością, spragniona właśnie uznania jej kobiecości. Ona czuje się, jakby była w siódmym niebie i to uczucie nazywa miłością, ponieważ nie rozumie, że miłość nie jest uczuciem. A skoro już nazwała to sobie miłością, dalej droga jest już z górki, bo przecież miłość jest pewnym zaklęciem, które do wszystkiego upoważnia. W imię miłości można wszystko! Więc ta dziewczyna, zaślepiona uczuciami, które nazwała miłością, zgadza się na wszystko to, do czego uprawnia tylko i wyłącznie miłość małżeńska.

Niestety, to samo dzieje się z dorosłymi, znającymi życie kobietami, po latach małżeństwa. Ileż to razy już usłyszałem:

– Proszę pana, ja już męża nie kocham, ja biorę dzieci, wyprowadzam się do mamusi. Żeby pan nie myślał, że idę do jakiegoś chłopca, chłopów mam dosyć do końca życia!

Ona myśli, że skoro ona „czuje”, że go „już nie kocha”, to usprawiedliwia ją z odejścia od męża. To „kocham – nie kocham” jest tym magicznym zaklęciem, które wszystko usprawiedliwia i wszystko wyjaśnia. Pamiętam, że pewnej pani w takiej sytuacji powiedziałem (oczywiście chcąc sprowokować do głębszej refleksji):

– Przed laty składając przysięgę małżeńską pani mu obiecała, że będzie go kochała do śmierci, a teraz mi pani mówi, że go nie kocha! To pewnie by pani chciała, żeby on ciężko zachorował i umarł?

– Ależ, co pan mówi?! (Widzę autentyczne przerażenie w oczach.)

– No, może przesadziłem, nikomu nie życzymy, żeby umarł, raczej, żeby się zdążył nawrócić, zanim umrze. Ale gdyby on tak naprawdę ciężko zachorował, siedziałaby pani przy jego łóżku dzień i noc?

– No pewnie, że bym siedziała!

– A szykuje mu pani co dzień śniadania, obiady i kolacje?

– Szykuje.

– A pierze mu pani gacie, skarpety, prasuje koszule?

– Tak, tak, tak!

– A jak dwie godziny później wraca z pracy, denerwuje się pani, że coś się stało?

– Jeszcze jak. Żeby pan wiedział!

– I pani mówi, że pani go nie kocha?! Proszę pani, ustalmy fakty: pani go kocha, bo pani się o niego troszczy, pani się o niego boi, martwi, pracuje i poświęca dla niego. Pani chce jego dobra i troszczy się o nie, czyli go kocha. Problem w tym, że pani z nim wytrzymać nie może, ale to jest zupełnie inna rozmowa. A więc pani go kocha i to jest najważniejsze – a teraz

zanalizujemy, dlaczego pani nie może z nim wytrzymać. Otóż, problem leży w uczuciach! Pani uczucia się załamały, ale, droga pani, uczucia na szczęście są zmienne! I nie ma tak zniszczonych uczuć, których nie dałoby się odbudować! Oczywiście na to potrzeba czasu, powiedzmy w najbardziej zatwardziałym przypadku pół roku, przy dobrej współpracy z drugiej strony. Więc teraz porozmawiamy o tym, jak naprawić te potwornie zniszczone uczucia, bo rzeczywiście tak dalej żyć nie można. I proszę pamiętać: najważniejsze, że pani go kocha!

Zupełnie inna rozmowa – to „kocham” jest zakłębieniem, które usprawiedliwia czyny po linii nieopanowanych rozumem i wolą uczuć.

No dobrze, a w takim razie, co można na to poradzić, że ktoś się zakochał w kimś innym, niż współmałżonek? No to niech się po prostu... odkocha! Niech nie pozwala rozwinąć się temu uczuciu! Zakochanie to jest uczucie, które może pojawić się niespodziewanie w każdym. Może zaskoczyć męża po czterdziestu latach małżeństwa, nawet księdza, każdego. No i co z tego? U dojrzałego człowieka rozum rozstrzyga, czy to uczucie należy podtrzymywać, czy uciąć. Niepodtrzymane uczucie szybko się skończy. Rozumem i wolą (przymioty stwórcze) mam sterować swoim życiem. Robić to, co jest dobre, co przynosi pożytek. Odrzucać to, co zagraża szczęściu, nawet gdy jawi się jako bardzo przyjemne czy wręcz fascynujące. Nie mamy przyjmować rozwiązań przyjemnych, tylko dobre. Po to mamy rozum i wolę, by móc rozumem ocenić, co jest dobre i wolą to wypełnić, nawet gdyby to nam się bardzo nie podobało.

Miłość to jest decyzja woli, natomiast uczucia to pewien emocjonalny stan, który jest z definicji zmienny! Ja obiecałem swojej żonie ponad czterdzieści lat temu bez żadnych

warunków wstępnych, że do końca życia będę jej świadczył miłość. To znaczy, że będę się troszczył o jej dobro, nawet gdyby ona nie świadczyła miłości mnie! Zobowiązałem się do tego bez względu na uczucia, jakie mogą mi się w tej kwestii pojawić i czy mam na to ochotę, czy nie, mam powinność to wypełnić. Koniec, kropka. To jest miłość. I jeżeli komuś z nas przyjdzie do głowy, pisząc w cudzysłowie, „zamordować” żonę czy męża, bo jesteśmy wściekli na siebie, przyjmijmy to jako alarm. Jest stan alarmowy, trzeba coś zrobić z uczuciami, jakoś polepszyć ich stan, to jasne. Ale nie wyciągajmy z tego wniosku, że oto miłość się skończyła, bo to jest zwyczajny nonsens. Żebyśmy zapamiętali, że uczucia to nie miłość, taka anegdotka z życia wzięta:

Małżeństwo wychodzi z kościoła, jubilaci, pięćdziesiąta rocznica ślubu, a że pan był osobą publiczną, więc znaleźli się dziennikarze. Oczywiście nie w kościele, bo tam „straszy”, ale zaraz przy wyjściu ze świątyni już stali z mikrofonami, kamerami, już go dopadli. Pierwsze pytanie, jakie? No przecież nie o to, czy przeżyli uczciwie te pół wieku, czy wychowali dzieci, czy doczekali się wnuków, może prawnuków, czy mogą spokojnie patrzeć w przyszłość, bez względu na to, co było w przeszłości, czy są zadowoleni z życia... Można by mnóstwo sensownych pytań postawić, ale nie. Pierwsze pytanie brzmiało:

- Czy pan nigdy nie myślał się rozwieść?
- Rozwieść się, czyli odwołać obietnicę dożgonnej miłości? Nie, rozwieść się nigdy! Ale zamordować żonę, to bardzo często...

Problem z nieoddzielaniem miłości od uczuć ujawnia się w chwilach konfliktów. W sytuacjach konfliktowych pojawia się zagrożenie, że górę nad rozumem wezmą uczucia.

Pod wpływem złych uczuć łatwo stwierdzić, że oto miłość się skończyła. To, jak rozwiązujemy konflikty, pokazuje, na ile już dojrzeliliśmy do miłości. Czym jest konflikt? Konflikt to zderzenie przeciwstawnych dążeń. A zatem tam, gdzie są jakiegokolwiek dążenia w człowieku, będą też konflikty. Przecież każdy z nas przeżywa konflikty wewnętrzne: mógł sobie jeszcze pospać albo iść rano na Mszę świętą. I ten, który wybrał, że sobie pośpi, będzie wyspany, ale nie stanie się przez to, prawdopodobnie, lepszym człowiekiem. A ten, który mimo że mu się nie chciało, wstał i przyszedł do kościoła, coś w sobie pokonał – i w związku z tym stał się już lepszym człowiekiem, zanim jeszcze usłyszał i przyjął pierwsze słowo. Niezależnie od łaski nadprzyrodzonej, jaką tam zawsze można darmo otrzymać. Tak więc od sposobu rozwiązania konfliktu zależy, czy staniemy się lepsi, czy gorsi. Oczywiście, w każdej relacji dwojga ludzi są konflikty, bo muszą być. On chce pojechać na wakacje w góry, ona nad morze. Proszę bardzo, jest konflikt? Jest. I teraz jak rozwiązać ten konflikt? Jest zwykle w małżeństwie tak, że jedna strona jest silniejsza i to wcale nie chodzi o siłę fizyczną. Silniejsza, bardziej broniąca swojego. Jeżeli ta osoba w każdym konflikcie wygra, postawi na swoim, to biada jej. Bo będzie żyła pod jednym dachem z osobą, która czuje się przegraną. Z osobą, której małżeństwo nie cieszy, która będzie chciała uciec z tego małżeństwa – a może wręcz ucieknie. Jeżeli zawsze postawisz na swoim, to będziesz nieszczęśliwy, bo zniszczysz tego drugiego. Trzeba uważać, żeby w konfliktach nie zawsze wygrywać, pilnować, żeby czasem ustąpić, mimo że chciałbym zrobić co innego. Ale generalnie cała sztuka rozwiązywania konfliktów polega na tym, że wybieramy nie to rozwiązanie, którego chce jedna lub druga strona, tylko to,

które wspólnie uznamy za wartościowsze, lepsze. Życia nie starczy, żeby się tak naprawdę dobrze nauczyć rozwiązywać wszystkie konflikty. Jakiś kawałek egoizmu w każdym z nas jest, nie oszukujmy się. Pewnie wielu z nas wyzbyło się sporej części swojego osobistego egoizmu (choćby przez wychowanie dzieci, które to wymuszają), ale i tak do końca życia będziemy mieli co robić w tej kwestii.

Jeszcze jedna bardzo ważna uwaga. Czy pójdziemy w lewo czy w prawo, pojedziemy nad morze czy w góry, to są porównywalne sprawy. Nawet można wylosować, albo ustąpić: raz ty, raz ja. To jest tak zwany konflikt poziomy. Ale jest jeszcze możliwy tzw. konflikt pionowy, w którym jedno pragnienie jest wyraźnie lepsze od drugiego. Sztuka rozwiązywania tego typu konfliktu polega właśnie na tym, żeby wybierać rzeczy wartościowsze, niezależnie od tego, kto to wniósł. W konfliktach pionowych chodzi o to, że to nie siła osoby decyduje o rozstrzygnięciu konfliktu, tylko ważność sprawy we wspólnie (oby) wyznawanej hierarchii wartości.

Gdy kobieta nie panuje nad emocjami, oznacza to, że jej rozum i wola nie przejęły kontroli dostatecznej nad uczuciami. Taka kobieta może być nieznośna w małżeństwie, bo wszystko musi być zrobione tak, jak ona chce. Mimo, że ona „zawsze chce dobrze”, to jest trudne do wytrzymania życie z taką osobą. Zwłaszcza, że ona nie widzi z pozycji swojej niedojrzałości tego, że jest... naprawdę nieznośna. Oczywiście trzeba powiedzieć, że mądry mąż w pewnych sprawach się podporządkuje. Ale we wszystkim, nie wolno mu. Gdy np. żona na fali emocji chce wziąć nie do spłacenia kredyt, to mężowi po prostu nie wolno się na to zgodzić. Powróćmy do zgadzania się na pomysły żony. Znam przepiękne małżeństwo. Ona – bardzo

elegancka kobieta, gustownie się ubierająca. Nie doczekali się dzieci, to zawsze są trudne doświadczenia. Podjęli piękne akcje wspierania rodzin w trudnych sytuacjach angażując swój czas i pieniądze. W ten sposób realizowali swoją misję matkowania i ojcowania. I oni sami o tym mówią, z uśmiechem (może nie wszystkim na ulicach, ale przyjaciółom tego rąbka tajemnicy uchylą). Gdy dokąds wychodzą, on siada w gaciach i podkoszulku, a ona wskazuje: te skarpety, ta koszula, ten krawat, ten garnitur. I on się ubiera grzecznie, wkłada skarpetki, które pasują do jej sukienki. On w tej dziedzinie jej dał prawo decydowania i z uśmiechem znosi takie szczegółowe instrukcje – ale gdyby on tego dobrowolnie prawa jej nie dał, przecież to by było nieznośne!

Niestety, bywa jeszcze gorzej, gdy mąż żąda, by wszystko było dokładnie po jego myśli. On jest nieomylny, wszechwładzący i nieznośny sprzeciwu. (To dość często przytrafia się ludziom pracującym na wysokich stanowiskach, mających władzę.) Paradoksalnie, z jego punktu patrzenia tego zupełnie nie widać. Skoro on wie jak jest dobrze i chce dobra, to wszyscy mają go słuchać i koniec. Złości się, bywa, że reaguje agresją, gdy cokolwiek nie dzieje się według jego woli i bywa rozżalony niewdzięcznością „podwładnych”. Bo przecież on robi wszystko dla ich dobra. Czasem odchodzi, nie mogąc znieść swej „krzywdy”.

Czy może być szczęśliwa żona męża, który odszedł? Czy może być szczęśliwy mąż żony, która odeszła? W pełni nie, ale w dużej mierze jednak tak. To może być impulsem do jakiegoś autentycznego, głębokiego wzrostu. Więc w tym wymiarze jednoosobowym porzucony współmałżonek może zmierzać do własnej, autentycznej świętości. Sytuacja, gdy jedno

z małżonków odeszło, jest bez wątpienia skrajnie trudnym doświadczeniem emocjonalnym i z tej racji stanowi szczególną pokusę, aby pod wpływem uczuć złamać złożoną w dniu ślubu przysięgę miłości, wierności i uczciwości małżeńskiej aż do śmierci, do śmierci. Tymczasem nie zawsze fakt, że współmałżonek odszedł, jest równoznaczny z tym, że wszedł w cudzołóstwo. To jeszcze nie znaczy, że musi on odejść od Kościoła i sakramentów. Jeżeli on odszedł, ale żyje w czystości, to co prawda nie wypełnia swoich zobowiązań małżeńskich, może jednak aktywnie nie grzeszyć i należy się modlić za tego małżonka, aby żył dalej w czystości, nawet gdy jest osobno. I należy, choć to czasem może wydawać się niewygodne i trudne, również troszczyć się o to, żeby on powrócił. To co, przyjęcie takiego drania po dwudziestu latach?! Tak! I znam przypadek, gdzie żona po dwudziestu kilku latach przyjęła męża na wózek inwalidzkim – dopiero wtedy jego konkubina go wyrzuciła. Żona go przyjęła i obsługiwała mu do końca życia, zgodnie ze zobowiązaniem. Czy ja twierdzę, że to jest łatwe? Nie twierdzę. Czy mówię, że ja bym dał radę? Nie wiem. Ja tego też nie mówię. Ja tylko przypominam, co obiecywaliśmy sobie: w zdrowiu i w chorobie, w dobrej i złej doli do śmierci. Powinniśmy zatem, szukając własnego szczęścia, jeśli jest to tylko możliwe, jeżeli jest jakiś cień szansy, zmierzać do pojednania się, choćby nawet na łożu śmierci. To bardzo ważne dla nas, ale też jako świadectwo dla dzieci.

A więc bez względu na wszystko mamy się troszczyć się o zbawienie tego współmałżonka, który odszedł, nawet tego, który się naprawdę łajdaczył w życiu. Mimo fatalnych uczuć mamy się troszczyć, ponieważ tego wymaga od nas miłość, którą ślubowaliśmy. Tutaj kobieta ma większy problem

z uczuciami właśnie. Co jest dla kobiety największym problemem? Działać wbrew własnym uczuciom. A jednak jest to możliwe. Dzięki rozumowi i woli kobieta dojrzała może zmusić siebie do podejmowania dobra nawet wbrew własnym uczuciom. I robi to każda żona, która np. zakochuje się w facecie poza małżeństwem, ale mając ustabilizowany system wartości, jest osobą wierzącą, oczywiście odcina tamte „cudowne” uczucia, objawiające się jako nie wiadomo co. Przywołuje samą siebie do porządku i pozostaje z mężem. Oczywiście fakt, że mogła zakochać się w kimś poza małżeństwem, dowodzi, że miłość w małżeństwie, zwłaszcza w tej warstwie uczuciowej była, mówiąc najdelikatniej, niedoskonała. Z tego właśnie powodu tych zakochań zagrażających małżeństwu jest całkiem sporo.

Co zrobić, aby pomóc kobiecie tak zagubionej? Największą pomocą będzie zatroszczenie się o jej uczucia. Jeżeli spotkamy się z kobietą, która jest na progu rozwodu, skłaniającą się ku decyzji o rozwodzie i zacniemy jej w tym kibicować i pochwalać, oczywiście jej to ułatwimy. To nie jest przypadek, że kobiety, które decydują się na rozwód, otaczają się koleżankami już rozwiedzionymi, zrywają natomiast kontakty z tymi, którzy trwają w porządnym małżeństwach. Takie kobiety zbliżają się do rodziców, jeżeli oni akceptują rozwód, a zrywają z rodzicami, jeżeli są temu przeciwni.

Mężczyzna, którego żona chce odejść, a nawet już odeszła, odzyska ją, jeżeli w mądry sposób zainwestuje w uczucie. Tu nie decydują wielkie jednorazowe dokonania (to byłoby dla mężczyzn łatwiejsze), tylko wytrwałość w trosce o odbudowanie uczuć w żonie. Jest to tym trudniejsze, że czasem długo nie widać efektów. Jeżeli wytrwa i potrafi odmienić jej uczucia, to ona powróci do małżeństwa. Tak, podstawowym problemem

kobiety jest trudność działania wbrew własnym uczuciom. Jednak każda dojrzała kobieta powinna się tego nauczyć. Są sytuacje w życiu, kiedy rozum musi zapanować nad uczuciami. Gdyby panie zupełnie nie panowały nad swoimi uczuciami, to żadna kobieta nie dożyłaby dorosłości. Pewnie każda dziewczynka, czy nastolatka miała takie chwile rozżalenia, poczucia krzywdy, że chciała umrzeć. (Tylko koniecznie chciałyby widzieć jak wszyscy płaczą na jej pogrzebie!) Jednak pokusa odebrania sobie życia w większości przypadków zostaje pokonana. Jest to dla mnie dowodem, że w jakimś stopniu ostatecznie panie panują nad uczuciami, pytanie tylko, czy dostatecznie. Ostatecznie rozum i wola powinny zapanować nad uczuciami każdego dojrzałego człowieka. Tylko wtedy jest zdolny do miłości na całe życie. Na dobre i złe.

NIEDOJRZAŁOŚĆ MĘŻCZYŹN I DEMORALIZACJA KOBIET

„Z grzeczności” zacznę od kobiet. Fałszywe wizje kobiecości, naszpikowane hasłami o konieczności walki z „wrednymi” mężczyznami robią swoje. Liczne kobiety nie chcą już rodzić dzieci, bo uwierzyły, że szczęście im dadzą kariery zawodowe i wygranie rywalizacji z mężczyznami. W karierach przeszkadza macierzyństwo, więc... żądają prawa do zabijania własnych dzieci. Słowem, wiele kobiet się kompletnie pogubiło.

A co z mężczyznami? Piszę to z ogromnym bólem, ale z uczciwości muszę to odnotować: niedojrzałość kobiet do małżeństwa jest dziś duża (chodzi też o brak gotowości do wypełnienia ról żony i matki), jednak niedorozwój mężczyzn jest dramatyczny, porażający. W szczególności mężczyznom

brakuje odpowiedzialności i to zarówno w wymiarze osobistym (za swoje czyny), jak i gotowości brania odpowiedzialności za powierzonych jemu. Tak, mężczyzna powinien brać odpowiedzialność za czyny dzieci i... żony, która powinna być pod jego opieką. Kobiety cierpią z tego powodu bardzo – ale nie do końca w sposób niezawiniony. Kobiety – żony cierpią nie tylko z braku odpowiedzialności mężów, ale również z powodu, iż nie czują się kochane. Niestety, panie mają w tym udział. Żona powierzająca się ufnie opiece męża niejako wymusza na nim wzrost odpowiedzialności. Kobieta rządząca w domu, niejako zwalnia męża z jego odpowiedzialności za rodzinę i dom. Tak, kobiety są naturalnymi nauczycielkami mężczyzn, zwłaszcza w dziedzinie budowania relacji miłości i okazywania uczuć ukochanej kobiecie. Pierwszą nauczycielką dla chłopca, jak okazywać uczucia kobietom, powinna być mama. Niestety, wiele mam robi coś wręcz przeciwnego. Mam na myśli te wszystkie mamuski, które pieszczą swoich syneczków i nie pozwalają im „krzywdy” zrobić. Ich podejście symbolizuje dowcip, który pamiętam z dzieciństwa. Mama wygląda przez okno na podwórko, gdzie jej synek bije jakąś dziewczynkę. Mama woła:

– Synku, nie bij jej, bo się spocisz!

Pamiętam jak do poradni przysłała mama w sprawie jej „synka”. Wyplakuje się, że ma taki kłopot z „synkiem”. Przez całą opowieść używa określenia „synek”, dosłownie. Słucham, w czym rzecz, i słyszę, że ten „synek” to jest dobry chłopiec, tylko się troszkę pogubił. On tutaj nie przyjdzie, bo poradnia jest archidiecezjalna, przykościelna, więc on do takiej nie przyjdzie, bo on już do kościoła nie chodzi.

– Wie pan, źli koledzy. Ale to naprawdę dobry chłopiec...

W pewnym momencie mówi z nadzieją w głosie:

– Niech pan przyjdzie do nas do domu i mu powie. Jakby pan mu powiedział, to on na pewno by się zmienił, bo to jest dobry chłopiec. Taki wrażliwy!

– Proszę pani, a ile ten „synek” ma lat?

– Czterdzieści sześć.

Uwierzcie mi, ani roku nie dodałem. Przecież ten „synek” jest wygenerowaną przez mamę kaleką.

Niestety w tym domu (i wychowaniu syna) po prostu zabrakło mężczyzny. Gdyby był tam prawdziwy ojciec, to, powiedzmy po skończeniu studiów przez syna, by powiedział:

– Synku zapewniłem ci start życiowy. Jesteś dorosły, masz zawód. Do roboty. Nie, no możesz jeszcze z nami trochę pomieszkać, ale tu są koszty. Czynnysz, prąd, gaz. Ustalamy twój udział w kosztach utrzymania domu. Chcesz z nami jadać wspólnie – będzie nam miło, ale to trzeba kupić, przygotować, potem po zjedzeniu posprzątać. Nie tylko zjeść. Ustalamy zasady twojego funkcjonowania w naszym domu, dopóki sobie lokum nie znajdziesz i się całkowicie nie usamodzielnisz.

Zwykle w takich sytuacjach włączają się z protestem mamy:

– Przecież stać nas... itd.

Nie! Nie stać nas na hodowanie darmozjada, który, utrwaliwszy się w postawie roszczeniowej, za chwilę zniszczy swoje małżeństwo... tragedia idzie w pokolenia.

Nie oszukujmy się, niedojrzałość towarzyszy wszystkim przeżywającym trudności małżeństwom, ale nie tylko tym. Tak naprawdę jakieś tam przejawy niedojrzałości towarzyszą każdemu małżeństwu, nawet najlepszemu, i to do końca życia. Jesteśmy wezwani, by przez całe życie, swoją własną

niedojrzałość pokonywać. W jaki sposób? Poprzez czyny dojrzałe. Nie ma innej drogi. Bo każdy czyn altruistyczny powoduje, że pokonujemy egoizm i wzrastamy. No dobrze, ale jeżeli małżonek jest rzeczywiście kompletnie niedojrzały?

Przychodzi kobieta do poradni:

– Proszę pana, mój mąż jest kompletnie nieodpowiedzialny.

Opowiada. Rzeczywiście, opisuje sceny okropnego, dzieciennego zachowania męża.

– No dobrze, proszę pani, rzeczywiście to nie wygląda różowo, ale niech pani powie, co pani powierza odpowiedzialności męża?

– Nie, no pan mnie nie rozumiał, przecież mówię, że on jest kompletnie nieodpowiedzialny!

– Ale ponawiam pytanie, co pani powierza jego odpowiedzialności?

– No nic, bo nie mogę.

– Droga pani, to on nigdy nie będzie odpowiedzialny. Nie ma innej drogi we wzroście w odpowiedzialności, jak branie na siebie odpowiedzialności!

Pewnie wielkim błędem tej pani było, że przed ślubem nie wygzekwowała od niego elementarnej odpowiedzialności. A może po prostu nie powinna w ogóle wyjść za niego. Oczywiście te rozważania to już „musztarda po obiedzie”. Mogą jedynie pomóc w refleksji tym, którzy są jeszcze przed ślubem.

Spróbujmy wobec tego odpowiedzieć sobie na pytanie, co ma zrobić żona kompletnie niedojrzałego męża? Jeżeli mąż jest kompletnie niedojrzały, żona nie może zastąpić go w jego rolach, bo wtedy on pozostanie i utwierdzi się w swojej niedojrzałości. Przeciwnie, ona ma w trudzie, czasami jak przedszkolanka przedszkolaka, mobilizować, żeby jednak wziął na siebie

odpowiedzialność, mówiąc symbolicznie, za podlanie jednego kwiatka w domu. (Tak się postępuje z małym dzieckiem.) I wspierać go, ale nie zastępować. Jeśli kwiatek uschnie, on ma zobaczyć, jak dziecko, że kwiatek usechł. Czasami, chociaż głupio mi tak o mężczyźnie mówić, mężczyzna jest jak dziecko. Jednak nawet wtedy żona nie powinna zrezygnować do końca życia z powierzenia mu choćby najdrobniejszych rzeczy, żeby podrosł. Ma go podziwiać za rzeczy, za które się podziwiał przedszkolaka. No, niestety, takiego wzięła i teraz musi się męczyć. Czasem mówię brutalnie: widziały gały, co brały. Naprawdę, wiele bardzo porządnych żon bierze na siebie wszystkie odpowiedzialności rodzinne, zamęczają się tym i spotykają się z niewdzięcznością, a nawet ze złością męża po latach:

– Kim ja w ogóle w tym domu jestem? Co ty ze mnie zrobiłaś?!

I rzeczywiście jest nikim – tylko że on do tego dopuścił. Bo... tak mu było wygodnie, nie musiał się wysilać.

Inny przykład. W drugą stronę:

Przychodzi facet do poradni piętnaście lat po ślubie:

– Proszę pana, moja żona to naprawdę wredna jędzka, po prostu – i tu zaczyna się szczegółowy opis...

– Wie pan co, ja się panu strasznie dziwię.

– A czemu się pan dziwi?

– Że się pan z taką jędzką ożenił.

– Ale, panie, co pan mówisz? Przecież ona wtedy była cudowna, wspaniała, fantastyczna, rewelacyjna!

– Acha, to przy panu się taka stała! Panie, nie ma innego wytłumaczenia! A przecież pan jej obiecał, że przy panu ona stanie się święta. To wracaj pan do domu, odrabiaj zaległości, póki jeszcze czas!

Mam też w zanadru, oczywiście, inny przykład, choć trochę równoważący tamte. Dowód, że można po zastosowaniu trudu samowychowania i uruchomieniu współpracy z łaską Bożą nawet po ciężkich przejściach dojść do normalności. Mianowicie, przyjeżdża do mnie mężczyzna, 35 lat. Pokonał ponad 300 kilometrów, przysłany przez kierownika duchowego. Wszedł, usiadł i opowiedział mi swoje życie. W wieku osiemnastu lat zbuntował się, uciekł z domu, wpadł w seks, narkotyki. Osiągnął rzeczywiście dno – ale jakoś na tym dniu się otrząsnął. Czasem trzeba się łbem o twarde dno walnąć, żeby się obudzić, powrócić do świata wartości, do przykazań, do Kościoła, do sakramentów, do wspólnoty – takie dorosłe nawrócenia są przeważnie solidne. Wszedł we wspólnotę charyzmatyczną, tam spotkał kobietę trzy lata młodszą. Ta kobieta знаła jego przeszłość – bez fabuły, bo to byłoby nierozsądne, ale wie, że były tam narkotyki, seks, alkohol. Ona uwierzyła, że on jest dobrym człowiekiem, że się naprawdę nawrócił. Zaczęli się spotykać. Piękna historia. I gdzie jest problem, czemu przyjechał? On opowiada:

– Proszę pana, przyjeżdżam tutaj, bo ja nie wiem, co się dzieje. Od dwóch lat się spotykam z kobietą, która jest najcudowniejsza na świecie, marzyłbym o tym, żeby moje córki były kiedyś takie, nie wyobrażam sobie lepszej żony, dziwię się, że ona w ogóle chce się ze mną spotykać, bo zna moją przeszłość. Ja nie mam żadnych wątpliwości, marzyłbym o takiej żonie, jak ona. I wie pan co, od półtora roku na każde spotkanie przyjeżdżam z pierścionkiem zaręczynowym w kieszeni. Wkładam rękę do kieszeni pięć razy w ciągu spotkania, wyjmuję rękę, bez pierścionka – potem się rozstajemy, a pierścionek zostaje w kieszeni. Proszę pana, ja nie wiem, jaka siła

mnie powstrzymuje, ja nie wiem, czy to Pan Bóg, czy szatan, czy Anioł Stróż, nie wiem. A może małżeństwo nie jest moim powołaniem?

Zaczynamy więc rozmawiać o jego życiu. Tata odszedł, gdy on miał kilka latek. Od tamtej pory wszystkie decyzje życiowe, poczynając od włożenia szalika, ustalenia menu na śniadanie i kolację, wyboru szkoły i studiów, załatwienia pracy po studiach – wszystko załatwiała mamusia. Ona robiła to w dobrej wierze, miała tylko tego synka, tata odszedł... Nie był to głupi chłopak, miał rozum. Opowiadając mi to, sam w tym momencie zrozumiał, że on się po prostu panicznie boi samego podjęcia decyzji! (Tylko jedną podjął w życiu, zresztą tragiczną w skutkach. Była to ucieczka z domu.) To nie chodziło o materię decyzji, tylko o sam fakt konieczności podjęcia decyzji! Gdy to pojął, nie miał już wątpliwości, odblokowało go. Wyjechał uśmiechnięty od ucha do ucha. Dziś są już po ślubie i z tego co wiem są dobrym małżeństwem.

To rzeczywiście jest happy end, ale takich mężczyzn mamy rzesze. A skąd wziął się pomysł „wolnych” związków? No przecież z lęku niedojrzałych facetów przed odpowiedzialnością! Jest taka książeczka *Razem czy osobno*. Bardzo prosta konstrukcja. Pierwszy rozdział: same zalety mieszkania wspólnego przed ślubem – tanio, wygodnie, pewność wyboru osoby, dopasowanie seksualne, same zalety. Drugi rozdział: porcja wiedzy, powiedzmy, seksuologiczno-psychologicznej, zupełnie elementarnej. I w świetle tej elementarnej wiedzy w trzecim rozdziale pokazane jest punkt po punkcie, że te wszystkie „zalety” są tak naprawdę ujemne! No, jedno możesz sprawdzić, czy mąż będzie chrapał w nocy. Taki żart na koniec umieściłem.

Jeżeli macie gdzieś w okolicy osoby, które na takie związki się decydują – a macie z pewnością – to koniecznie rozmawiajcie z kobietami i ostrzegajcie je. Oczywiście, one znajdą mnóstwo różnych usprawiedliwień. Ja znam ciąg dalszy, wiem, co będzie potem. Bo prawda jest taka, że oni są razem, żeby współżyć, przynajmniej on o to zabiega, a ona się na to zgadza. I co się okazuje? Konflikt interesów wyłania się w chwili, gdy poczyną się dziecko. On nadal chce być wolny, ona już nie. On przecież nie chciał odpowiedzialności, on się boi dziecka, on nie chce być ojcem – chociaż nim już faktycznie jest. On do niej mówi:

– Albo dziecko, albo ja!

Przetłumaczmy to na język dosadny: albo ona zabije ich dziecko, albo on odejdzie i będzie je wychowywać sama, bez ojca. I to mówmy dziewczynom, które się decydują na takie „wolne” związki. Polecajmy im to rozważyć, co odpowiedzą, gdy ich „partnerzy” każą im tak wybierać.

Tak na marginesie, zauważmy, że ponad 90% dziewczyn w tych związkach liczy, że facet się jednak ożeni – one płacą tę cenę za to, żeby on się ożenił. Natomiast ponad 80% facetów w tych związkach w ogóle takiej myśli do siebie nie dopuszcza. Proszę pomyśleć, jak dramatycznie wielki procent ludzi z jednej strony naiwnych, z drugiej cynicznie oszukujących... Warto dodać, że bardzo liczne pary zamieszkujące razem „przed ślubem” nigdy do ślubu nie dochodzą. „Rozwodzą się” zanim się pobrały. Tego nie wykażą żadne statystyki. Wśród par, które pomimo mieszkania razem jednak się pobrały, rozwody są o prawie 50% częstsze niż średnia. Za tym stoi też nieodpowiedzialność rodziców, którzy godzą się na to, że dzieci się decydują na wspólne mieszkanie przed ślubem. Ba, finansują to!

Tymczasem rodzicom nie wolno takiej sytuacji akceptować.

Pamiętam taką historię. Chłopak był wychowany przez samotną mamę. Ojca nie znał. Jako dorosły wyprowadził się i zamieszkał z dziewczyną. Mama prosiła, błagała – bezskutecznie. Dwa lata minęło, jak już mieszkali razem bez ślubu i przyjechali razem odwiedzić jego mamę. Mama przyjęła smaczną kolacyjką. Była miła rozmowa. Tak jakoś zeszło, że się zagadali, odjechała komunikacja miejska. Syn pyta mamę:

– Czy możemy przenocować?

– Oczywiście, dom duży. Ale w osobnych pokojach.

– Mamo, nie wygłupiaj się!

– To jest mój dom i tu jeszcze mogę decydować. Ja nie przyłożę ręki do... cudzołóstwa mojego syna.

Trochę zgrzytnęło. Przespali noc w osobnych pokojach. Krótko potem syn się oświadczył i ożenił. To jest właściwa postawa matki kochającej syna i nietracącej z oczu perspektywy wiecznej.

A ile mamuś (często przy aprobachie tatusiów) ścieli łóżeczko przed ślubem, bo dobra partia się trafiła synkowi czy córeczce? A to, że młodzi ludzie gdzieś się pogubili i zgrzeszyli, no cóż, nikogo nie osądzajmy, każdemu z nas zdarza się jakiś upadek, nie oszukujmy się, jak nie taki, to inny... Nie osądzajmy tych, którzy upadają... Tylko że zamieszkanie razem przed ślubem to nie jest jednorazowy upadek, ale wypowiedzenie Panu Bogu służby! To jest jakby powiedzenie Mu prosto z mostu:

– Ty, Panie Boże, nie jesteś mądry, my jesteśmy mądrzejsi, my lepiej wiemy, co prowadzi do szczęścia, niż Ty. My lepiej od Ciebie wiemy, którądy idzie się do szczęścia! Głupi jesteś, do niczego są Twoje przykazania!

I Pan Bóg takiemu związkowi ma błogosławić? Zaprzeczyłby sam sobie. A przecież On nie może zaprzecić się samego siebie:

*Jeśli trwamy w cierpliwości,
współ z Nim też królować będziemy.
Jeśli się będziemy Go zapierali,
to i On nas się zaprze.
Jeśli my odmawiamy wierności,
On wiary dochowuje, bo nie może się zaprzecić
siebie samego (2 Tm 2,12-13).*

To wspólne zamieszkanie to naprawdę coś znacznie gorszego niż jednorazowy upadek. Warto to jasno nazwać i rozumieć, bo problem się rozszerza. Dla wielu grzech stał się normalnością, postępowością, nowoczesnością. W dużej parafii, w dużym mieście ktoś zadał sobie trud sprawdzenia skali zjawiska. Okazuje się, że 47% par zgłaszających się do ślubu w Kościele katolickim już mieszka razem. I to nie były ani Warszawa, ani Szczecin, ani Łódź, a tam są najgorsze notowania.

A więc mamy dramat niedojrzałości mężczyzn, problemy z odpowiedzialnością. Ale to jest też niedojrzałość kobiet. To nie jest tak, że kobiety są dzisiaj wspaniałe, tylko mężczyźni odpowiedzialnych nie mają. Dzisiaj coraz liczniejsze dziewczyny są potwornie zdemoralizowane. Coraz częściej to właśnie dziewczyny ciągną do łóżka chłopców. Jest to przerażające, ale niestety prawdziwe. Przykład z życia. (Kanada, gdzie demoralizacja postąpiła znacznie dalej niż w Polsce, ale to idzie do nas.) Chłopaka, który w wieku osiemnastu lat zdecydował się zamieszkać z dziewczyną, mama bierze na poważną rozmowę. On mówi:

– Mamo, co ty mi mówisz, ty powinnaś być ze mnie dumna! To jest dziewczyna, z którą się ożenię, to jest poważna sprawa, dlatego się zdecydowaliśmy! Wiesz, że dziewięć innych już mi proponowało, ale ja się nie zgodziłem?!

Chłopakowi osiemnastoletniemu dziewięć dziewczyn proponowało łóżko, a on się nie zgodził! Należy włożyć już między bajki te wyobrażenia, że to jedynie mężczyzna ciągnie kobietę do łóżka, to już nie nasze czasy. Dzisiaj, niestety, bywa tak, że to dziewczęta atakują chłopców. Dziewczęta są atakowane przez pisemka dla nastolatków. W naszym kraju w jednej tylko edycji na sklepowe półki trafia ponoć ponad dwadzieścia milionów egzemplarzy pisemek dla dziewcząt. Pisemek tworzonych nie po to, aby je wychowywać, kształtować, pociągać do cudownych wartości, lecz po to, żeby im w zakamuflowany i zawołowany sposób przemycić tęsknotę za rozwiązłością seksualną. Zaplanowana grupa odbiorców (target) to 12-16 lat. Dokładnie czas dojrzewania, gdy nowe pobudzenia hormonalne stwarzają dziewczętom trudne zadanie zapanowania nad uczuciami, zwłaszcza budzącymi się w kierunku chłopców. Oczywiście w tych pisemkach panuje retoryka miłości i wolności. Ogłaszają konkursy typu: „Opisz swój pierwszy raz. Nie musi być prawdziwy. Najlepsze prace nagrodzimy”. I oto dwunastoletnia dziewczynka zaczyna myśleć, zdecydowanie przedwcześnie, o współżyciu z sobą w roli głównej. Zastanawia się, co by napisała, wyobraża sobie, jak by to było... I od razu dochodzi do wniosku, że jak napisze, że to stanie się z mężem, po ślubie, to na pewno jej nagrody nie dadzą, bo to przecież zacołane, niemodne i nieciekawe. Trzeba wymyślić coś odpowiednio frapującego! Najlepiej tak wyuzdanego, wynaturzonego, żeby redakcji „gały na wierzch wyszły”. Ziarno zostało

zasiane. Za chwilę obejrzy kilka filmów, w których oni tak pięknie się zdradzają, później kilka erotyków – kto wie, może po nie sięgnie na półkę mamusi? – a później już nie będzie wiedzieć, do czego ona tak naprawdę tęskni.

Obserwujemy dziś zmasowany atak zwłaszcza na nastoletnie dziewczęta, perfidny atak przypuszczany w najsubtelniejszym i najtrudniejszym zarazem momencie ich życia: w chwili, kiedy z dzieci przeradzają się one w kobiety, gdy zaczynają się w nich budzić hormony, gdy jest to dla nich nowe doświadczenie, z którym muszą dopiero nauczyć się sobie radzić. W ich sercach powstają nowe, nieznane dotąd tęsknoty, ich uczucia i myśli zaczynają się zwracać ku chłopcom... I właśnie w tym momencie życia nasza „nowoczesna kultura” dba intensywnie (niestety profesjonalnie), aby nie mogły one spokojnie się w tym wszystkim odnaleźć. Chłopców demoralizują te właśnie dziewczęta, które kilka lat wcześniej zostały umiejętnie i fachowo zniszczone, wtedy, gdy miały stać się pięknymi (nie tylko cieleśnie, ale i psychicznie i duchowo) kobietami, marzącymi o wiernej, czystej, dozgonnej i płodnej miłości – bo taka jest prawdziwa natura każdej kobiety. Te marzenia zostają podstępnie podmienione na rozbudzone i podsycane przez media fałszywe tęsknoty do ekscesów seksualnych. W wydaniu polskim międzynarodowej gazetki „Kasia lat piętnaście” (oczywiście nie żadna Kasia, tylko opłacony sowicie psycholog) w liście do redakcji opisuje, jak to była z chłopakiem pod prysznicem. Redakcja komentuje, że to takie niewinne, oni przecież tylko poznawali piękno ludzkiego ciała. W szwedzkim wydaniu tej samej gazetki identyczny list do redakcji (słowo w słowo!), napisała dwunastoletnia dziewczynka o szwedzkim imieniu. Po co to wszystko? Po to, żeby Basia

w Polsce lat siedemnaście (a w Szwecji Ingrid lat czternaście) pomyślała, że jest opóźniona w rozwoju, bo ona jeszcze nie była z kolegą pod prysznicem! Stworzenie takiej presji – która potem rozchodzi się na koleżanki i na całe szkoły – powoduje, że dziewczęta się gubią.

Jest znanym faktem, że na pytanie w ankietach:

– Czy już podjęłaś współżycie? – dziewczęta w wieku od siedemnastu do dziewiętnastu lat odpowiadają twierdząco znacznie częściej niż jest to naprawdę. Czemu? Bo wstydzą się swojego dziewictwa, które dziś świat traktuje jako wstydliwą przypadłość (pewnie nikt jej nie chciał). One nie chcą swojej normalności, czystości, swojego piękna. Nie zapomnę o rozmowie z dwudziestośmioletnią kobietą o jej problemach życiowych. Po rozmowie, patrząc na mnie błagalnym wzrokiem, wyszeptwała:

– Tylko niech pan nikomu nie mówi, że jestem jeszcze dziewicą.

Ona zamiast dumy czuła wstyd z powodu... swojej normalności. Tak, czystość jest stanem normalnym, zapewniającym szczęście. Nieczystość zawsze szczęście niszczy. Niektóre jednak znają wartość dziewictwa i potrafią się obronić przed tą presją świata. Ostatnia dziewczica w klasie maturalnej technikum odzieżowego, napadnięta przez koleżanki z ofertą pomocy pozbycia się przykrewnej przypadłości w postaci dziewictwa, powiedziała:

– Taka jak wy mogę stać się w każdej chwili, ale taka jak ja już żadna z was nigdy nie będzie.

Zmieszane zaprzestały ataków, których motorem ewidentnie były nieuświadomiane wyrzuty sumienia. Ona tylko powiedziała prawdę.

Tego rozwodrzenia seksualnego trzydzieści lat temu nie było. Trzydzieści parę lat temu (gdy zaczynałem pomagać małżeństwom) zdrady w ponad 90% były udziałem mężczyzn. Bardzo rzadko zdarzała się zdrada kobiety. Dzisiaj kobiety już prawie dorównały częstotliwością zdrad mężczyznom. Oczywiście wynika to z fałszywie ulokowanych tęsknot. To świadczy, że tak naprawdę niedojrzałość jest po obu stronach ogromna. I to jest powodem późniejszych dramatów małżeńskich. A zatem pierwszą, podstawową przeszkodą w budowie relacji miłości jest tak naprawdę obustronna niedojrzałość, a z nią fałszywe wyobrażenia i tęsknoty związane ze sferą seksualności.

Dziś coraz więcej kobiet robi to samo, co mężczyźni. Zamiast wychowywać mężczyzn, zaczynają ich w tym, co złe, naśladować. Zamiast zabronić mężczyznom nieuprawnionych działań, same schodzą na to dno. Coraz częściej kobieta, obdarzona przecież przez Boga zdecydowanie większą zdolnością do budowy głębokiej relacji miłości, większym uwrażliwieniem na ważność więzi psychicznej i duchowej zniża się do poziomu ordynarnej cielesności (wyrwanej z kontekstu małżeństwa i płodności). Nierzadko mówi:

– Skoro facet może zaliczać jedną babkę po drugiej, to ja też mogę zmieniać facetów jak rękawiczki. Nie jestem gorsza! Chciałoby się rzec: szkoda, bo miałaś być lepsza i do dobra pociągająca wszystkich, a zwłaszcza wybranego mężczyznę. Zmarnowałaś swój talent i życiową szansę.

Jeśli tak, to kto uświadomi mężczyźnie konieczność trudu pracy nad sobą? Trudu wchodzenia pod górę. A prawda jest tylko jedna: wzrost człowieka przez aktywność seksualną może nastąpić tylko w monogamicznym związku heteroseksualnym, małżeństwie gotowym na przyjęcie dziecka.

Owszem, planować mogą różnie, różnie też może się to potoczyć w praktyce – ale współżycie zawsze powinni być gotowi do przyjęcia dziecka. Tylko w takich warunkach, w poczuciu stałości, stabilności, wierności, więzi emocjonalnej i duchowej współżycie seksualne może powodować wzrost człowieka i wzrost komunii między dwojgiem ludzi.

Było to w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku, kiedy jeszcze funkcjonowały licea żeńskie i męskie, w liceum męskim, najlepszym w Poznaniu, elitarnym, do którego wszyscy chcieli się dostać. Już wtedy, w tamtych czasach, w klasie maturalnej pani (po specjalnym szkoleniu na ogólnopolskich kursach) szkoliła młodzieńców, jak ważna jest umiejętność działania seksualnego, dobrego współżycia:

– Kochani, widzicie, ile jest z nieumiejętności współżycia nieszczęść, rodziny się rozpadają, żony odchodzą, mężowie są sfrustrowani! Faceci nie umieją współżyć i żony po prostu odchodzą do lepszych. Nie chcecie chyba, żeby żony okrzyknęły was fajtłapami i odeszły z małżeństwa. Na szczęście można temu zaradzić i się po prostu nauczyć. Tak więc chłopcy musicie uczyć się dobrego współżycia. Oczywiście nie od waszych koleżanek, co one mogą umieć...? Uczcie się od doświadczonych, dojrzałych kobiet, które są w tym dobre!

Tak przebiegała lekcja. Nie wytrzymał tej ordynarnej indoktrynacji cichy, spokojny, dobry uczeń. (Syn naszego starszego przyjaciela z Duszpasterstwa Rodzin.)

– Proszę pani, czy ja mogę o coś zapytać?

– Oczywiście, po to tu jestem, by odpowiedzieć na każde pytanie.

– Czy naprawdę mamy się tego uczyć od starszych, doświadczonych kobiet?

– Tak. Przecież tłumaczyłam, dlaczego.

– W takim razie, czy ja mogę z panią?

Gdyby ta nauczycielka głosiła szczerze swoje przekonania, wyjęłaby notes i powiedziała:

– Tak, w czwartek wieczorem mam wolne! – nic takiego jednak się nie wydarzyło. Kobieta spłonęła rumieńcem i wybiegła z klasy.

To był bardzo dobry uczeń, inteligentny i kulturalny. Słowa tej nauczycielki były tak wulgarne i niesmaczne, że zareagował w ten sposób. Zdemaskował zło. I, co ciekawe, nie dostał żadnej nagany, choć cała szkoła o tym, ma się rozumieć, huczała. Nawet nie był poproszony na rozmowę z dyrektorem czy wychowawcą. On zachował się jak pilny uczeń. W zasadzie nic mu nie można było zarzucić. Wydarzyło się to ponad czterdzieści lat temu. Już wtedy się to działo. A teraz...?

Strach pomyśleć. Deprawacja seksualna i zaburzenie dzieciom tożsamości płciowej zaczyna się w przedszkolach. Co gorsza, jest obowiązkowa. W niektórych krajach za obronę dzieci przed deprawacją rodzice już płacili grzywny, byli osadzani w aresztach a nawet odbierano im dzieci!

NIEWŁAŚCIWA RELACJA Z TEŚCIAMI

Muszę koniecznie wspomnieć o jeszcze jednym ważnym powodzie, który bardzo utrudnia budowę więzi małżeńskiej, a często ją wręcz rozbija. W tym miejscu mam ogromną ochotę – i chyba się nie powstrzymam – przytoczyć pewien kawał.

– Co byś zrobił, gdyby tygrys napadł twoją teściową?

– Nic, niech sam się broni...

Można by rzec, kawał jak kawał, jeden z wielu na temat teściowych – ale jeśli opowiadane są kawały, to znaczy, że coś, jak to się mówi, jest na rzeczy. Zawsze pojawiające się kawały na jakiś temat zdradzają stojącą za tym bolesną rzeczywistość.

Akurat problemy pod hasłem „teściowa” to jest naprawdę cała grupa problemów. Najpowszechniejsze są dwa. Pierwszy to niedojrzałość uczuciowa teściowej, która zwykle idzie w parze z jej złą relacją z mężem i nadmiernym ulokowaniem uczuć w relacje z dziećmi. To zawsze źle wpływa na relację małżeńską. Dzieci są uwięzione w uczuciach mamusi. Która, oczywiście, dobrze chce i naprawdę się dla nich całkowicie poświęca. W takiej sytuacji dorosłemu, wychodzącemu z domu, dziecku jest bardzo trudno wypełnić słowa Jezusa, zawarte w Piśmie Świętym:

On odpowiedział: «Czy nie czytaliście, że Stwórca od początku stworzył ich jako mężczyznę i kobietę? I rzekł: Dlatego opuści człowiek ojca i matkę i złączy się ze swoją żoną, i będą oboje jednym ciałem. A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało. Co więc Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela» (Mt 19,4-6).

Wiele małżeństw młodych (i nie tylko) jest w sytuacji, że mamusia (najczęściej w dobrej wierze) próbuje żyć życiem „swojego” dziecka i ustawiać jego małżeństwo. (Dla dobra młodych oczywiście.) Ta sytuacja bywa szczególnie trudna, gdy brakuje męża, który by ostudził działania teściowej – czyli swojej żony. Można oczywiście (i warto) podpowiadać młodym małżonkom, co mogą zrobić, aby trochę swoją sytuację

małżeńską poprawić. Przede wszystkim, muszą twardo stanąć murem, w małżeńskiej jedności. Podkreślać swoją jedność nawet trochę na pokaz przed rodzicami. Przykładowo, jeśli mąż jest świadkiem sytuacji, gdy w sprzeczce żony z jego matką małżonka ewidentnie nie ma racji, a strofuje teściową, powinien stanąć po stronie... żony oczywiście! Nie przyznać jej racji, której nie ma, tylko stanąć w jej obronie. Usprawiedliwiać jej zachowanie. Powinien wykorzystać tę okazję, podejść do żony, objąć ją ramieniem i powiedzieć matce:

– Mamo, może głupio wyszło, ale ona nie chciała źle.

Opowiedzieć się po stronie żony. To bardzo wyraźny sygnał dla mamy, że najważniejszą kobietą jego życia od dnia ślubu jest jego żona! Oczywiście, po wyjściu mamusi mogą – a nawet powinni! – o tym porozmawiać. Jednak wobec teściowej stać murem przy sobie. Bo jeśli matka (zwykle nieświadomie) potraktowała synową jako konkurentkę do uczuć syna, to oczywiście, usiłuje go jej odbić. Ale nie przyzna się sama przed sobą, że ona, katoliczka, odbiera męża sakramentalnej żonie i ojca dzieciom. O, nie! Ona ratuje syna przed śmiercią z głodu i wycieńczenia, na przykład. Bo przecież serce matki to czuje, wie najlepiej – koronny argument. I teraz, w takiej sytuacji, gdy ten syn zajmie tak jednoznaczne stanowisko, wówczas mamusia widzi, że jej próby odbicia go są bez szans. Widząc, że nie odbierze syna jego żonie, co robi, aby nie stracić dziecka? Dochodzi do wniosku, że musi zaakceptować synową, by nie stracić syna. To się dzieje na poziomie podświadomości, oczywiście, ale w wyniku tego następuje całkowite odwrócenie nastawienia. Dotychczas teściowa wyszukiwała same wady w synowej, by uzasadnić próby odebrania jej synka, teraz doszukuje się w niej zalet, aby móc ją jakoś zaakceptować, by więzi z synkiem nie stracić.

Jak wspominałem, problem z teściową stawiającą na pierwszym miejscu miłość do dzieci dotyczy w przeważającej części przypadków sytuacji, gdy zabrakło dobrej więzi pomiędzy małżonkami. Albo sama z niej zrezygnowała na rzecz fascynujących i (co tu dużo mówić) łatwych relacji z małymi dziećmi i mąż poszedł w uczuciową odstawkę. Ona ma „swoje dzieci”. Problem zaczyna się za dwadzieścia kilka lat, gdy te dzieci chcą wyjść z domu i ją zostawić z uczuciowo obcym mężczyzną, jej mężem... Albo mąż, zajęty działalnością zewnętrzną (kariera, hobby...), nie odpowiadał na jej próby budowania więzi małżeńskiej. Był osobą wycofaną z domu, niedającą wsparcia i nieodgrywającą właściwej roli w rodzinie. W pewnym sensie wówczas żona została skazana przez niego na dzieci. Szczególnie trudna jest sytuacja, gdy matka samotnie wychowywała swe dziecko. Tak naprawdę najskuteczniejszą gwarancją, że rodzice nie będą nieznośnymi teściami, jest to, że tworzą szczęśliwe małżeństwo. Wtedy dzieci mogą spokojnie opuścić dom i założyć własną rodzinę – a rodzice oddychają z ulgą, bo mają wreszcie czas tylko dla siebie nawzajem, dla dalszego budowania komunii małżeńskiej. Tam, gdzie jest dobra więź małżeńska, w zasadzie nie ma problemu z nimi jako teściami. Problem z odczuwaniem pustki po wyjściu dzieci z domu jest tam, gdzie zaniedbano więź małżeńską, koncentrując się wyłącznie na dzieciach. (Ze szkodą dla wszystkich!)

Drugim problemem, jaki najczęściej pojawia się w relacjach z teściową, jest niedojrzałość emocjonalna do oderwania się od mamusi młodego małżonka. Co ciekawe, znacznie częściej jest to niedojrzały mężczyzna, niż niedojrzała kobieta. Synek nie potrafi psychicznie oderwać się od mamusi, oczywiście nie zdając sobie z tego sprawy. To nastawienie bezbłędnie

wyczuwają żony i nie czują się najważniejszymi kobietami w życiu ich mężów. To rodzi kryzysy, nieraz bardzo poważne. Zdarza się, że facet przychodzi i mówi mi:

– Proszę pana, ja nie rozumiem, czego ona chce. Ubzdurała sobie, że dla mnie mamusia jest ważniejsza od niej. Ja jej tłumaczę, że przecież ona jest najważniejszą kobietą dla mnie. Z nią śpię, z nią mam dzieci, jej przynoszę pensję, jem wspólne posiłki, haruję, żeby jej niczego nie brakowało, nawet na zakupy z nią chodzę. A do matki idę ledwie raz na jakiś czas – to co, mam przestać chodzić w ogóle?!

Ja mówię na to:

– Proszę pana, małżonce zupełnie nie chodzi o to, czy ona jest dla pana obiektywnie najważniejszą kobietą w pana życiu. Jej chodzi o to, żeby czuła się najważniejszą kobietą w pana życiu. Subiektywnie. Ona ma się tak czuć i pan musi coś zrobić, żeby ona tak się czuła – a nie tłumaczyć jej logicznie, że ona nieprawidłowo się czuje. Dopiero kiedy małżonka subiektywnie poczuje się kochana ponad wszystko, poczuje się niezagrożonym numerem jeden w pana sercu, to wtedy problem zniknie – a pan będzie mógł sobie latać do mamusi, ile pan zechce.

A swoją drogą wcale nie tak rzadko się zdarza, że jak mąż cokolwiek ustali z żoną, to potem po kryjomu dzwoni do mamusi, pytając, czy mogli tak ustalić. No bo przecież mama ma większe doświadczenie i... wie lepiej. Jeżeli mamusia nie zaakceptuje decyzji on pod jakimś pretekstem ją zmienia. Każda żona to wyczuje przez skórę.

Tak więc, panowie, przestańmy żonom logicznie tłumaczyć, że powinny inaczej czuć. Nie chodzi mi o to, że panie nie posiadacie zdolności logicznego rozumowania – oczywiście, że

ją posiadacie! Jednak prawda jest taka, że jak świat światem, jeszcze nie zdarzyło się, aby udało się jakiemuś mężowi argumentami rozumowymi zmienić uczucia żony. Wytlumaczyć, że nie powinna tak czuć, jak czuje.

Czasem naprawdę teściowie potrafią być niezdolni. Parę lat temu w poradni miałem taki przypadek: babcia dostawała pod opiekę wnuki, kiedy ich rodzice, syn z synową, szli do pracy. Układ bardzo wygodny i darmowy. Afera wybuchła któregoś wieczoru, gdy sześciolatek ogłosił, że nie będzie się modlił, bo to są bzdury.

– A kto ci to powiedział?

– Babcia!

Okazało się, że babcia prowadziła regularną agitację ateistyczną, wybijając dzieciom z głów te „bzdury” z Panem Bogiem, Matką Boską i tym wszystkim! Babcia była rozwiedziona, mąż od niej odszedł i... obraziła się na Boga i Kościół. Z „zemsty” na Bogu chciała Go obrzydzić wnukom.

Zrozpaczeni rodzice usłyszeli ode mnie to, co jedynie mogli usłyszeć:

Rodzicom nie wolno już więcej zostawić dzieci pod opieką tej babci, choćby na jeden dzień. Niestety, choć było to bardzo wygodne, to dobro dzieci jest ważniejsze! Trzeba babci to powiedzieć spokojnie i stanowczo. Na razie dzieci będą się spotykać z babcią tylko pod kontrolą rodziców. Jeżeli, babcia zrozumie błąd i krzywdę, jaką wyrządziła dzieciom, zaniecha swojej agitacji ateistycznej i... szczerze się nawróci, to jest szansa na powrót do dawnych relacji i może kiedyś powróci do „pełni łask”.

Zauważmy, że nie powiedziałem, żeby zerwać kontakty z babcią. Wnuki mają prawo do posiadania relacji z babcią,

przecież nie wybierały sobie tego, jaka ona jest. Cóż, czasami aż tak drastyczne sytuacje się zdarzają. I mimo to należy wzbudzić wewnętrzną życzliwość do tych ludzi, którzy wspólnie z Bogiem przekazali życie, współstworzyli męża lub żonę.

Jeżeli z tym się nie uładzimy, jeżeli będziemy mieli w niewiści swoich teściów, będzie to bez wątpienia potężna przeszkoda w budowie dobrej relacji mąż – żona. Niezależnie od tego, czy to złe uczucie jest uzasadnione, czy nie. Jeżeli zięć lub synowa nie poradzą sobie ze złym nastawieniem do teściów, mimowolnie będą codziennie ranić swych współmałżonków, niepostrzeżenie dla siebie samych. Wtedy zaczyna się ranienie w najboleńsze miejsca, bo dom rodzinny, jaki by nie był, każdemu jest jakoś drogi. Każdy z nas ma wspomnienie swego domu rodzinnego i jest psychologicznie uzasadnione, że im dalej od tego domu odrastamy, tym bardziej go sobie idealizujemy. Nawet w bardzo patologicznych rodzinach dorosłe dzieci mówią:

– No tak, tata jaki był, taki był, ale w sumie to nas bardzo kochał.

Każdy człowiek tego przeświadczenia potrzebuje, po prostu, dla swojego dobrego funkcjonowania. Można by ten wątek relacji z teściami rozwijać jeszcze długo. Niech czytelnik pozwoli, że w tym miejscu go utnę...

5. KOMUNIKACJA JAKO NARZĘDZIE BUDOWANIA KOMUNII

NIEUMIEJĘTNOŚĆ ROZMOWY

Co jest celem komunikacji? Jak sama nazwa wskazuje, celem komunikacji jest komunია, a więc jedność. Rozmowa jest po to, aby pogłębić jedność między rozmówcami. A jednak w wielu małżeństwach dzieje się tak, że znacznie częściej rozmowa małżonków od siebie oddala niż do siebie zbliża. Mimo, że posługują się tym samym językiem, mimo, że są kochającym się małżeństwem, mimo, że oboje mają dobrą wolę i tak... kompletnie nie umieją ze sobą rozmawiać. Trudność tę mają nawet ludzie będący blisko Boga we wspólnocie Kościoła Domowego, którzy mają obowiązek zasiadania (rozmowa raz w miesiącu, specjalnie zaaranżowana). Zgodnie z zasadami Kościoła Domowego, zasiadają do stołu, zapalają świeczkę, modlą się – i naprawdę oboje są w dobrym nastroju i mają dobre chęci – to i tak rozmowa się nie klei. Otwierają usta i... się ranią. Mimo woli wypominają, oskarżają, obwiniają, negatywnie oceniają, uderzają w najbardziej bolące miejsca – i wstają po tej rozmowie od stołu w dużo gorszej formie, niż siadali. A siadali naprawdę w dobrej wierze! Widać zatem, że sama dobra wola nie wystarczy, potrzebne są również pewne umiejętności. I okazuje się, że te umiejętności z dziedziny komunikacji są przydatne we wszelkich relacjach, nie tylko

mażeńskich. Potrzebujemy umiejętności komunikacyjnych w rozmowie z dziećmi, pracy, wśród znajomych, w kierownictwie duchowym, wszędzie.

Na początek okreśmy, czym jest nieprawidłowa, a czym prawidłowa komunikacja. Niech nam posłużą w lepszym zrozumieniu te dwa oto kawały.

Otóż, zwierzątka zbudowały w lesie sklep. Natrudziły się, wreszcie wspólnym wysiłkiem udało się dzieło zakończyć. Nastąpił upragniony dzień otwarcia, podniosły nastrój. Od wczesnych godzin rannych zwierzątka ustawiały się w długiej kolejce. Panował idealny porządek, jak nigdy. Nawet niedźwiedź, który trochę zasnął (jak zwykle), stoi grzecznie w kolejce na sto dwudziestym piątym miejscu. Tak jak przyszedł. Mógłby jednym ruchem łapy odgarnąć ileś zwierzątek i przesunąć się do przodu, ale nie, stoi spokojnie, tak jak przyszedł. Wszystko było w idealnym porządku, dopóki nie przykicał zajączek. I jak gdyby nigdy nic, bez słowa, pokicał na sam początek kolejki! Zapanowało powszechne oburzenie. Niedźwiedź stanowczym ruchem chwycił zająca wielką łapą za uszy – i (jeszcze spokojnie, acz stanowczo...) postawił na końcu kolejki. Zając czmychnął pod łapą niedźwiedzia i pędem ruszył na początek kolejki. Niedźwiedź pochwylił go za uszy i rzucił trochę dalej, niż było trzeba. Zając wstał, otrząsał się, powiedział:

– Do trzech razy sztuka! – i pędem puścił się na początek kolejki. Niedźwiedź dopadł go tuż przy drzwiach, chwycił za uszy i... wyrzucił daleko w las. Zając wstał, otrząsał się, i burknął pod nosem:

– Chrzanię to! Dziś nie otwieram tego sklepu!
A teraz drugi kawał, o dobrej komunikacji:

Niedźwiedź jesienią sporządził jadłospis. Długi, wiadomo – przed zimą trzeba się porządnie najęść. Na zwierzęta w całym lesie padł blady strach. Niedźwiedź spotyka jelenia. Jeleń na drżących nogach, słabym głosem pyta:

– Niedźwiedziu, niedźwiedziu kochany, czy jestem na twojej liście?

– Jesteś.

– Ach, niedźwiedziu, pozwól mi tylko pożegnać się z rodziną!

– Dobrze.

Jeleń pobiegł, pożegnał się z rodziną i... niedźwiedź go zeżarł. Niedźwiedź spotyka wilka. Przerażony wilk drżącym głosem pyta:

– Ach, niedźwiedziu, czy jestem na twojej liście?

– Jesteś.

– Kochany niedźwiedziu, pozwól mi jeszcze godzinę pobaraszkować z dziećmi!

– Dobrze.

Wilki pobawił się ze swymi wilczętami i... niedźwiedź go zeżarł. Do niedźwiedzia przykicał zajączek i zawadiacko pyta:

– Niedźwiedziu, czy jestem na twojej liście?

– Jesteś – odburknął niedźwiedź.

– A mógłbyś mnie wykreślić?

– Jasne, nie ma sprawy!

Komunikacja, jak sama nazwa wskazuje, powinna służyć komunii rozmówców, czyli przybliżać ich do siebie. Naprawdę, dobra komunikacja potrafi wiele dobrego załatwić. Jest w języku polskim drugie słowo, które ma podobne znaczenie: porozumienie. Ono wskazuje na coś bardzo ważnego. Mianowicie, jeśli się jako ludzie (czyli po ludzku) chcemy

po-rozumieć, musimy używać rozumu. Nie rozmawiajmy więc, nie wchodźmy w taką bijatykę słowną z osobą, która ucieka od argumentów rozumowych, wchodzi na emocje albo nawet wprost na czarne mówi białe. Tu rozmowa nie ma sensu. Możemy się najwyżej poranić i poobrażać. Może starsi czytelnicy pamiętają jeszcze rozmowy Solidarności z rządem. Jak przedstawiciel rządu był tak przyparty do muru, że nic już nie mógł racjonalnego powiedzieć, mówił:

– Taka jest Racja Stanu!

Albo:

– Takie jest prawo! (Które oni bezprawnie ustanowili. Wszak nigdy nie mieli mandatu Narodu dla swej „władzy”.)

A przecież to samo dzieje się dzisiaj, wśród „najlepszych synów Narodu” w sejmie, gdy jedna strona mówi:

– Prawo do życia dziecka poczętego!

Druga strona wrzeszczy wtedy:

– Nie mówmy: dziecko, mówmy: płód! A w ogóle to wy chcecie, żeby kobiety porzucały dzieci na śmietniku! – Typowa ucieczka od rzeczowych, rozumowych argumentów i wchodzenie na emocje.

Wróćmy do pozytywów. Mamy zatem poprzez dobrą komunikację budować więź i mamy używać w tym celu rozumu. Jak to wygląda technicznie? Specjaliści z dziedziny komunikacji – bo jest to dziedzina nauki – wyodrębnili jedenaście kanałów komunikowania. Ja ich tu nawet nie będę szczegółowo omawiał. Jasne jest, że oprócz słów do porozumiewania się używamy także tak zwanej mowy ciała. Wymienię tylko niektóre elementy: słowa, intonacja, spojrzenie, mimika twarzy, gestykulacja... a nawet odległość do słuchacza, ubiór i postawa ciała. Jeżeli w tłumie ludzi podejść do kogoś i szepnąć mu

coś na ucho, dla wszystkich obserwujących tę scenę będzie jasne, że miałem jej do powiedzenia coś wyjątkowego, intymnego. A jeśli dwie osoby stoją na przeciwległych brzegach rzeki i do siebie machają, wiadomo, że okazują sobie życzliwość. Skąd to wiadomo? Bo sobie przyjaźnie machają, a nie wygrażają pięściami.

Jeśli użyjemy różnorodnych narzędzi komunikacji w poprawny (spójny) sposób, to bliskość rozmówców się pogłębia, ponieważ dobra komunikacja zawsze owocuje pogłębieniem komunii. Dlaczego o tym piszę? Żeby było jasne, że komunikacja słowna i pozasłowna (niewerbalna), muszą być spójne ze sobą. Przekaz pozasłowny powinien wspomagać i wzmacniać przekaz słowny. Niewybaczalnym błędem jest to, gdy przekaz słowny i pozasłowny są ze sobą sprzeczne. A będzie tak zawsze, gdy będziemy coś udawać, gdy będziemy nieszczerzy. Jeżeli ktoś komunikuje się nieszczerze i chce rozmówcę oszukać, to zawsze jakimś gestem ciała się zdradzi i... nie dojdzie do porozumienia. Jeżeli chcemy się dobrze i skutecznie komunikować, musimy zrezygnować z chęci oszukiwania. Gdy mówimy szczerze prawdę, nasz przekaz jest wiarygodny. Całym ciałem mówimy to samo, co słowami. Jeśli nie spełniamy tego warunku, dochodzi do wewnętrznej sprzeczności w komunikacji słownym i pozasłownym – odbiorca jest zdezorientowany. Czy wierzyć słowom, czy mimice i gestom? W tym wypadku winnym niedogadania się jest ten, który wysyłał sprzeczne ze sobą komunikaty.

Sądzę, że bardzo pewnym elementem, który wpływa na dość powszechną nietrwałość małżeństw zawieranych przez aktorów, jest właśnie ta pokusa, aby w relacji do współmałżonka zagrać kogoś innego, niż się naprawdę jest. Przecież robią to na co dzień, zawodowo. Komunikacja jest wówczas

udawana, nieuczera. Oczywiście, że wszyscy po trosze gramy – ale zawodowym aktorom z pewnością jest pod tym względem trudniej. Samemu, grając, trudniej jest uwierzyć w szczerłość i autentyczność rozmówcy.

Wielkim błędem jest przymuszanie kogoś do rozmowy. Kogoś, kto jeszcze nie jest gotowy na szczerą rozmowę na dany temat. To właśnie niejako wymusza opisaną wyżej nieuczerałość. Rozmawiać z pożytkiem można tylko wtedy, kiedy obie strony są do rozmowy gotowe. Czasem trzeba poczekać. Wykazać cierpliwość. Jeżeli ktoś nie chce rozmawiać, nie można go do tego zmusić. Można jedynie starać się go zachęcić poprzez stworzenie maksymalnie korzystnych okoliczności, atmosfery. Czasem, przy mądrym podejściu, porozumienie jest możliwe nawet w sytuacjach pozornie niemożliwych. Zdarza się, że ktoś nie chce rozmawiać, ponieważ obawia się zranienia. Być może słusznie. Jeśli wchodzimy w rozmowę tylko po to, aby po raz kolejny coś komuś wypomnieć, obwinić o jakąś dawną rzecz, na którą rozmówca nie ma już teraz wpływu, tworzy się rana. Rana to uderzenie w coś, na co nie mamy wpływu. Przywoływanie w rozmowie faktów z przeszłości jest klasycznym raniem. Owszem, jeżeli jest w przeszłości jakaś niezłałatwiona sprawa, która się za nami ciągnie, trzeba raz jeden usiąść i porozmawiać o tym. Przeprzić, wybaczyć. I nigdy więcej do tego nie wracać. Oczywiście, przebaczenie nie jest tożsame z zapomnieniem. Jeśli raz wydarzyło się coś złego, nie można o tym zapomnieć, to byłaby naiwność. Trzeba pamiętać o tym właśnie po to, aby to już się nie powtórzyło. Żeby nigdy nie powróciły okoliczności, w których to zło się wydarzyło. Ale mówienie o tym, wypominanie tego, jest nieludzkie, jest klasycznym raniem, kopaniem leżącego.

Prześledźmy, co konkretnie wydarza się podczas rozmowy. Specjaliści nazywają to łańcuchem komunikacji. Pozornie wydaje się to banalne: komunikat wychodzi od nadawcy i dociera do odbiorcy. Lecz co się dzieje po drodze? Prześledźmy, co dzieje się w trakcie komunikacji między dwiema osobami. Nadawca komunikuje coś, co ma do przekazania, odbiorca natomiast odczytuje komunikat i interpretuje go. Oczywiście nie znaczy to, że żona ma nieustannie nadawać, nadawać, nadawać – a mąż wyłącznie odbierać, odbierać, odbierać. Niektórym z pań doradzałbym, aby zamontowały sobie zegar szachowy i sprawdzały, jaki procent czasu w rozmowie przypada na komunikaty ich, a ile na męża.

Co zatem dzieje się podczas łańcucha komunikacji? Nadawca nosi w sobie jakąś intencję i komunikuje ją odbiorcy. Odbiorca odbiera ten komunikat swoimi zmysłami i podejmuje próbę zrozumienia, czyli dokonuje interpretacji. Mamy zatem następujący łańcuch: intencja – przekaz – odbiór – interpretacja. Podstawowa rzecz, którą musimy sobie uświadomić o komunikacji, to fakt, że tak naprawdę interpretacja odbiorcy nigdy nie jest zgodna z intencją nadawcy. Interpretacja nigdy nie jest równa intencji. To może w ogóle nie warto rozmawiać? Czy sprawa jest beznadziejna? Nie! Należy tylko zadbać, by możliwie najprecyzyjniej przybliżyć interpretację do intencji. Cóż zatem zrobić, żeby przybliżyć interpretację do intencji, czyli – aby się lepiej zrozumieć? W tym celu wymyślono tak zwaną informację zwrotną. Chodzi o to, by odbiorca własnymi słowami określił, jak zrozumiał komunikat nadawcy. Z kolei nadawca na nowo dookreśla, o co mu chodziło, by odbiorca

lepiej zrozumiał jego intencję. I znowu odbiorca... i tak do skutku. (Dla inżynierów: iteracyjny sposób zbliżania się do końcowego wyniku.)

– Czy ja na pewno cię dobrze zrozumiałem, chodziło ci o to i o to?

– Ależ nie! Raczej o to i tamto.

– Acha, o to i tamto?

– No bliżej. Ale w sumie to jeszcze też o to i to.

– Acha, o to!

– Tak, właśnie o to!

W ten sposób, konfrontując interpretację z intencjami, zbliżamy się do lepszego zrozumienia, o co komu naprawdę chodzi. Wymaga to sporej pokory, ale efektem jest zbliżenie interpretacji do intencji i zmniejszenie do minimum ryzyka nieporozumienia.

Mówi się, że nadawca ma być maksymalnie przeźroczysty. Musi jasno wyrażać, o co mu chodzi, mówić wolno i wyraźnie, bez żadnych ozdobników, zawłości, wybiegów i podtekstów słownych. Odbiorca powinien być nastawiony życzliwie, współodczuwająco, empatycznie. Kłopot w rozmowach damsko-męskich jest zatem dość poważny. Dlaczego? Bo mężczyźni znacznie łatwiej nazwać, o co mu chodzi. Po pierwsze, chodzi mu o znacznie mniej i są to konkretne rzeczy. Łatwe do nazwania. Kobiecie trudniej określić, co chce zakomunikować, ponieważ składa się na to znacznie więcej subtelnych, trudnych do nazwania elementów. Ale z kolei jej dużo łatwiej jest wczuć się w intencje nadawcy. Mówiąc w skrócie, od mężczyzny do kobiety informacje przechodzą podwójnie łatwo: on precyzyjniej nadaje, ona łatwiej odbiera. W drugą stronę jest pod górkę: jej trudniej określić subtelności, o które jej chodzi, jemu trudniej

zrozumieć. Dlatego wszystkie żony wszystko wiedzą o swoich mężach, a my, mężowie, nie wiemy o swoich żonach nic. Wcale nie do rzadkości należy następujący dialog małżeński:

– Jak to, nie wiesz?! Przecież tyle razy o tym mówiliśmy!

– Nic podobnego. Pierwsze słyszę, nigdy nie rozmawialiśmy o tym!

Bez trudu każdy małżonek rozpozna, kto jest kim w tej rozmowie. Obyśmy potrafili się do tego uśmiechnąć, zamiast... się wściekać i udowadniać sobie nawzajem, kto ma rację.

No ale ostatecznie kto ma rację? Oboje. Ona mówiła, ale on nie usłyszał. To nie sztuka mówić. Sztuką jest tak powiedzieć, aby ktoś usłyszał. Weźmy taką sytuację, rozmowa dziewczyny z chłopakiem:

– Pójdziemy do kina?

– Ymym.

Tydzień później:

– To co z tym kinem?

– Jakim kinem?

– No przecież mieliśmy iść do kina!

– Nic podobnego...

I teraz dramat – jak on mógł zapomnieć?! Ona pamięta, oczywiście. Dlaczego? No bo ona to jego mruknięcie przyjęła za odpowiedź i uznała, że są konkretnie umówieni. Do kina, na ten jakiś film, który ona sobie wymyśliła, grają go w tym kinie, obok którego jest taka fajna, przytulna knajpka. Na pewno po kinie on ją tam zaprosi, postawi kawę i ciastko, porozmawiają, może on wreszcie powie jej to, na co ona tak długo czeka... Jak mogłaby zapomnieć to wszystko?! A dla niego nie było rozmowy! Nie padły żadne konkrety. Jaki film, jakie kino, kiedy, kto kupi bilety... Tak więc, nie byli umówieni?!

Trzeba to sobie uświadomić i pretensje zamienić na serdeczny uśmiech. Pozwólmy człowiekowi mieć rację – inną rację od swojej! Jak w tej opowieści o rabinie:

Przychodzi do rabina Icek i zaczyna narzekać na swą żonę Salcie. Rabin wysłuchał, pokiwał głową i rzekł:

– Nu, ty, Icek, masz rację, masz rację!

Icek wyszedł bardzo zadowolony. Za godzinę przychodzi Salcie i narzeka na Icka. Rabin znów wysłuchał, pokiwał ze zrozumieniem głową i rzekł:

– Nu, ty, Salcie, masz rację, masz rację!

Salcie wyszła zachwycona. Ale z drugiej izby wchodzi żona rabina, która podsłuchiwała obie rozmowy i mówi z wyrzutem:

– Nu, jak ty możesz tak mówić, i jemu, i jej, że oboje mają rację! Tak nie może być!

Rabin odparł żonie:

– Nu, ty, masz rację, masz rację...

Mamy prawo mieć zupełnie inne racje. Uznanie tego wcale nie jest proste. Owszem, o sprawy wielkiej wagi warto się spierać – na przykład o wychowanie dzieci. Ale w sprawach mniej ważnych dobrze jest odpuścić.

PODSTAWOWE BŁĘDY NADAWCY I MOŻLIWE BŁĘDY PO STRONIE ODBIORU

Mamy więc łańcuch komunikacyjny: intencja – przekaz – odbiór – interpretacja. I na każdym z tych „ogniwi łańcucha” można popełniać błędy. Jaki błąd może popełnić nadawca już na samym początku? Zacząć nadawać komunikat, nie

wiedząc, o co mu tak naprawdę chodzi. Tutaj często błąd popełnia kobieta: zaczyna mówić, chcąc wyrzucić z siebie emocje, przeżycia. Musi sobie ponarzekać, pogderać, bo w takim jest nastroju. Mąż tymczasem jest często przekonany, że żona rozpoczyna rozmowę i w związku z tym oczekuje jakiejś odpowiedzi – próbuje więc odpowiadać. Drogie panie, zapominacie, że to naprawdę nie jest takie proste dla panów rozemnić, kiedy należy odpowiedzieć, a kiedy nie. Kiedy „musisz” sobie ponarzekać, a kiedy naprawdę chcesz rozmawiać. Jeśli rzeczywiście wchodzić w rozmowę, najpierw ustalcie, co chcecie załatwić. O czym chcecie rozmawiać, co załatwić. W tym celu należy wcześniej precyzyjnie uświadomić sobie naszą intencję, o co nam chodzi.

Istnieje taka męska pokusa: skoro jestem lepszym nadawcą, to w chwili, gdy żona będzie się plątać w zeznaniach, próbując wyjaśnić, o co jej chodzi, ja będę mógł nad nią górować:

– No niby chcesz rozmawiać, a nie możesz wydukać, o co tak naprawdę ci chodzi. (W domyśle: jesteś głupia.)

Ale ten tryumf ma bardzo krótkie nogi, już za moment to zemści się na mężczyźnie – bo na poziomie interpretacji nie zrozumie prostych rzeczy i usłyszy:

– Tobie to można tłumaczyć jak krowie na rowie i tak do ciebie nie dotrze. Po prostu jesteś niekumaty!

A jak się dobrze podpali, to doda:

– Ty nieczuły, gruboskórny gburze!!! – i po tym komunikacie długo on nie usłyszy już nic. Nastąpią ciche dni. Nie na tym powinna polegać dobra komunikacja.

Jest jednak jeszcze drugi, znacznie gorszy błąd na poziomie intencji – to zwykle jest pokusą kobiet, choć i panom się zdarza. Chodzi o myślenie typu: a nie powiem, niech się

domyśli, o co mi chodzi! Nie! Dopóki nie jestem zdolny, by szczerze, czytelnie, do końca wypowiedzieć swoją intencję, nie jestem gotowy do żadnej rozmowy.

Drugi poziom („ogniwo łańcucha”) to przekaz. Tutaj błędów komunikacyjnych może być bez liku. Na przykład, można mówić za cicho. Rozmówca może zwyczajnie nie usłyszeć. Dziś ludzi niedosłyszących jest coraz więcej, ponieważ żyjemy w potwornym hałasie, a jeszcze go sobie sami potęgujemy słuchawkami na uszach. Są to już tak powszechne sytuacje, że warto je tutaj omówić. Często osoba niedosłysząca boi się wejść w rozmowę, żeby się nie wydało, że słabo słyszy. Zasłania się zatem w towarzystwie gazetą, na przykład. Albo inna technika, przeciwna: dusza towarzystwa. Mówi, mówi, mówi, zazwyczaj bardzo głośno – a gdy ktoś otwiera usta, ona przeskakuje na innego odbiorcę i znów mówi, mówi, mówi... Na wszelki wypadek ma też w zanadru powiedzenia-wytrychy, które pasują do wszystkiego:

– No właśnie!

Lub:

– Oj, tak bywa! – i chodu, do następnej osoby! Całkowity brak możliwości nawiązania dialogu i potworny dyskomfort dla obu stron.

Dobra znajoma, świetna psycholog o wieloletnim stażu, opowiadała mi kiedyś pewną historię. Otóż, pojechała na światowy kongres psychologów do USA. Sądziła, że nic jej już tam nie zaskoczy, po tylu latach praktyki. I została porażona, jak sama opowiadała. Mianowicie, na jeden z wykładów tak zwanych plenarnych wyszedł amerykański profesor światowej sławy. (Znała go z publikacji pisanych.) Wyszedł, zaczął mówić i pierwsze, co powiedział, brzmiało:

– Prze-e-praszam pa-a-ństwa, ale ja się tro-o-chę za-a-cinam.

Po czym wygłosił swój re-e-ferat. I ta moja znajoma opowiadała, że wówczas przeżyła olśnienie: gdyby on tego pierwszego zda-a-nia nie po-o-wiedziało, wówczas przy każdym jego ko-o-lejnym zda-a-niu cała sala napinałaby mięśnie, starając się mimowolnie mu pomóc. On to ujawnił i problem automatycznie znikł. Ujawnienie takiej ułomności komunikacyjnej w życzliwym gronie pomaga. Likwiduje dyskomfort. Powiedzenie w towarzystwie: „Mówcie do mnie dużymi literami, bo ja słabo słyszę” – wśród przyjaźnie usposobionych osób likwiduje trudność.

Może być zatem przekaz zbyt cichy. Może też być przekaz niewyraźnie wyartykułowany. Albo przekaz zawiły. Są tacy mówcy, którzy specjalizują się w mowie kwiecistej. Rodzi się wtedy w odbiorcy chęć złośliwego skomentowania:

– Och, mówił pan tak pięknie, tyle tych sentencji w językach obcych, takie kunsztowne sformułowania, pięknie pan to powiedział... A mógłby pan powiedzieć, o czym...?

Mówmy tak, żebyśmy byli zrozumiani. Mówienie prostym językiem nie oznacza prostactwa. Przeciwnie, świadczy to o wielkiej klasie i wielkim formacie mówcy, jeśli potrafi prosto powiedzieć rzeczy trudne. Są profesorowie, którzy celowo komplikują wypowiedzane treści, aby wydać się mądrzejszymi w oczach swoich studentów. A są też nauczyciele, którzy mówią uczniom:

– Zobaczcie, jakie to proste, jakie logiczne, jakie piękne!

Jak już pisałem, bardzo dużym błędem, wynikającym oczywiście z wewnętrznego nastawienia nadawcy, jest sytuacja, w której przekaz słowny jest sprzeczny z przekazem pozasłownym. Powoduje to totalne zaburzenie przebiegu komunikacji.

Swego czasu była taka reklama piwa „bezalkoholowego”. Bilbord wielki napis „piwo bezalkoholowe” i na ekranie wielkie, figlarnie przymrużone oko. Celowa, zamierzona sprzeczność w przekazie słownym i pozasłownym. Wszyscy wiedzieli, o jakie piwo chodzi.

Ilustruje to anegdotka: sąd nakazał panu Nowakowi przeprosić pana Kowalskiego. Spreczyzował następującą formułę przeprosin: „Panie Kowalski, pan jest porządnym człowiekiem, ja naprawdę bardzo pana przepraszam”. Przyszedł pan Nowak do domu pana Kowalskiego ze świadkiem i powiedział dokładnie to, co sąd mu nakazał – z ironią i kpina w głosie:

– Panie Kowalski! Pan jest porządnym człowiekiem?! Ja naprawdę BARDZO pana przepraszam!

Właściwie wszystkie te błędy przekazu można przełożyć na błędy odbioru. Ktoś powiedział za cicho – ktoś nie dosłyszał; ktoś powiedział niewyraźnie – ktoś się przesłyszał i tak dalej. Zastanówmy się jeszcze nad przypadkiem komunikatu nadanego celowo sprzecznie. Właściwie w takim przypadku odbiorca nie ma możliwości dokonać prawidłowej interpretacji przekazu nadanego przez nadawcę. Weźmy popularny przykład z życia małżeńskiego:

Mąż, widząc popłakującą żonę, pyta:

- Kochanie, co się stało?
- (cierpko) Nic!

I co teraz ten mąż ma zrobić? Każda interpretacja jest błędna. Jeśli bowiem zareaguje na przekaz słowny – nie odpowie, tylko spokojnie wróci do swoich zajęć (no bo przecież nie stało się nic). Żona będzie oburzona, bo jak on mógł nie zauważyć?! Ale jeśli mąż zacznie drażnić temat, usłyszy (być może już z krzykiem):

– No przecież mówię, że NIC!!!

Ona może się zadręczać w swojej biedzie i rozżaleniu. (Jak on mógł tak się zachować? On mnie w ogóle nie rozumie! On mnie wcale nie kocha!) Jednak tak naprawdę to ona stworzyła sytuację dla niego bez wyjścia. On nie mógł się „dobrze” zachować, nie miał takiej opcji. W złym nastroju każde jego zachowanie będzie zinterpretowane na jego niekorzyść.

Warto jeszcze wspomnieć o błędach na poziomie interpretacji. Pierwszy to interpretacja pochopna:

– Dobrze, dobrze, już możesz nie kończyć. Już dobrze wiem, co chciałeś powiedzieć.

(Powie tak żona w złym humorze, z góry przypisując mężowi niedobre intencje.) Oczywiście to całkowicie uniemożliwia dogadanie się. Drugi błąd to interpretacja niezyczliwa. Żona się nieszczęśliwie przejęczyła. A mąż na to:

– No właśnie, taka jesteś. Powtórz, co powiedziałaś. Chyba się nie wyprzesz? Tak, wyszło z ciebie, co naprawdę myślisz! Szkoda, że cię nie nagrałem. Puszczal bym ci codziennie rano, żebyś wreszcie zobaczyła, jaka naprawdę jesteś...

Ona, bidula, po prostu tylko się przejęczyła. (A teraz ma ochotę męża udusić gołymi rękami!)

Mówiąc o interpretacji, warto dodać, że ona jest zawsze subiektywna. Co gorsza, każdy z rozmowy czy wykładu zapamiętuje to, co jest dla niego wygodniejsze – zwłaszcza, jeśli wykład jest dłuższy. Dlatego całkowicie pozbawione sensu jest kłócenie się o interpretację danego faktu, zwłaszcza jeśli miał on miejsce jakiś czas temu. Małżeństwa latami potrafią się kłócić:

– Nieprawda, to było tak!

– A właśnie, że nie, bo tak!

Oboje mówią prawdę o tym, co zapamiętali i jaka była ich interpretacja wydarzenia. Kłótnia jest bezzasadna. Oboje mają rację. Każdy swoją!

Jeszcze jeden kawał, dobrze obrazujący różnice w interpretacji tego samego zdarzenia w umysłach uczestników. Jeden z serii krzepiących duch w uciemionym Narodzie. Rzecz dzieje się w czasie wojny. W pociągu, w jednym przedziale, jadą Polak i Niemiec oraz matka z piękną, osiemnastoletnią córką. Oczywiście Polak młody, przystojny, odważny, partyzant, patriota – wszystko, co najlepsze. Niemiec głupi, pokraczny, brzydki, formacja SS, krew na rękach – słowem wszystko, co najgorsze. Pociąg wjeżdża w tunel i robi się kompletnie ciemno. Naraz wszyscy w tych ciemnościach słyszą to samo: cmoknięcie pocałunku i plask uderzenia gołą dłonią w policzek. Wszyscy słyszeli ten sam przekaz. Teraz interpretacje:

Matka myśli z zadowoleniem:

– Dobrze wychowałam córkę!

Córka myśli:

– No, pewnie któryś się pomylił – ale trzeba przyznać, że mamuśka ma klasę!

Niemiec myśli:

– Pewnie ten świnia, Polak, dobierał się do młodej, a mnie się dostało!

A Polak myśli:

– Żeby tak jeszcze jeden tunel – znowu się cmoknę w rękę i dam szkopowi w pysk!

Zauważmy, że wszystkie interpretacje były realne i logiczne. Wniosek: nie kłóćmy się o interpretację. Dziwny się, ale nie kłóćmy. Rozważajmy to, bo to jest niesamowite, że to samo wydarzenie można tak różnie odebrać – te same słowa,

gesty – zachwycajmy się naszą odmiennością, różnorodnością, bogactwem przeżyć i doświadczeń, ale się o to nie kłóćmy. Prześtańmy narzucać innym swoją (jedynie słuszną) interpretację wszystkiego, co się wokół nas dzieje. Małżeństwa, które się tym przejmą i do tego zastosują – a potem jeszcze przestaną się spierać o przeszłość – tracą 99% powodów do kłótni.

Aby zebrać zasady dobrej komunikacji w pigułkę, posłużę się, paradoksalnie, językiem obcym. Zauważmy, jak postępujemy, próbując porozumieć się z kimś w języku, który słabo znamy? Mówimy wolno i wyraźnie, pomagamy sobie gestami, jak mówimy „korba” to kręcimy ręką, co chwilę upewniamy się, czy dobrze zrozumieliśmy – i, o dziwo, idzie nam świetnie! Żadnych dygresji, zabaw słownych. Zmierzamy prosto do celu. Mało tego, co chwilę pytamy:

– Czy ja dobrze zrozumiałem? Czy ja zostałem dobrze zrozumiany? (Wymuszamy informację zwrotną w obie strony.)

I dogadujemy się niezwykle precyzyjnie. Dlaczego? Bo, nie będąc pewnymi swoich umiejętności, baliśmy się, że się nie dogadamy.

No to prosta rada dla małżonków (i nie tylko). Rozmawiając w języku ojczystym, który doskonale znamy, bójmy się konstruktywnie oboje, że się nie dogadamy. Żeby nie chcąc nie przypisał małżonkowi złej intencji. Żeby nie skrzywdził błędną lub nieżyczliwą interpretacją. Żeby nie powiedział czegoś, co będzie źle odebrane... Bójmy się, żebyśmy drugiego nie zranili i nie wprowadzili w błąd. Do tego trzeba życzliwości, troski o drugiego i... pokory. Niestety, rozmawiając w języku naszym, ojczystym lub takim, który bardzo dobrze znamy, mówimy byle jak, niechlujnie. Potem wychodzi to w postaci nieporozumień komunikacyjnych. Upewniamy się zatem:

– Czy na pewno o to ci chodziło, czy dobrze cię zrozumiałem?

Jeśli włączymy w to wszystko szczerą życzliwość, nagle okaże się, że będziemy się dobrze dogadywali nawet na bardzo subtelne, intymne i trudne tematy.

W przypadku rozmów małżeńskich dodatkową trudność stanowi specyfika inności konstrukcji psychicznej kobiety i mężczyzny. Inaczej patrzymy na świat, co innego przykuwa nasza uwagę itd... Podam dobrze ilustrujący to przykład. Zdarzył się wypadek samochodowy. Rozbite dwa auta, nowy Mercedes i sportowe BMW. Sanitariusz opatruje rękę rannego dziecka. Większość mężczyzn w takiej sytuacji zauważy i zapamięta, jakie „fury” się zderzyły. Pewnie trudno by było znaleźć kobietę, która by zapamiętała marki aut a nie zauważyła rannego dziecka. I nie znaczy to, że on jest bezduszny a ona nierozgarnięta. Po prostu patrzymy inaczej i zapamiętujemy co innego. Mężczyzna jest bardziej ukierunkowany na materyę, kobieta na drugiego człowieka.

Zdarzenie z życia. Zima. Siedzę w męskim gronie (wesele), jeden z panów opowiada historię:

– Słuchajcie, na Rolnej (ulica główna zakręca tam pod kątem prostym) facet nie wyrobił na zakręcie (musiał jechać stową), wyleciał na chodnik, ściął stalową rurę znaku drogowego (jak nożem odciął przy samej ziemi), zabił jakąś kobietę i kompletnie skasował zaparkowanego na chodniku nowiutkiego Mercedesa. Co za wariat postawił takie drogie auto w zimie na zakręcie drogi!

W całej opowieści zabita kobieta była najmniej interesującym elementem. Patrząc po pozostałych panach – żadnej reakcji na zabita kobietę. Czy byli to sami zwyrodnialcy? Nie,

zwykli, przeciętni mężczyźni. Ścięty znak, skasowany Mercedes były bardziej poruszające. Choć smutnym faktem jest to, że ludzie przez filmy, Internet, gry komputerowe są coraz bardziej oswajani ze śmiercią. „Efektowna” śmierć staje się główną atrakcją wielu filmów i gier. Psychiczne prawo znużenia mówi, że te same bodźce, powtarzane, dają coraz słabszą reakcję. Ludzie „oswajają się” ze śmiercią. (Cudzą, bo o swojej nie chcą myśleć, odrzucają wiarę w Boga i wieczność i... udają, że nigdy nie umrą. Mało to godne istoty rozumnej.)

ROZMOWA W GNIEWIE

Powróćmy do zasad dobrej komunikacji. Wiemy już zatem, jakie są podstawowe zasady komunikacji. Czego jeszcze unikać? Przede wszystkim, mówienia w gniewie. To uwaga zwłaszcza do mężczyzn, dążenie do rozmowy w gniewie to męska domena. Właśnie wtedy, gdy jesteśmy wkurzeni, zbiera nam się na rozmowę i chcemy „rozwiązywać” problemy małżeńskie. Weźmy przykład: chłopak i dziewczyna pokłócili się o coś. On kipi gniewem, ona płacze. On krzyczy:

– Porozmawiajmy!

Ona przez łzy:

– Nie teraz...

– TERAZ. Prawda nas wyzwoli!!!

Jemu, oczywiście, nie o prawdę w tym momencie chodzi. On chce walczyć i... wygrać. Jemu chodzi o udowodnienie jej winy. I udowdnia! Ona oczywiście to widzi, nie jest głupia – ale nie umie się przed jego atakami obronić. Cokolwiek powie, on natychmiast obraca jako „materiał dowodowy”

przeciwko niej. Ona więc w końcu milknie – a on wyciąga wniosek końcowy:

– A widzisz?! Nic nie mówisz! Przyznajesz się do winy!

Wtedy ona, za karę, milknie na dwa tygodnie. Efekt jest negatywny dla obu stron. Ona czuje się stłamszona i zdolowana. Może rzeczywiście jest wszystkiemu winna? Jest do niczego. On z kolei dochodzi do przekonania, że rzeczywiście wszystko jest jej winą. A on jest biednym, świętym męczennikiem. Niektórzy faceci robią tak całe życie. On zawsze musi wygrać. Czy to pogłębia komunie? Jeżeli po takiej rozmowie ona płacze i nie chce się jej żyć, bo uwierzyła, że jest do niczego, ponieważ on jej logicznie udowodnił, że jest winna wszelkiemu złu, to czy może to rodzić komunie? Czy przekonanie o swojej nieskazitelnej niewinności mobilizuje go do pracy nad sobą, do wzrostu? My, mężczyźni, jesteśmy bytami walki. I, niestety, kobiety z tego powodu nierzadko bardzo cierpią. Bywa, że w gniewie mąż powie żonie:

– Nigdy cię nie kochałem, ożeniłem się z tobą z litości!

To oczywiście jest nieprawda. On powie tak, żeby bolało, żeby jej dowalić, po prostu. Ale ona to będzie to pamiętać może do końca życia. Przez następne dwadzieścia lat będzie mu przypominać:

– Tak, raz jak się wściekłeś, to wtedy dopiero byłeś szczerzy...

Często w poradni próbuję nakłaniać panie, aby do takich słów, rzuconych w gniewie, próbowały nie przywiązywać zbytnej wagi. By nie skupiały się nadmiernie na ich treści, nie analizowały, nie rozpamiętywały ich. Oszczędziłyby to sporo niepotrzebnego bólu, ale nie jest to łatwe. Mąż powiedział to nie dlatego, że tak myśli, ale po to, żeby bolało. On był tak wściekły, że chciał, żeby bolało.

Próbujmy nie rozmawiać w gniewie, bo to po prostu nie ma sensu. Nie dość, że w gniewie nie mamy szans osiągnąć porozumienia, to jeszcze rzucamy słowa, które bardzo ranią. Wywlekamy w tym celu najboleśniejsze rzeczy z przeszłości. Co jednak z tym zrobić? Spróbować nie dopuścić do rozmów toczonych w gniewie.

Małżeństwo naszych przyjaciół (oboje bardzo „energiczni”) w na starcie małżeństwa bardzo raniło się takimi rozmowami. Później bardzo wstydziło się tego, co sobie w gniewie powiedzieli. Poradzili sobie. Po latach opowiedzieli w formie świadectwa przed kilkusetosobową grupą młodzieży swój sposób. Mianowicie, oboje noszą na palcach obrączki z dziesiątką różańca. W chwili, gdy widzą, że rozmowa wchodzi na niebezpieczne tory, każde z nich może rzucić hasło:

– Kółko!

W ich „narzecz” oznaczało to: „Stop! Rozchodzimy się do osobnych pokojów i odmawiamy dziesiątkę różańca, w intencji współmałżonka!”. Po czym szli do osobnych pokojów, padali na kolana, odmawiali tę zadaną dziesiątkę. W ich wypadku to wystarczało. Złe emocje zostały opanowane. Ten wprowadzony przez nich system zadziałał, ponieważ ustalili go i zaakceptowali wspólnie. Są wspaniałym małżeństwem. Można kupić ten sposób lub wprowadzić swoje, prywatne metody na to, by nie dopuszczać do rozmów w gniewie. Problem jest trudny, ale warty wysiłku. Niektórzy muszą przespać noc, żeby móc spokojnie porozmawiać na jakiś temat. Są różne metody. Ważne, żeby przeczekać pierwszy gniew, ochłonąć. Ludzie czasem tak mocno się kłócą, że po godzinie awantury nie potrafią już powiedzieć, o co. Już sama niezyczliwość może zabić każdą rozmowę.

Na przykład, niezyczliwe domyślanie się jakiejś złej intencji w przekazie rozmówcy. Jeśli się domyślamy, domyślajmy się życzliwie samego dobra.

Następną zasadą konieczną, aby komunikacja przebiegła prawidłowo, jest to, aby starać się nie używać tak zwanych kwantyfikatorów dużych. Słów typu: zawsze, nigdy, wcale, w ogóle. Oczywiście, żyjemy w realiach, gdy zło jest tak przemożne, tak hałaśliwe i tak wyolbrzymiane, iż łatwo jest uogólniać, że wszystko, w ogóle jest... do kitu. Weźmy prosty, szkolny przykład na przemożny wpływ zła. Jest zapowiedziany sprawdzian, powiedzmy, z matematyki. Jeden przewodnyr (zazwyczaj nieuk) krzyczy:

– Wiara! Wiejemy z lekcji! – i cała trzydziestoosobowa klasa idzie na wagary. W normalnej sytuacji tych dwadzieścioro dziewięcioro pozostałych dzieci by nie uciekło, ale każdy myśli, że nie pójdzie jako jedyny. Później, gdy sprawa już się wyda, w domach te dzieci tłumaczą swoim rodzicom:

– Mamo, tato, ja musiałem uciec, bo szli WSZYSCY!

Częstym błędem jest więc mówienie:

– Bo ty zawsze...

– A ty nigdy...

Te uogólnienia, które są z gruntu niesprawiedliwe, mają do tego moc sądenia. Natura ludzka jest tak skonstruowana, że kiedy jesteśmy karani słusznie, za coś, co rzeczywiście uczyniliśmy, zwykle kładziemy uszy po sobie. Ale niech no ukarzą nas za coś, czego nie zrobiliśmy! Natychmiast rodzi się bunt! Startujemy do walki!

Dajmy na to, małżonka ma taki szczególny urok, że notorycznie się spóźnia. Ale jeśli raz będzie zmiana czasu z letniego na zimowy, a ona zapomni sobie przestawić zegarek

i przyjdzie pół godziny przed „zamiast” półgodziny po czasie. Wówczas powiedzenie jej męża:

– Bo ty się ZAWSZE spóźniasz! – jest nieprawdziwe i krzywdzące, bo przecież ten jeden raz się nie spóźniła. W jej sercu pojawi się bunt i poczucie skrzywdzenia. To nieprawda!

Kolejny błąd. Użycie formy:

– Bo ty jesteś taki a taki... – to też jest osądzenie.

Można w ten sposób wprowadzić współmałżonka (i każdego człowieka w ogóle) w stan poczucia winy, wielkiego przygnębienia a nawet depresji. Zupełnie inną sprawą jest krytyka czyjegós zachowania, a inną podsumowująca krytyczna ocena osoby. Najlepiej jest zawsze używać pierwszej osoby liczby pojedynczej:

– Ja tak to widzę, mnie tak to boli, trudno mi to zaakceptować...

Weźmy przykład: pokłóciłem się z żoną, nakrzyczałem, narobiłem rzeczy strasznych. Wieczorem, po wspólnej modlitwie, uspokojony, wyciszony, powiem słodkim, czułym, przymilnym głosem:

– Widzisz, kochanie, i ZNOWU, JAK ZAWSZE zrobiłaś mi na złość!

No przecież każdy wyczuje dysonans. Czyli tak naprawdę jakbym jej powiedział:

– Jesteś złośliwą, wredną małpą. Masz złe intencje i... mój osąd jest nieomylny. Tak po prostu jest! A teraz porozmawiajmy.

Czujemy wszyscy, że nie jest to fortunne zaczęcie rozmowy. Stawiam się w roli Boga, nieomylnego, wszechwiedzącego i mającego moc, aby sądzić. I z tej pozycji próbuję „zyczliwie” rozmawiać.

A powinienem powiedzieć, spokojnie, choć niekoniecznie słodko:

– Słuchaj, nie wiem, co się dzisiaj stało, ale kiedy to powiedziałaś, gdy to zrobiłaś, to się tak wściekłem, ogarnęła mnie taka furia... Nie wiem, czy mi to z dzieciństwa zostało, czy na starość przyszło, ale ja tak się wściekłem, że sobie pomyślałem, że ty mi na złość robisz.

I co? Nic, ja jej nie tykam. Najwyżej wyjdę na przewrażliwionego głupka, ale ja mówię tylko o swoim odbiorze. I to jest właściwy punkt wyjścia do rozmowy. I zawsze możemy powiedzieć, że czegoś nie rozumiemy, nie akceptujemy, że coś nas denerwuje lub boli. Z dwóch powodów to bardzo ważne. Po pierwsze, mówimy prawdę, której nie da się zanegować. Jeśli powiem, że coś mnie zabolowało, nikt nie może mi zarzucić, że nie. Po drugie, to daje szansę rozmówcy – bo może nie wiedział, że to zabolowało, a teraz już wie. Tak więc nie osądzajmy innych, bo to zamyka drogę do kontaktu. Rozmówca osądzony czuje się zaatakowany, (zresztą słusznie) i zazwyczaj... oddaje cios.

Przykład z dziedziny zawodowej. Mianowicie, do zakładu przychodzi nowy, młody dyrektor. Oczywiście, ukończył stosowne szkoły, ale nie ma jeszcze doświadczenia w praktyce. Na starcie podejmuje liczne, radykalne decyzje. Trochę delektując się otrzymanym zakresem władzy, trochę by się popisać. W zakładzie pracuje prosty robotnik, Jan Kowalski, bez żadnych szkół. Zatrudniony do prac pomocniczych, porządkowych, który pracuje tam już od czterdziestu lat. I ten Jan Kowalski może pójść do nowego dyrektora i wypalić mu:

– Panie dyrektorze, pan chyba zwariował. To są głupie decyzje, tak się nie robi!

Co zrobi dyrektor? W zasadzie nie ma wyjścia. Wyrzuci Kowalskiego na bruk, po czterdziestu latach pracy. Czemu? Bo troska o swój autorytet nie pozwoli mu postąpić inaczej. Ale może być tak, że ten sam Jan Kowalski w naturalnej, zdroworozsądkowej mądrości prostego człowieka (prości, niewykształceni ludzie, np. górale, bywają często naprawdę genialni, choć „wykształcone inteligenty” traktują ich nierzadko z pogardą) powie to samo inaczej:

– Panie dyrektorze, ja to jestem prosty robot, ale ja tu robię już czterdzieści lat. I mi się tak widzi, że to nie będzie dobrze.

Po takim tekście dyrektor byłby skończonym idiotą, gdyby nie skorzystał z doświadczenia pana Jana Kowalskiego. Taka forma wypowiedzi pozwala dyrektorowi bez oporu skorzystać z wieloletniego doświadczenia pracownika. Forma wypowiedzi była możliwa do przyjęcia nawet z majestatu jego dyrektorskiej władzy. Co więcej, Jan Kowalski może zyskać w oczach dyrektora. Zobaczmy, jak wiele zależy od tej pozornie błahej sprawy: zewnętrznej, gramatycznej formy wypowiedzi.

OBECNOŚĆ OSÓB POSTRONNYCH

Nie wolno pod żadnym pozorem podejmować poważnych małżeńskich rozmów w obecności osób trzecich. Nie wolno nawet w takich rozmowach uczestniczyć. Jeśli jakieś małżeństwo przy was zaczyna wywlekać i opisywać swoje wzajemne winy, koniecznie to przerwijcie. Jasno określcie, że nie chcecie w tym brać udziału. Jeśli oni nadal wypominają sobie żale i pretensje, poproście, żeby przestali, albo w ostateczności wstańcie, przeproście i wyjdźcie. Dla ich obopólnego dobra. Rany

zadane publicznie goją się dużo dłużej i trudniej. Nie wolno, mówiąc potocznie, prać brudów publicznie. Niedopuszczalna jest sytuacja – wcale nie taka znowu rzadka – gdy na imieniach u cioci, przy rodzinnym stole, mąż nagle mówi:

– Posłuchajcie teraz, co moja kochana żoneczka wywinęła ostatnio i sami osądźcie!

A kiedy wszyscy członkowie rodziny skwapliwie nadstawiają uszu, żona mówi:

– Tak? No to teraz posłuchajcie, jak on się pięknie zachował dwa dni wcześniej!

Nie załatwiamy swoich spraw przy osobach trzecich. Z jednym wyjątkiem: jeśli oboje zgadzają się pójść poradzić do kogoś mądrego, komu oboje ufają i przedstawić mu swój problem, wtedy można. Ale musi to być obopólnie zaakceptowana osoba. W przypadku, gdy małżonkowie są wzajemnie już tak poranieni, że nie są w stanie ze sobą rozmawiać, jest nawet bardzo wskazane poproszenie o pośrednictwo kogoś kompetentnego i zaufanego jednocześnie.

Można zresztą na różne sposoby szukać ratunku dla małżeństwa w kryzysie. Istnieje, na przykład, znakomita forma rekolekcji pt. „Spotkania małżeńskie” (www.spotkaniamalzenskie.pl). Nie wolno mi tutaj zdradzić, na czym formuła tych rekolekcji polega, ale jest to znakomicie zorganizowany dialog pomiędzy małżonkami, którzy... nie potrafią rozmawiać. Osoby moderujące (zwykle dwa małżeństwa) jedynie wprowadzają w dany temat, ale dialog toczy się wyłącznie między małżonkami. Wszystko rozgrywa się tylko pomiędzy nimi. Ani moderator ani posługujący w rekolekcjach kapłan nie mają dostępu nawet do jednego słowa z rozmowy małżonków. Rozmowa jest tak zorganizowana, że nikt nikomu nie jest w stanie przerwać (nawet jakby chciał),

podnieść głosu, zrobić głupiej miny czy nie wysłuchać do końca. I dzieją się autentyczne cuda. Zdarza się, że to są pierwsze spokojne, konstruktywne rozmowy między mężem i żoną od kilkudziesięciu lat. Często padają z ich ust słowa typu: „Tyle lat żyliśmy razem, a dopiero teraz dowiadujemy się o sobie tak podstawowych rzeczy!”. Jeśli więc nie dajemy sami rady, możemy skorzystać z takiej sprawdzonej, profesjonalnej formy pomocy.

Można też, jak wspomniałem, skorzystać z obecności neutralnej osoby, zaakceptowanej przez obie strony. Zdarza się, że przychodzą do mnie takie pary. Moja rola polega na byciu przy nich i dla nich – ale to mąż i żona są stronami mówiącymi do siebie wzajemnie. Taką rolę może też pełnić kapłan, do którego obie strony mają zaufanie. Przestrzegam natomiast przed korzystaniem z pomocy nieznanego, pierwszego lepszego psychologa lub psychoterapeuty, do którego idziemy ot, tak, z ulicy. W moim doświadczeniu wielokrotnie, musiałem „reanimować” – czasem, Bogu dzięki, z powodzeniem – małżeństwa poranione przez „pomoc” psychologa czy psychoterapeuty. Zdarza się, że na pierwszym spotkaniu doradca na kłopoty małżeńskie podpowiada... rozwód. Na problemy w sferze płciowości... zmianę partnera. Itd. Zdarza się również, niestety, że specjaliści ulegają pokusie szufladkowania pacjentów, dopasowywania ich do schematów, których się nauczyli. Nie mówię oczywiście, że wszyscy – wielu z nich jest rzeczywiście nieocenioną pomocą i wsparciem – jednak zbyt wielu wykazuje tu brak kompetencji, nie mówiąc o postawie moralnej, aby ryzykować pójście do nieznanego „specjalisty z ogłoszenia”. Jeśli chce się skorzystać z pomocy psychologicznej, to trzeba szukać osoby kompetentnej i pewnej moralnie. Najlepiej funkcjonującej w ośrodkach przykościelnych, ponieważ ci są (zazwyczaj) wiarygodni. Osobiście uważam (choć

zabrzmi to nieprofesjonalnie), że osoba wierząca powinna korzystać z wierzącego specjalisty. Słowem, korzystanie z pomocy takich specjalistów jak psycholog, terapeuta, mediator jest zbyt poważną sprawą, by powierzać swój los osobie przypadkowej, nie sprawdzonej na wszelkie możliwe sposoby.

Taką osobą może być zaufany kapłan, a nawet też wspólny spowiednik męża i żony. My z żoną przez wiele lat mieliśmy wspólnego spowiednika i przewodnika duchowego. Spowiadaliśmy się, rzecz jasna, osobno, bo oczywiście spowiedź i przewodnictwo duchowe są zawsze indywidualne. Jednak niejednokrotnie rozmawialiśmy wspólnie. Bez wątpienia to jest dla tego kapłana duża trudność. Wielu kapłanów absolutnie się nie zgadza być jednocześnie przewodnikiem duchowym męża i żony. Jest to w pełni zrozumiałe i trzeba to uszanować. Myślę, że potrzebuje on specjalnej łaski, aby oddzielić treści słyszane od obu stron na spowiedzi od tych, które padają podczas wspólnych rozmów. Jest to jakaś niepojęta dla mnie, nadprzyrodzona łaska od Boga – i dowód, że nie wszystko człowiek może objąć rozumem, a mimo to jest to możliwe. Widać zatem, że ten wątek skorzystania z ewentualnej fachowej porady kogoś trzeciego odsłania wiele ukrytych, powiązanych ze sobą wzajemnie, często bardzo złożonych problemów. Lecz korzyści z takiej pomocy mogą być naprawdę nieocenione.

CZAS TO MIŁOŚĆ

Bardzo ważne jest, aby ustalić zasady poprawnej komunikacji. Można ich opisywać wiele, ale tu wymienimy tylko niektóre. Po pierwsze, trzeba zadbać by komunikat dotarł do odbiorcy.

Pamiętam obejrany przed laty włoski film. Główna bohaterka, nie będąc w stanie wypowiedzieć wprost swemu ukochanemu bardzo bolesnych dla niej zranień z przeszłości, napisała wszystko w liście. W liście było wyznanie wszystkich najboleśniejszych grzechów. Pamiętam taką scenę: ona skrada się nocą pod drzwi jego pokoju hotelowego i wsuwa ten list w szparę pod drzwiami. W tym momencie druga kamera od wewnątrz pokoju pokazuje, że list wsuwa się... pod dywan. Następnego dnia ona w napięciu czekała na jego reakcję – od tej reakcji miała zależeć ich dalsza relacja. On nie zareagował w żaden sposób... Nie wiedziała, że list nie dotarł do adresata. On nigdy tego listu nie przeczytał. Zniszczona relacja?! Czyja wina? Nie potrzeba często niczyjej winy, żeby komunikacja się nie udała – czasem wystarczą niekorzystne warunki zewnętrzne a nawet zwykły przypadek.

Ważna jest sama organizacja miejsca rozmowy. Nie jest to obojętne.

Podczas rozmowy wyłączmy telefon. Nasza małżeńska rozmowa jest ważniejsza od kogokolwiek, kto mógłby w tym czasie zadzwonić. Telewizor i radio też powinny być wyłączone. Nawet kojąca muzyka poważna (o ile przeszkadza mężowi w koncentracji) również. On jak rozmawia, to rozmawia – a nie słucha muzyki. A jeśli jeszcze piosenka ma słowa, to już koniec. Będzie się przełączał: raz piosenka, raz żona – i szum powstanie informacyjny, zaburzający przebieg rozmowy.

Trzeba też dobrze wybrać miejsce i czas, które sprzyjają rozmowie. Dajmy sobie w rozmowie czas. Na przykład: nie na pięć minut przed meczem. Jeżeli żona zaprasza męża na rozmowę, a on mówi:

– Dobra, tylko szybciotko, bo za pięć minut mecz – to albo podarujemy sobie mecz, albo rozmowę.

W naszym małżeństwie najlepszym czasem okazywał się wieczór – w najgorszym razie, gdyby się przedłużyło, zarwiemy po prostu kawałek nocy. Siadamy do tych rozmów zawsze przy stole, nie prowadzimy ich leżąc w łóżku. Ile małżeństw poraniło się przez to, że czas na poważne rozmowy dawali sobie w łóżku, przed snem – i wyglądało to tak, że żona otworzyła serce przed mężem, wylała wszystko, lecz... nie otrzymała żadnej odpowiedzi, żadnej reakcji, ponieważ mąż, najzwyczajniej w świecie, zasnął! Ona została z poczuciem zlekceważenia – a on nie zrobił tego przecież celowo, po prostu był zmęczony. A zatem rozmowa przy stole. I jeśli, na przykład, przy herbacie, to niech herbata będzie pod ręką. Żeby nie było tak, że w chwili, gdy mąż właśnie mówi coś ważnego, żona wstaje, żeby zaparzyć. Jest groźba, że on odbierze to jako lekceważenie.

Jest takie piękne i głębokie powiedzenie prymasa kard. Stefana Wyszyńskiego (beatyfikacja 7.06.2020): „Ludzie mówią, że czas to pieniądz. A ja wam mówię, że czas to miłość”. Podobno przeciętny polski ojciec na rozmowy z dziećmi SPĘDZA w tygodniu średnio siedem minut. I ten sam ojciec POŚWIĘCA ponad cztery godziny dziennie telewizorowi i komputerowi. I nie przeszkadza mu to mówić, jak bardzo kocha dzieci. Namawiam na monitoring swojego czasu, co może być zimnym prysznicem, demaskującym, co i kogo ja tak naprawdę kocham. Oczywiście, jest konieczny czas spania, pracy zawodowej, odpoczynku, posiłków – ale zawsze jeszcze coś zostaje w tej zabieganej dobie. To, na co ja ten czas poświęcam, jest prawdziwą moją miłością. Bardzo kocham dzieci, ale... nie mam dla nich czasu, bo chodzę na tenisa, rower, brydża.

Święty Jan Paweł II udzielił nam z żoną wspaniałej lekcji ofiarowania czasu człowiekowi. W marcu 1984 (w Roku

Świętym Odkupienia, 1950 lat od śmierci Chrystusa na krzyżu) roku byliśmy razem w Rzymie. W okolicy Uroczystości Zwiastowania odbyła się audiencja dla Polaków. Było nas dziewięcioro, cztery małżeństwa i kapłan, zarejestrowani jako oficjalna pielgrzymka, bo inaczej nie dostalibyśmy paszportów. Tamtego dnia staliśmy przed tą Bramą Spiżową półtorej godziny, może dwie przed wyznaczoną godziną audiencji. Staliśmy przy tym wejściu całą naszą grupką jako pierwsi. Przejęci, bo takie wielkie wydarzenie! Zaczęli przychodzić rodacy. Głównie z zachodu Europy, z Polski prawie nikogo. Doszło może sto, może trochę więcej osób. Napływający rodacy zaczęli się przepychać, łokcie idą w ruch, trwa walka o lepsze miejsca. W końcu stwierdziliśmy, że to nie ma sensu. Oczekiwaliśmy przecież na spotkanie z Ojcem Świętym! Aby nie tracić pokoju w sercach, odsunęliśmy się na sam koniec. Zaczęliśmy głośno odmawiać różaniec – i odmawialiśmy go w kółko, przez te półtorej godziny. Kilka osób dołączyło do nas, reszta walczyła o miejsca przy barierce. I w końcu wyszedł Szwajcar, zatrzasnął tamtą bramkę, przy której trwała walka – i otworzył przed nami!

Weszliśmy jako pierwsi i usiedliśmy na miejscach najbliższych tronu papieskiego, jak to było możliwe. Może ze cztery rzędy kapłanów, a dalej my z żoną i nasi przyjaciele. Byliśmy pierwszymi osobami świeckimi, do których podszedł. Zostaliśmy przytuleni oburącz do piersi przez Papieża. Byliśmy w cudownym nastroju, kochaliśmy wszystkich ludzi na świecie. Trzy kroki za nami jakiś mężczyzna stanął na krześle, w czwartym rzędzie od barierki, przy której przechodził Papież. Mężczyzna oparł się na plecach ludzi, aż w końcu nogi mu fikały w powietrzu. I leżąc na barkach ludzi stojących przed nim,

wyciągnął przed nos Papieża legitymacyjne, czarno białe zdjęcie swojego ośmioletniego dziecka i zaczął opowiadać historię jego choroby. Mówił, i mówił, i mówił... Padaly łacińskie nazwy leków, terminy medyczne, jednostki chorobowe, jakieś terapie udane i nieudane. Nie jestem, mam nadzieję, jakimś kompletnie znieczulonym człowiekiem, ale w tamtej chwili pomyślałem, że jednak facet trochę przesadza. Ja wiem, że to jest jego ból, ale przecież nie wypada zajmować Ojca Świętego takimi drobiazgami. Wokół zaczęło już lekkie poruszenie. Kardynałowie próbowali prawie hokejowym bodiczkiem przestawić Papieża trochę dalej. Fotografowie dawno przestali pstrykać, bo ile można zrobić tych samych ujęć. I tylko Ojciec Święty stał w miejscu i z najwyższym skupieniem słuchał. Nie okazał najmniejszego zniecierpliwienia. Stał, patrzył prosto w oczy temu człowiekowi z odległości metra, może trochę więcej. Mężczyzna mówił i mówił, i mówił. A Ojciec Święty słuchał i słuchał, i słuchał. Wreszcie facet skończył. Jan Paweł II odczekał jeszcze chwilkę, w której nie powiedział ani słowa – i właśnie tą chwilą wysłał bez słów komunikat:

– Mam dla ciebie czas.

Potem powolnym ruchem pobłogosławił mężczyznę znakiem krzyża na czole, następnie dziecko na fotografii, uśmiechnął się i spokojnie, pomalutku odwrócił się do innych. Nie wiem, ile to w sumie trwało. Ale on był wówczas dla tego człowieka CAŁY. Nie powiedział ani słowa – ale był w tym czasie cały dla tego mężczyzny. Uczmy się od Jana Pawła II. ofiarowujmy cierpliwie czas drugiemu człowiekowi. Dajmy sobie czas nawzajem w rozmowie. Nawet wtedy, gdy druga osoba nie może z siebie słowa wydobyć, bo tak jest skrepowana. Spokojnie, mamy czas. Ten czas jest ofiarą, dowodem

miłości i będzie to z wdzięcznością odczytane i przyczyni się do wzrostu bliskości i zrozumienia.

Od tamtej pory zdarzało mi się niejednokrotnie takie sytuacje w poradni, gdy jedyne, co mogłem zrobić, to dać komuś czas i wysłuchać go po prostu, bez słowa. Do poradni przychodzi kobieta. Przez godzinę płacze i wylewa żale, a ja, przy całej swej „małomówności”, zdążam powiedzieć jedynie:

– Yhm... no tak... no widzi pani...

Gdy ona musi wyjść, bo następna osoba już wchodzi, mówi:

– Bardzo panu dziękuję, bardzo pan mi pomógł!

I wiem, że wbrew pozorom to prawda. Ja jej rzeczywiście bardzo pomogłem: dałem jej czas. Mogła na kogoś wyrzucić wszystkie swoje żale. Obdarowujemy się miłością, dając drugiemu swój czas. To bardzo potrzebny element do budowania bliskości i więzi.

OWOCE DOBREJ ROZMOWY

Jak poznać, że rozmowa była dobra, że komunikacja przebiegła skutecznie? Oczywiście, to się czuje. Spróbujmy jednak nazwać pewne konkrety.

Po pierwsze, po dobrej rozmowie rozmówcy czują ulgę emocjonalną. Dlaczego? Dlatego, że rozmówca dowiadują się, iż przykrość, jakiej doznał, była niezamierzona. Znika podejrzenie, że ten drugi zrobił na złość. Okazuje się, że to była zwykła gafa, zrobił to nieświadomie. Od razu mniej boli! Zilustrujmy to przykładem: Pierwsza sytuacja: jadę zatłoczonym autobusem, tłum za moimi plecami tak na mnie napiera, że mimo woli pcham się na stojącą przede mną paniusią. Ona,

posądzając mnie, że to robię celowo, w akcie zemsty wali mnie obcasem w stopę! Boli podwójnie. Raz, że boli stopa, dwa, że zostałem zakwalifikowany i potraktowany jako skończony cham. Budzi się niechrześcijański odruch: czekaj, jak autobus szarpnie, to ci oddam. Druga sytuacja: jadę zatłoczonym autobusem, autobus szarpie, jakaś kobieta traci równowagę i trafia obcasem w moją stopę – i natychmiast, przerażona, przeprasza! Stopa boli (niby) tak samo – ale ja mówię, że nic się nie stało i rzeczywiście tak myślę. Bo wiem, że ona zrobiła to niechcący i do tego jest autentycznie przestraszona. Wręcz budzi się we mnie odruch troski o nią:

– Niech się pani naprawdę nie przejmuj.

Tym razem jest zupełnie inny ból. Dobrze odbyta rozmowa ma moc przekształcenia tego pierwszego bólu na drugi – a nawet zamiany bólu w troskę. Bo oto ktoś niechcący, nieświadomie mi coś takiego zrobił, a ja go już posądzałem o złośliwość! I przepraszam w myślach! Zupełnie zmienia się ocena sytuacji. Ostrość oceny łagodnieje, bo widzimy, jak to wygląda z drugiej strony.

Każda dobra rozmowa pogłębia więź. Po tym można poznać, że rozmowa była dobra, jeśli czujemy się sobie bliżej. Dowiedzieliśmy się czegoś bolesnego, czego nie było wiadać, czegoś intymnego, co ujawniła mi ta druga osoba, czego nie wiedzą inni. Zostaliśmy dopuszczeni do intymności, a to u normalnego człowieka wywołuje naturalny odruch chęci pomocy. Obdarzenie zaufaniem rodzi pragnienie (a może nawet zobowiązanie), by tego zaufania nie zawieść. W normalnym, zdrowym człowieku rodzi się wówczas chęć otoczenia tego drugiego opieką. Dobra rozmowa zawsze wyzwala chęć objęcia opieką drugiej osoby, która mi powierzyła swój

ból, swoje zranienia. Ktoś, kto praktycznie wystawia się „na strzał”, mówiąc, że go to boli, stwarza jednocześnie bardzo zobowiązującą sytuację dla tego drugiego, bo oto została mu powierzona czyjaś kruchość i bezbronność.

Drugą korzyścią dobrej rozmowy jest fakt, że dowiadujemy się nowych informacji. Takich, których nie widać. Bo siedział w niej jakiś nienazwany dotychczas ból, który ona mi w zaufaniu powierzyła. Rodzi się we mnie poczucie dowartościowania, że to właśnie mnie okazano takie zaufanie. Oczywiście to powierzanie musi być rozsądne, potrzeba wielkiej mądrości, aby się odkrywać przed drugą osobą rozsądnie, by się nie zawieść. Narazić na niezrozumienie, a może wyśmianie czy nawet wyszydzenie. Tak powstają bardzo niszczące, źle gojące się rany. Nie namawiam do naiwności, broń Boże! Jednak powierzenie komuś swoich problemów w mądry sposób, na miarę możliwości tego drugiego, jest dla niego mobilizujące, stwarza szansę na jego wzrost.

Z każdą kolejną dobrze odbytą rozmową więź między rozmówcami staje się większa. Czyli komunikacja osiągnęła swój podstawowy cel: pogłębiła komunie między ludźmi. I tu by się chciało postawić kropkę i zakończyć temat. Potrzeba jeszcze jednak zadbać o to, by rozmowa owocowała w dalszym życiu. Gdy już na koniec rozmowy jest nam tak cudownie, należy koniecznie poprosić się wzajemnie o jeszcze jedną, jedyną rzecz. Najlepiej małą, drobną, realnie wykonalną. Niech będą to rzeczy ważne, ale realne do zrobienia. I zadawajcie je sobie wzajemnie. Czy mąż może zacząć robić coś, co dla żony jest ważne? Czy żona może przestać robić coś, co męża boli? Jeśli będą to drobne rzeczy i wypełnimy je, to doda nam to skrzydeł. Można prosić o wszystko, tylko nie o... zło moralne. Bo to zło zniszczy

relacje od środka. I nie powinno się też prosić o to, co dla drugiej osoby jest w jakiś sposób przykre, subiektywnie budzące sprzeciw, odrzucające. Byłoby to wbrew miłości.

Tutaj istotna dla uwaga panów: mąż niekoniecznie musi rozumieć, czemu to jest dla żony ważne. Jeśli żona poprosi męża, aby chodził w fioletowym berecie, on nie musi wiedzieć, dlaczego. Po prostu niech to robi. Wówczas dla niej to będzie dowód, że ona jest dla niego ważna. Oczywiście nie namawiam do przechodzenia na poziom „fioletowych беретów”, to tylko ilustracja. Piszę to, ponieważ wiem z autopsji, że jest to męską trudnością: facet chce wszystko zrozumieć.

Ważne jest, aby te wszystkie rzeczy sobie wzajemnie w wolności ofiarowywać. Chodzi o to, aby czynić to w duchu ofiarowania. Natura nasza (po grzechu pierworodnym) rodzi pokusę wymuszania na sobie różnych rzeczy. Nie da się przymusić do dobra, nie da się przymusić do miłości. Inaczej jest, gdy podejmuje się wysiłek w wolności, ofiarowując tę rzecz z miłości. W imię miłości można ofiarować naprawdę bardzo, bardzo wiele. Ludzie, widząc jakieś wady we współmałżonku, próbują go zmusić, żeby się ich wyzbył. To nie jest skuteczna metoda. Naciskanie i wymuszanie to środki, w gruncie rzeczy, egoistyczne, sprzeczne z miłością. Dopóki będziesz zmuszać do czegoś, niewiele z tego wyjdzie. Ludzie tak całe życie sobie marnują. Nawet działając w dobrej wierze. I dusi, i zmusza, i... nie działa, więc narzeka. Metodą znacznie skuteczniejszą jest ofiarowanie sobie siebie nawzajem:

– Czy mógłbyś mi to ofiarować, czy możesz to zrobić dla mnie?

Jeśli usłyszę coś takiego – a, to zupełnie co innego, przecież stać mnie na to!

Mam taką swoją, bardzo osobistą ilustrację do tej metody pracy nad miłością. Otóż, gdy poznaliśmy się przed laty z moją żoną, jej coś się ubzdurało, żebym ja się częściej czesał. Zupełnie niepojęte dla mnie żądanie. To były lata siedemdziesiąte, zgodnie z panującą podówczas modą miałem bujne, zakrywające uszy włosy, a ona mi ciągle, czy to w lesie, czy w kinie, czy u znajomych, syczała stłumionym szeptem do ucha:

– Uczesz się, no weźże się uczesz!

A mnie gula w gardle rosła z nerwów na te słowa. Mimo tego... ożeniłem się z nią. I przez następne lata małżeństwa nic, tylko:

– Uczesz się! – syczało mi w uszach i złościło niemiłosiernie.

Zacząłem już rozmawiać z małżeństwami w poradni. I „mądrze” pouczałem innych, że w małżeństwie trzeba iść na daleko idące ustępstwa, że można się zgodzić na wszystko – byle nie na zło moralne, bo ono zniszczy od środka. Tylko na to jedno ustępstwo, choćby było ciężko, nie wolno się zgodzić nigdy. I uczę tak, że trzeba iść na daleko idące ustępstwa z wyjątkiem zła moralnego, a ona znowu:

– Uczesz się!

Usiadłem i zacząłem się zastanawiać: czy czesanie się jest złe moralnie...? Niestety, przy całej gibkości umysłu nie udało mi się znaleźć argumentu, który by to potwierdził. Wobec tego, skoro tak jej na tym bardzo zależy, czy nie stać mnie na to, żeby jej to, po prostu, ofiarować? W prezencie! Zacząłem się czesać. I wiecie, co? Zupełnie przestało mi to przeszkadzać! Dziś już, po wielu latach, gdy wychodzę z domu, żona pyta:

– Masz?

– Mam! – i pokazuję grzebień. Oboje się szczerze śmiejemy. I zupełnie mnie to dziś nie denerwuje. Jak to się zmieniło!

Najpierw odbierałem to jako presję wywieraną na mnie i stąd mój bunt. A po ofiarowaniu w wolności możemy się oboje szczerze śmiać z wcześniejszych napięć.

I to właśnie jest językiem miłości. Jeżeli chcesz, żeby coś zmieniło się w żonie, dla jej i twojego dobra, spytaj ją, czy może ci to ofiarować. Powiedz jej, że uważasz, że to bardzo ważne, potrzebne wam, dzieciom, jej do zbawienia. A żeby nie myślała, że tylko jej staraniem chcesz naprawić małżeństwo, poproś, żeby powiedziała ci, co ty możesz ofiarować jej. Powiedz jej:

– Żądaj choćby najtrudniejszej rzeczy – ja ci udowodnię, że to zrobię! By pokazać ci, jak ważna dla mnie jest sprawa, o którą proszę.

Uczciwy kontrakt miłosny: każde, w wolności, daje z siebie na prośbę drugiego, a nie wymusza na drugim. Nie podporządkowuje drugiego sobie, tylko ofiarowuje to, czego ten drugi potrzebuje. Jeśli więc odbędziemy dobrą rozmowę, wykorzystajmy ją. Choćby jedno dobre postanowienie: tak nam jest dobrze po tej rozmowie, to może spróbujmy w najbliższym tygodniu, że będziemy wzajemnie pilnować tego, o czym się dowiedzieliśmy, że to jest takie ważne. W kwestii jednej konkretnej rzeczy. Wówczas miłość i komunia będą coraz większe, piękniejsze i głębsze.

6. PSYCHIKA MĘSKA I KOBIECA

PRÓBA ZMIANY MYŚLENIA

S koro już wiemy, na czym polega tok rozumowania (mniej lub bardziej odpowiedzialnych) mężczyzny i kobiety, rzućmy trochę światła na metody odbudowywania poniszczonych z powodu różnych niedojrzałych zachowań więzi. My nieraz oboje tracimy mnóstwo energii, próbując odbudować więź małżeńską w zły sposób, z góry skazany na niepowodzenie. Mężowie próbują odzyskać żonę, tłumacząc, wręcz udowadniając jej, że nie ma racji, że źle postępuje. Kompletnie nie trafiony sposób, bo problem leży w uczuciach, nie w myśleniu. Czasem próbują przez sądy żonom coś udowodniać, dzieci porywać, robią różne koszmarnie rzeczy, żeby... żonę odzyskać. On naprawdę chce odzyskać żonę i robi karkołomne rzeczy, raniąc ją niemal każdego dnia – i jeszcze dziwi się, że ona nie chce wrócić. I to coraz bardziej nie chce... Ale gdyby cierpliwie zatroszczył się o jej uczucia, ona być może by powróciła. A żona, odwrotnie, chce odzyskać męża, grając na jego uczuciach. Próbuje zagrać na uczuciach męża, który odszedł. Próbuje go odzyskać. Jak? Uczuciami. (Przecież jego uczucia omotała inna i przez to on przestał władać rozumem.) Ile się napłakała, ile słów napisała i wszystko na marne. Jego problem jest w tym, że straciwszy panowanie nad uczuciami przestał racjonalnie myśleć. Rozum mu

zablokowało. Dopóki on nie zacznie inaczej myśleć, ona nie ma szans. Dlaczego? Bo on musi sam podjąć decyzję na bazie własnego rozumu, który w stanie zakochania, jest chwilowo (oby) zablokowany.

Kobiety próbują na mężczyzn działać uczuciowo, odwoływać się do uczuć. Płaczą, proszą, błagają, mówią o dzieciach, o wszystkim – a mężczyzna coraz twardszy, coraz bardziej zacięty, nie reaguje. Nieczuły drań? Nie, po prostu to nie jest narzędzie dotarcia do mężczyzny. Z kolei panowie próbują tłumaczyć paniom, że źle postępują, dając się ponieść emocjom. Ryczy taka niepotrzebnie, bez powodu, nielogicznie, traci sole i płyny z organizmu... Szczera prawda, tylko żadnej kobiecie płaczącej nie pomoże tłumaczenie, że płacze bez sensu, czyli bez powodu. Złe narzędzia. Nie można wagą zmierzyć objętości. Nie ta miara, nie to narzędzie.

Jak już wspominałem, kluczową kwestią w dotarciu do kobiety są jej uczucia. Kwiaty są nieocenione w sytuacji, gdy po latach trzeba naprawiać zranione uczucia. Jednak trzeba je „dawkować” umiejętnie. Przykładowo, otrzymanie drogiego bukietu z kwiaciarni dla mądrej kobiety znaczy mniej niż własnoręcznie przez męża zerwany bukietek fiołków. Dlaczego? Bo naprawdę fatalnie się zbiera te małe kwiatki, znacznie łatwiej zerwać słonecznik lub wyciąć gałąź kwitnącej wiśni... Pamiętam, jak do poradni małżeńskiej przyszedł mąż, żaląc się, że żona wyrzuciła do kosza bukiet stu róż, które wręczył jej jako przeprosiny po zdradzie. Powiedziałem mu wówczas:

– Drogi panie, sto róż to świetny pomysł, lecz należało je dawać codziennie po jednej. Pewnie kilka pierwszych wylądowałyby w koszu, ale ostatnia z dużym prawdopodobieństwem zostałaby ususzona i zachowana na pamiątkę.

Znam taką sytuację aż nieprawdopodobną, ale prawdziwą. On był dobrym człowiekiem, uczciwie pracował na życie i na polskie warunki naprawdę nieźle zarabiał, utrzymywał rodzinę na dobrym poziomie. I koniec. W domu kompletnie nic nie zrobił, wokół siebie, wokół dzieci, nic. On pracował zawodowo. Takie wyniósł doświadczenie z domu rodzinnego, był w tym sensie uczciwym człowiekiem. I był zapalonym wędkarzem. Mówił, że wychodzi tylko na kwadrans, bo dłużej by bez małżonki nie wytrzymał – i zawsze wracał po iluś godzinach, gdy już było kompletnie ciemno. Żona, z nerwami na postronkach, wychodziła z siebie i z daleka słyszała na powitanie pogodnie:

– Kochanie, tak się za tobą stęskniłem...! – i wałek sam jej wypadł z ręki.

To było szczęśliwe małżeństwo, choć z boku wyglądało to dosłownie kuriozalnie. Ona z nim była szczęśliwa. On nigdy jej złego słowa nie powiedział, nie podniósł głosu, przez kilkadziesiąt lat. Ja nie zachęcam, żeby źle funkcjonować i nadrabiać uczuciami, ale to pokazuje, że nawet przy nie najlepszym funkcjonowaniu zatroszczenie się o uczucia czyni kobietę szczęśliwą, bo czuje się kochana. Kobieta nie może wytrzymać, jeśli nie czuje się kochana przez męża. Ona może być kochana przez męża i nie czuć się kochaną. Mąż wraca z kopalni, szesnaście godzin „rąbał przodek”, włączy do wanny, myje się, pada, śpi... Wstaje następnego dnia i „rąbie przodek”, wraca do domu... i tak przez całe życie. Przecież żona to niby wie, rozumie, że ciężko pracuje na rodzinę, ale ona nie czuje się kochana, bo jej nigdy nie powiedział, on jej nigdy nie przytulił. Nie wystarczy kochać, trzeba również to komunikować, zwłaszcza w kierunku kobiety jest to niezwykle ważne. Czasem mówię żartobliwie do mężów:

– Nawet nie musisz jej kochać, byleby ona tylko czuła się kochana.

Bo faktycznie w ostatecznym rozrachunku jej uczucie, że jest kochana się liczy. Niestety, wielu mężów naprawdę żonę kocha, lecz nie umie jej tego okazać i... chciałoby się powiedzieć: cała robota na nic! Okazywanie uczuć nie jest zazwyczaj mocną stroną mężczyzn. Jednak, panowie, trzeba i warto do końca życia się tego uczyć.

Mężczyźni nie wiedzą o tym, że uczucia kobiet mają siłę bezwładną, zmieniają się powoli. (Jakby z „niedowierzaniem”.) Dlatego mężowie tak szybko się zniechęcają. (Wielkim czynem chcieliby zmasać wielką winę. Gdy ona jednorazowy gest odrzuci, on stwierdza: „Nie to nie, nie będę się wygłupiał”.) A tymczasem uczucia (i dobre, i złe) w kobiecie się kumulują. By naprawić złe, wystarczy odpowiednią ilość czasu cierpliwie (czyniąc dobro) poczekać, aż się uzbiera, ile trzeba. Gdyby mężczyźni to wiedzieli, cierpliwie by się troszczyli o uczucia żony i żadna żona nie miałaby ochoty odejść od męża. Wystarczyłoby, żeby mężowie wypełnili bardzo proste, krótkie, lakoniczne zalecenie św. Pawła: *Mężowie, miłujcie żony i nie bądźcie dla nich przykrymi* (Kol 3,19). Koniec. Wystarczy. Żadna kobieta nie odeszłaby od męża, gdyby mąż był dla niej miły, po prostu.

Problemem mężczyzny natomiast nie są zranione uczucia, ale działanie wbrew rozumowi. I dlatego my tak źle reagujemy, gdy kobieta próbuje nas zmusić do czegoś, czego my nie rozumiemy. Ona wie, że to jest dobre i to naprawdę jest dobre. Ale skoro ja tego nie rozumiem, to w chwili, kiedy to zrobię pod jej dyktando, czuję się pantoflarzem. Nie czuję się prawdziwym facetem. Drogie panie, mam fatalną wiadomość: kobieta,

a w szczególności żona, jest najgorszą osobą do zmiany myślenia mężczyzny! Tłumaczenie mu przez żonę z pozycji tej mądrej nigdy się żonie nie opłaci. Im ona bardziej łopatologicznie mówi mu, że jest głupi, a ona jest mądra i dlatego on ma jej słuchać, tym bardziej on się przed tym broni. Ona tego tak nie widzi, ale... na to wychodzi.

Tak więc klucz do zmiany postępowania mężczyzny leży w jego myśleniu. Niestety, w chwili niepanowania nad uczuciami (np. zakochania) myślenie się wyłącza. On myśli, że myśli, a tak naprawdę kombinuje, jakby wiarygodnie usprawiedliwić swoje postępowanie (np. odejście do kochanki). To się każdemu udaje i oczywiście zawsze głównym winowajcą jest... żona, czasem dodatkowo teściowa. (Bo jak w małżeństwie źle się dzieje, to zawsze są winne obie strony: i żona, i... teściowa.)

Mężczyzna, który zmieni myślenie, może zmienić swoje życie w jednej chwili. (Pod warunkiem, że nie jest uwikłany w nałóg, który trzeba najpierw wyleczyć, by móc podejmować wolne decyzje.) Podjął decyzję i zmienił swoje życie w jednej chwili. Jak zmienić w takim razie myślenie mężczyzny? Tu się pojawia potworna trudność, bo skoro żona się do tego słabo nadaje, to kto? Żeby mężczyzna zmienił myślenie, musi posłuchać kogoś, kogo sam uważa za mądrzejszego od siebie, jakiegoś autorytetu. I bardzo często nie ma takiej osoby na świecie, niestety. Ja, próbując to uświadomić, mówię do żony w poradni:

– Niech pani zaprosi na kolację do waszego domu św. Jana Pawła II, żeby przyszedł i pogadał z mężem. To może mężowi wypadłoby jego posłuchać. Tak, to jest dostateczny autorytet.

Często na ziemi nie ma autorytetu, który mógłby zmienić myślenie mężczyzny. (Kiedyś niekwestionowanym

autorytetem był ojciec, często proboszcz, starzec – mędrzec...) Czasami ten autorytet może być zbiorowy, jeden kolega, drugi, trzeci, czwarty – i wszyscy mówią mniej więcej w tym samym tonie. Wówczas mężczyzna może rzeczywiście stwierdzić, że trzeba coś z tym zrobić, bo może to jednak nie jest najlepsza droga. (Dlatego gdy ktoś z bliskich błądzi, nie należy go unikać, tylko przeciwnie, spotykać się z nim i mówić, jakie jest moje zdanie na ten temat.) Czyli pierwszą metodą zmiany postępowania mężczyzny, dotarcia do jego rozumu, żeby zaczął inaczej myśleć, jest autorytet, przed którym on się ugnie.

Drugi sposób pomocy błędzącemu mężczyźnie, to przywrócenie mu możliwości racjonalnego myślenia. Pomoc w tym, by przestał sam siebie oszukiwać. Mężczyzna myśli, że myśli – i tak układa sobie wszystko, żeby wyszło na jego. Nie ma takiej podłości, do której mężczyzna nie potrafiłby dorobić świętej ideologii!

Może podam przykład z życia. Mój znajomy, skądinąd przyzwoity człowiek, bardzo inteligentny, wykształcony, naukowiec teoretyk, po ośmiu latach małżeństwa bez dzieci zdradził żonę. Zresztą, ona sama go wysłała na wyjazd, żeby odpoczął. Tam bardzo atrakcyjna kobieta bardzo inteligentnie okręciła go wokół palca i rzeczywiście padł jej ofiarą. (Ja ją zresztą też osobiście znałem i... bardzo mi się podobała.) Zdradzona żona i całe otoczenie tego małżeństwa, było zszokowane, bo nikt nie spodziewał się czegoś takiego. Żona, po odejściu męża, straciła zupełnie ochotę do życia. Można powiedzieć, że reanimowałem ją psychicznie przez kilka miesięcy, przez liczne, nieraz wielogodzinne spotkania. W końcu jakoś tam się pozbierała, pięknie żyje,

adoptowała dziecko niepełnosprawne, znalazła sens życia. A ten mężczyzna odszedł do kochanki. Wtedy raz w życiu zrobiłem coś takiego, że nieproszony poszedłem do kogoś do domu. Chciałem się z nim spotkać. Poszedłem do domu jego mamy, wiedząc, że on tam przyjdzie. Tym samym spowodowałem spotkanie. Wszedł prosto na mnie, pamiętam, ja mu drzwi otworzyłem. Zobaczył mnie, przestraszył się, zamarł na chwilę i powiedział:

– Stary, wiem, zrobiłem świństwo, zdradziłem żonę, ale to już się stało, tego już nie cofnę! A teraz to ja już będę uczciwym człowiekiem, będę wierny do końca życia! Już nigdy nikogo nie zdradzę!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Co on powiedział? W pierwszej chwili pomyślałem, że wróci do żony. Nie! On by teraz musiał zdradzić kochankę, żeby wrócić do żony! Nie zrobi tego, on już teraz będzie uczciwym człowiekiem! Logicznie się zgadza? Zgadza się. I to niestety mężczyźni wystarczy. Logiczne – więc prawdziwe. Nie ma takiej podłości, powtarzam, do której facet nie potrafiłby dorobić świętej ideologii, w ogóle nie widząc tego, że źle postępuje. Wierzy w to, co „wymyślił”. To jest dramat wielu mężczyzn. Brną w zło, usprawiedliwiając to „rozumem”.

Dlatego drugi sposób dotarcia do mężczyzny to dać mu narzędzia, żeby on sam potrafił inaczej pomyśleć, żeby on sam zdemaskował to samooszukiwanie się. Podpowiadam banalnie proste narzędzie, które każdy może zastosować w różnych sytuacjach życiowych, nie tylko małżeńskich. Narzędziem jest proste pytanie: czy chciałbym, żeby moją córeczkę ukochaną ktoś potraktował tak, jak ja potraktowałem żonę? Zabieg jest genialny w swojej prostocie. Na czym polega klucz do

sukcesu? Gdy myślę ja – żona, to zawsze wyjdę na swoje, bo siebie usprawiedliwię a żonę oskarżę. (Na to, co ona wyprawa, to ja i tak ją za dobrze traktuję.) Dlaczego tak się dzieje? Bo ja stoję po swojej stronie i wszystkie mechanizmy obronne wykorzystuję na samousprawiedliwienie, a jednocześnie oskarżanie żony. Ale kiedy ja myślę o mojej kochanej córeczce, rozważając sytuację zięć – córka, nieświadomie staję po stronie córki. Usprawiedliwiam córkę, a oskarżam zięcia, czyli tak naprawdę siebie. Dopiero rozważam sprawę w duchu miłości. Troszczę się o tego drugiego, a nie o siebie.

Jak to działa? Przykład z życia. Chłopak, końcówka studiów, duszpasterstwo akademickie, po spotkaniu wieczornym podchodzi do mnie i mówi:

– Ja jestem narzeczoną, za pół roku ślub i chcę jasno wiedzieć, co wolno, a czego nie wolno? Bez owijania w bawełnę. Jestem katolikiem, chcę być w porządku i muszę konkretnie wiedzieć, co wolno, a czego nie wolno!

Oczywiście chodziło o granice bliskości cielesnej. Zacząłem mu tłumaczyć, że nie da się skodyfikować gestów, czynów, słów, bo ten sam gest może być i piękny, i obrzydliwy. Pocałunek może być przepiękny lub obrzydliwy, może wynosić drugiego pod niebiosa, albo go odzierać z godności przez użycie osoby dla własnego podniecenia. (Tu przypomina mi się sytuacja, gdy ponad dziewięćdziesięcioletni o. Joachim Badeni OP na pytanie młodzieży o pocałunek powiedział: „Pocałunek rozumem. Ale czy to musi być od razu pompa ssąco-tłocząca?”) Mówię temu studentowi:

– Nie da się tak do końca sklasyfikować czynów, bo każdy ma swą wewnętrzną treść. Nie da się narysować kreski na ciele: dotąd tak, a odtąd nie. Ale ci mogę powiedzieć, jak

samemu to ocenić. Jeśli chcesz, jeśli masz odwagę, to sam sobie odpowiedz na pytanie: czy chciałbyś, żeby twoją ukochaną córeczkę, za ileś tam lat, narzeczony traktował tak, jak ty traktujesz narzeczoną?

Facet spochmurniał, „szczena mu zaczęła chodzić” a potem zdobył się na szczerą odpowiedź:

- Ja bym mu chyba zęby powybiiał.
- No to – mówię – masz odpowiedź.

On to dojrzał we właściwej perspektywie, teraz mógł użyć własnego rozumu zgodnie z jego przeznaczeniem.

Inny przykład, już z terenu małżeństwa z dwudziestoletnim stażem. Mianowicie, przychodzi do poradni kobieta, udręczona małżeństwem. Mąż uczciwie pracuje, nie pije, nie pali, na baby nie łązi, jest porządnym człowiekiem. Nie awanturuje się, nawet nie podnosi głosu. Od razu po pracy wraca do domu, otwiera gazetę, włącza komputer, telewizor – i na każde zagadnięcie przez żonę, odpowiada:

– Masz problem, idź do specjalisty. Są psychologowie, terapeuci, są psychiatrzy, pomogą ci, są pieniądze na to. Nie rozumiem, o co ci chodzi. Jestem porządnym człowiekiem, uczciwym mężem. Każda inna byłaby szczęśliwa, a ty sobie coś ubzduriałaś. Nie jestem fachowcem, idź do specjalisty.

Mieli dwie córki 17 i 19 lat. I podpowiedziałem właśnie ten chwyt. Gdy go podsunie kobieta mężczyźnie, z poziomu swojej mądrości, to oczywiście on tego nie przyjmie. Ale może zrobić to tak:

– Wiesz, słyszałam, psychologowie wymyślili taki sposób, próbowałam na sobie, wiem, że dobrze działa, jeżeli chcesz, to na sobie przetestuj. Przecież nie boisz się chyba prawdy o sobie? – tak miała mu to narzędzie podsunąć.

Była jednak już tak wykończona emocjonalnie, że na żadną dyplomację się nie zdobyła. I kiedy on po raz kolejny odsyłał ją do psychiatry, powiedziała mu wprost:

– A ciekawe, co byś zrobił, gdyby twój zięć tak traktował twoją córkę?!

Ja przepraszam, że dokładnie zacytuję, co on odpowiedział, tak błyskawicznie, jak to się mówi, z klepki, bez zastanowienia, wyszczał przez zęby:

– Zabiłbym gnoja!!!

I wtedy usłyszał, co powiedział. On do tego momentu był porządnym facetem we własnych oczach, uważał, że jest wszystko w porządku, że żona sobie coś ubzdurzyła. Po prostu on ustalił sam pulę swoich obowiązków męża wobec rodziny i ją uczciwie wypełniał. Tylko w puli tej nie było budowania relacji miłości z żoną i spełniania jej potrzeb psychicznych. (A swoją drogą, gdzie była żona przez dwadzieścia lat, że mu tego skutecznie nie uświadomiła?) To był moment zwrotny, początek trudnych zmian w tym małżeństwie. To nie jest takie proste, odpracować dwadzieścia lat fatalnych zachowań, totalnie sprzecznych z budowaniem komunii.

Może jeszcze jedna ilustracja toku myślenia mężczyzny. Powiedzmy, sytuacja taka: żona się do męża przytuliła, mąż od razu wie, o co chodzi. No jasne, zaprasza mnie do współżycia! No to po chwili mąż już jest na to w pełni gotowy, mówi o tym... A żona patrzy na zegarek i oświadcza, że to wykluczone, bo za pięć minut przychodzą Kowalscy na umówioną kolację! Trudno, doprawdy, o bardziej rozumowy argument na to, żeby zniechęcić mężczyznę do współżycia, skoro za pięć minut mają przyjść znajomi, nieprawdaż? A jednak! Mężczyzna zaczyna „myśleć”: czy Kowalscy na pewno przyjdą? Nie,

nie przyjdą, bo Kowalska jest chora, bardzo logiczne wytłumaczenie! I on już teraz nie przypuszcza, on wie, Kowalscy nie przyjdą! Mówi żonie o tym, a żona coś bredzi, że przyjdą, i to za pięć minut... Oczywiście on jej tłumaczy, że na pewno nie przyjdą, mówi, nawet nie bardzo kłamiąc, że spotkał tego Kowalskiego na ulicy, a Kowalski powiedział, że nie mogą przyjść, bo Kowalska jest chora! Co prawda nie spotkał, ale cóż to szkodzi, mówi tak, chcąc uprościć sprawę, chce żonę przekonać do oczywistej prawdy, że oni nie przyjdą (bo przecież nie przyjdą!). Czy po takim logicznym rozumowaniu on może teraz zrezygnować z nastawienia na współzycie? Może zrezygnować na radykalne przeciwstawienie się żony. Nie to nie, przecież nie jest jakimś zwierzęciem, ale wściekły, bo wbrew własnemu rozumowi! Z powodu Kowalskich, którzy, wiadomo, że i tak nie przyjdą...! (Dopowiedzmy, że jak Kowalscy przyjdą, to go i tak niczego nie nauczy. Natychmiast „zapomni” o tłumaczeniach, że nie przyjdą, które wymyślił niemal przed chwilą. Dopiero zrozumienie mechanizmu samooszukiwania może go przed błędami uchronić.)

Odwróćmy sytuację. Mężczyzna wie, że gdy działają emocje, gdy ma ochotę na współzycie, wtedy dorabia sobie ideologie, które to usprawiedliwiają, wręcz go do tego popychają. Żona się przytuliła, no i identycznie, pomyślał o współzyciu. Żona mówi o Kowalskich, że przyjdą za chwilę. On w tym momencie włącza sobie lampkę ostrzegawczą: uwaga, chłopie, nie próbuj nic kombinować, przychodzą Kowalscy! Jesteś na to za mądry, żeby sam siebie oszukiwać! Idzie po linii rozumu i z całym spokojem rezygnuje ze współzycia, mimo że już się na nie nastawił. Dlaczego? Bo działa zgodnie ze swoim rozumem. Rezygnuje z czegoś, na co się nastawił, bo wie, że

jest to mądre i czasem konieczne. On tylko to musi ogarnąć rozumem. I to jest klucz do mężczyzny. Oczywiście, może być ciąg dalszy całej historii. Mężczyzna, zrezygnowawszy ze współżycia w tej chwili, może sobie pomyśleć: a może uda się splawić Kowalskich trochę wcześniej i...? Ale to już następny etap, odrębna historia.

Innym sposobem na zmianę myślenia mężczyzny jest dostarczenie mu nowej, lepszej wiedzy o życiu i źródłach szczęścia (bazy danych). Mężczyzna żyjący i postępujący głupio, wcale nie musi być... głupi. Może mieć w pełni sprawny, nieuszkodzony przez alkohol czy narkotyki mózg (procesor), może umieć tworzyć poprawne, nawet skomplikowane ciągi logiczne (dobrze funkcjonujące oprogramowanie), jednak mając fałszywą wiedzę (bazę danych) nie może wyciągnąć dobrych wniosków i mądrze żyć. Informatycy to kwitują lakonicznym powiedzeniem: „śmieci na wejściu – śmieci na wyjściu”. Według tego schematu marnują życie (sobie i niejednokrotnie całej rodzinie) wielkie rzesze mężczyzn. Gdzie tej dobrej wiedzy szukać? U dobrych i mądrych ludzi. Jeżeli chodzi o kluczowo ważną dla szczęścia relację miłości z żoną, to najlepszym ekspertem na świecie jest oczywiście... żona. Trzeba tylko w pokorze z tego skorzystać. Warto spotykać się z mądrymi (i świętymi) ludźmi, czytać mądre rzeczy (polecam moje książki), oglądać wartościowe filmy i... myśleć. Myśleć o odległych w czasie skutkach dzisiejszego postępowania. Sięgając myślami aż do... wieczności. Wtedy łatwo zdemaskować nonsens: pychy, gniewu, lenistwa, chciwości, nieczystości, zazdrości, nieumiarkowania w jedzeniu i picciu, zawiści, pożądania rzeczy i ludzi, rozwiązłości seksualnej... Używając rozumu i długomyślności, można dojść do życia

w zgodzie z naturą, czyli planem Stwórcy. Zmierzać do szczęścia w życiu i wieczności. Używając rozumu, można w końcu... odnaleźć Boga. („Każdy, kto uczciwie szuka prawdy, znajdzie Boga”, św. Benedykta od Krzyża, Edyta Stein.) Słowem, poznanie prawdy (właściwa baza danych) nas wyzwoli. Wskaże drogę do szczęścia w życiu i wieczności.

Jest jeszcze trzeci sposób zmiany męskiego toku rozumowania, który jednak od człowieka nie zależy. Pan Bóg ma to w swojej gestii i czasami z tego korzysta, nie zawsze skutecznie, jak się okazuje. Ponieważ człowiek ma wolną wolę, którą nawet Bóg szanuje. Dzięki temu może odrzucić Bożą pomoc, Boże miłosierdzie. To jest działanie przez szok. Mężczyzna, który przeżyje szok, może w jednej chwili zmienić myślenie, a zatem i całe życie. (To stało się ze św. Pawłem pod Damaszkiem.) Mężczyzna, nie wiem, który zderzy się czołowo z TIR-em, wyjdzie bez draśnięcia z kupy złomu i tego samego dnia zaczyna inaczej żyć. Zderzył się z własną śmiercią, wyobraził sobie, że mogłoby go już nie być, życie ma podarowane. Zaczyna inaczej żyć, odchodzi od świąństw, łajdactw, schodzi ze złych dróg. Znam takie przypadki.

Ja jestem takim przypadkiem. Mimo że nie byłem łajdakim i nie odchodziłem od świata wartości ani od żony, od dzieci, ale mam w pamięci taki wypadek samochodowy. Dzieciaki były małe, wiozłem żonę, trójkę dzieci i jeszcze syna przyjaciół, dzisiaj dorosłego. Poślizg, wpadam do rowu, koziołki, salto ze śrubą! Na amerykańskich filmach tak efektownych akcji nie ma. Rzeczy z samochodu leżały w promieniu stu metrów, między innymi nie znaleźliśmy dwóch butów narciarskich, więc rozrzut był niezły. I wychodzę z samochodu, przez taką szparkę przez wybite okno się wycisnąłem. Co

widzę? Nad samochodem równiutko leży na śniegu jedna, jedyna rzecz: obrazek Matki Boskiej, na śniegu równiutko ułożony. A była to godzina miłosierdzia. Właśnie skończyliśmy się głośno modlić. Pierwszą noc żona spędziła z synem w szpitalu, miał guza na czole od gaśnicy, którą przy pakowaniu rzeczy powinienem przypiąć, ale mi się nie chciało. Wepchnąłem ją pod przednie siedzenie i syn tą gaśnicą dostał w głowę. Był na obserwacji jedną noc, nic nie wykryto, wypuścili go rano. Syn przyjaciela przygryzł sobie wargę, nasz miał guza i siniaka na oku – i to właściwie wszystkie rany, jakie odnieśliśmy. Ale pierwszą noc, kiedy żona była z synem w szpitalu, a ja z tą pozostałą trójką dzieci w jakimś hoteliku... całą „przemyslałem”. Nie muszę dodawać, że nie spałem. Tamtej nocy przerobiłem wszystkie realnie możliwe warianty: ja zginąłem i zostawiłem żonę i dzieci bez ojca i bez środków do życia; ja zabiłem każdego z osobna i wszystkich naraz; ja umieściłem wszystkich na wózkach inwalidzkich... przerobiłem wszystko po kolei.

Ucieszyłem się ponownym ofiarowaniem życia, którego już nie wolno mi zmarnować. Od zawsze byłem przyzwoitym człowiekiem, pracowałem nad różnymi sprawami, podejmowałem w swoim życiu różne postanowienia, które w jakimś stopniu mi się udawały. Od tej nocy wszystkie rzeczy, nad którymi pracowałem lata, stały się łatwe i możliwe do wypełnienia. W jednej chwili! I wiele rzeczy w moim życiu się istotnie zmieniło, dzięki temu „klapsowi”, którego dostałem od Pana Boga. Dzięki temu przypomnieniu: człowieku, nie jesteś wieczny, umrzesz... nawet i ty. Oby każdy z nas dopuścił myśl, że może jednak przyjdzie mu stanąć przed Panem!

Nie jest to w naszej gestii, ale Pan Bóg czasem daje takie klapsy i obyśmy tego nie zmarnowali. Bo można wyjść z kupy złomu po zderzeniu czołowym z TIR-em i powiedzieć:

– Miałem pecha, skasowałem samochód.

I niczego nie zrozumieć. I żyć dalej swoimi, mniejszymi lub większymi grzeszkami. I są ludzie, którzy tak „lekce sobie ważą” ewidentne znaki. Ewidentne!

Pewnej znajomej, która miała z powodu nowotworu odjętą pierś, po czym nastąpiło całkowite wyleczenie, po osiemnastu latach nowe raczysko się przyplątało, przerzuty poważne na wszystko, między innymi na płuca, całkowicie zajęte. Badanie jedno, drugie, trzecie, nie ma wątpliwości, choroba terminalna. Chemia jedna, druga, piąta... Kobieta wycieńczona, każdy wie, jak chemia działa. A ona drobna, szczuplutka, zapasów nawet w ciele nie było, nie miała z czego chudnąć. I pojechała na modlitwę wstawienniczą i... została uzdrowiona. Została w jednej chwili autentycznie całkowicie uzdrowiona. Byliśmy akurat na rekolekcjach i dostaliśmy wiadomość SMS-em: „Nie ma śladu, nie ma śladu choroby!”. Stało się to w chwili, gdy jej córka, która odeszła od Boga, wychodziła właśnie za mąż, tylko cywilnie. I dla tej córki ten ewidentny znak... nic nie znaczył. Może na razie, może jeszcze ją dotknie, ale póki co pozostała bez żadnej głębszej refleksji. Nadal dla niej jest to nie do pomyślenia, że jest jakaś wieczność, że jest jakiś Bóg, że coś w tym życiu jest ponad materię, o którą zabiegamy. Jak widać, nawet takie ewidentne cuda można zlekceważyć. Ale one są po to, żebyśmy się nawracali. W zasadzie całe życie mamy się nawracać i dotyczy to małżonków, kapłanów, każdego.

Mężczyzna powinien żyć i umierać jak... mężczyzna. Byłem na kilku poruszających pogrzebach, jednym z nich był

pogrzeb mojego teścia. Wspaniały człowiek, wychował piątkę dzieci, wszystkie na Bożych drogach, zaangażowane w Kościele, cała piątka, podobnie ich małżonkowie. Miał cztery córki i syna, trzydzieścioro wnuków, wszyscy na Bożych drogach, niektórzy już pozakładali rodziny. Umarł, troszcząc się właściwie o to, żeby się rodzina nie przejmowała za bardzo. Był lekarzem, wiedział, że jego serce straciło wydolność, wiedział, że odejdzie, przygotował na to rodzinę. W chorobie nigdy się nie uskarżał. Gdy już był praktycznie umierający, na pytanie, jak się czuje odpowiadał:

– Bywało lepiej.

Miał zawał o 9.00 rano, ale o 11.00 miał przyjść ksiądz z Panem Jezusem. Wiedział, że miał zawał, ale nie powiedział o tym. Począł na Pana Jezusa, a potem dopiero powiedział:

– Mam zawał, teraz możecie mnie ratować.

Cała piątka dzieci znalazła się przy nim, pamiętam, to była pierwsza sobota marca. Był piękny, słoneczny dzień. W podobny dzień (też pierwsza sobota marca) rodziła się nasza, długo wyczekiwana pierworodna Marysia. Żona powiedziała:

– Piękny dzień na rodzenie – a teść dopowiedział:

– No, na umieranie też.

Po dwóch godzinach nie żył. Niczego się w życiu nie dorobił. A takich tłumów nad grobem nie widziałem na pogrzebie żadnego polityka czy dygnitarza. Był świadkiem nieustraszonym, a to były ciężkie czasy, pamiętał stalinizm. Miał brata księdza. Nieraz pytali go w pracy, czy utrzymuje z nim kontakt.

– No oczywiście, że utrzymuję, przecież to mój brat!

Szwagier, walczący w AK, po wojnie, nie mogąc wrócić do kraju, wylądował w USA. Pytali, czy utrzymuje kontakty z nim. Odpowiadał:

– No oczywiście, że utrzymuję, przecież to mój szwagier, brat żony. Najbliższa rodzina!

Nigdy nie był w PZPR, więc w pracy (mimo doktoratu) nie mógł awansować. Zapraszany na zebranie partyjne odpowiadał, że nie może, bo musi okno na Boże Ciało dekorować. Mimo zakazu przyprawdzał księdza do chorych w szpitalu. Nie wyrzucili go z pracy, bo był dobrym fachowcem, gastrologiem. Jego fachowych usług, zwłaszcza obficie pijący dygnitarze, bardzo potrzebowali.

Oddany pacjentom bez reszty. Rzesze pacjentów szczerze mu wdzięcznych za to, że jeździł do nich do końca życia starym, przechodzonym Cinquecento. Domu nie zbudował, inwestował w ludzi i tak spokojnie odchodził, że aż mu... zardoszczę. Chciałbym kiedyś tak odchodzić. Swoją misję człowieka wypełnił, swoją misję mężowską wypełnił, swoją misję ojcowską wypełnił do końca. Wychował dzieci, wyposażył je we wrażliwość na drugiego, dopilnował wykształcenia, zaszczerpił wiarę. Można odchodzić!

Obyśmy mogli tak sobie spokojnie odchodzić, pozostawiając we wdzięczności ludzi, obyśmy również, odchodząc, zostawili jakąś pulę dobra na tej ziemi. I to wynika z czystego rachunku, z czystego wyrachowania. Mianowicie, kiedyś umrę, zostanę osądzony, to dobrze, a to źle. Szczegółowy sąd – ale potem czekam na sąd ostateczny, ostateczne podsumowanie mojego pobytu na ziemi. Jeżeli uruchomiłem dobro, to jeszcze po mojej śmierci odpisy od tego dobra (tantiemy) pójdą na moje konto. Jeśli jakieś małżeństwo dzięki mojej posłudze stanęło na nogi, jeżeli wobec tego dobrze wychowało dzieci i wnuki, przecież to wszystko pójdzie na moje konto. No, gdzie ja zrobię lepszy interes?! Opłaca się w świecie szerzyć

dobro, również dlatego, że dobro dawane czyni człowieka dającego lepszym. I to mi się najbardziej opłaci w ostatecznym rozrachunku życia. Rozdawajmy dobro, nawet gdy nie widzimy efektu, bo te efekty są i będą, te efekty uwidocznia się ostatecznie w wieczności. Natomiast biada tym, którzy szerzą zło. Pan Jezus powiedział wyraźnie, że lepiej byłoby im, żeby im kamień młyński do szyi i w morze: *Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą, temu byłoby lepiej uwiązać kamień młyński u szyi i wrzucić go w morze* (Mk 9,42). Na nich czeka wieczna zapłata za wyrządzone zło. Dlatego, zanim zdążyli uczynić zło, lepiej by dla nich było, gdyby ich w morzu utopiono. Jak dobrze się mają różni gorszyciele dzisiaj, jaką kasę robią np. na bałaganie seksualnym: antykoncepcja, pornografia, aborcja, domy uciech najróżniejsze. Dzisiaj to się nazywa agencja towarzyska, ładniej brzmi. Niestety, znam przypadki głupich dziewczątek, nastolatek, które myśląc, że będą damami do towarzystwa, zatrudniły się w takich agencjach, a teraz są w rękach mafii, z tego wyjść nie tak łatwo. Pamiętam męża, który jeździł TIR-em, często nie było go w domu, za dobrze im się nie powodziło, żona postanowiła dorobić, poszła do agencji towarzyskiej. Wymyśliła opiekę nad babcią, staruszką. Wychodziła często, na nocki, ale nie musiała się tłumaczyć nikomu, bo miała alibi. Jednak się wydało. Przyszli do poradni oboje, mąż zrozpaczony, ale wybaczył. Ona żałowała, chciała się z tego wycofać. Co z tego, że nie poszła do roboty, skoro rośli panowie przychodzili do domu i póki było co wynosić, to wynosili, a potem grozili zabiciem dzieci. Musieli rekompensować sobie straty z powodu jej absencji w robocie. Małżonkowie nie wiedzieli co robić, dokąd uciec. Bali się nawet zadzwonić na policję. Chcieli wyjechać

na drugi koniec Polski, w świat, zamaskować się, zatrzeć ślady, nie zdawali sobie sprawy, jak są zorganizowane siły zła. A te panienki przy drogach, tak ładnie wyglądają, przecież to są czasem biedne dziewczyny w rękach mafii, nawet paszportu swojego nie mają, one nawet nie mają dokąd uciec! Niewolnice w rękach mafii, niektóre z nich wyjechały do Polski, zwłaszcza ze wschodnich terenów, do opieki nad staruszkami, wcale nie po to, żeby uprawiać taki proceder.

Tak więc wchodzenie w struktury zła, mimo, że przynoszące nieraz bająnskie sumy, w perspektywie wieczności jest najgorszym interesem, jaki można w życiu zrobić. Rachunek za ten „interes” trzeba będzie płacić przez całą wieczność.

Przepraszam panie za takie męskie, racjonalne wywyody. Ale my tak mamy, my takiego spojrzenia potrzebujemy. Wy na sprawy życia i śmierci patrzycie inaczej, bardziej przez pryzmat uczuć i to dla was jest najlepsze. Zauważmy, również w patrzeniu na życie i śmierć różnimy się jako mężczyźni i kobiety. Powinniśmy się tym nawzajem ubogacać.

TERENY OJCOWANIA I MATKOWANIA

Poważną trudnością, która nam przeszkadza, a nierzadko wręcz rujnuje budowę komunii między mężem i żoną, są różnice między konstrukcją psychiczną kobiety i mężczyzny. Są to, wyraźnie to sobie powiedzmy, różnice zaplanowane przez Stwórcę, to nie jest przypadek, że jesteśmy inni. Celem tych różnic jest oczywiście to, byśmy mogli przekazywać życie w miłości. Dopiero połączeni trwałym całościowym, miłosnym związkiem (małżeństwo) mają wszystko, czego

potrzeba. Nie tylko do własnego szczęścia, do przekazania życia dzieciom, ale też do wychowania ich w miłości i do miłości. Poza małżeństwem może dokonywać się chów człowieka, ale nie wychowanie go do wartości. Różnice są oczywiste, na bazie samych nauk medycznych: nie tylko anatomia jest inna, fizjologia, wydzielanie hormonów, nawet inna jest struktura mózgu. Nie wiem, czy wszyscy wiedzą, że mamy inne mózgi; inna jest budowa mózgu kobiety, a inna mężczyzny. Są poważne badania, które próbowali zebrać w książce *Płeć mózgu* dziennikarze, zgromadzili bardzo ciekawy materiał faktograficzny. Książka była negowana, bo stawiała w poprzek ogólnym tendencjom, że niby jesteśmy tacy sami. Ale te badania są przekonujące. Na przykład, po urazie jakiejś strefy mózgu, która jest za coś tam odpowiedzialna, mężczyzna zostaje kaleką do końca życia, bo ma gorsze połączenia między półkulami i w ogóle wewnątrzmożgowe. Mózg kobiety, w analogicznej sytuacji, dzięki lepszym połączeniom potrafi zrekompensować stratę i działa normalnie. Takich dość ewidentnych przykładów jest wiele.

Podczas spotkań z młodzieżą, ja ich tak nieraz podpuszczam:

– No, kobieta ma inny mózg, mężczyzna ma inny, kto ma lepszy?

Oczywiście jest krzyk. W związku z tym, że na tych spotkaniach, zwłaszcza nieobowiązkowych, jest dużo więcej dziewczyn niż chłopaków, więc zaczynam (oczywiście prowokacyjnie):

– No, tutaj mogę z całą pewnością siebie, bez możliwości popełnienia pomyłki, powiedzieć, że mężczyźni mają mózg lepszy – i w tym momencie pisk dziewczyn! – Przepraszam, nie skończyłem zdania. Z całą pewnością, obiektywnie można

powiedzieć, że mężczyźni mają mózg lepszy do ojcowania, a kobiety lepszy do matkowania!

Naszą tragedią jest, że daliśmy się wpuścić w nonsensowne porównywanie, kto jest lepszy. No, kto jest lepszy, motyl czy słoń? Bzdurnie postawione pytanie. Nie tak! Słoń ma być słońciem, motyl ma być motylem, słoń nie ma latać, motyl nie powinien mieć trąby i kłów. Przez to zamieszanie pojęciowe czasami tracimy radość z bycia sobą. Bo jeżeli kobieta ma być szczęśliwa – a ma być, została do tego stworzona! – to ma być człowiekiem, to znaczy istotą cielesno-psychicznie-duchową. O człowieku trzeba myśleć trójwymiarowo, owszem, kobieta ma mieć zadbane ciało, ale nie tylko ciało. Każdy człowiek ma być „dorozwinięty” fizycznie, psychicznie i duchowo. Dziewczyna, która uwierzyła, że liczy się jedynie ciało i zadbała o nie tak, że wszyscy faceci się za nią oglądają, osiągnęła tak naprawdę efekt: „W zdrowym ciele, zdrowe ciele”. Przecież jej wartość jest nieskończenie wyższa niż piękne ciało. Jej wartość trzeba mierzyć w ważniejszych kategoriach: psychicznych i duchowych. Jej człowiecza, niezbywalna, najwyższa wartość i godność pochodzi stąd, że oto Bóg wcielił się w ciało człowieka i umarł za niego na krzyżu. Ile dziewczątek i kobiet ślęczących godzinami przed lustrem, nigdy nie „miało czasu” o tym pomyśleć! Oczywiście, kobiety mają dbać o siebie. Mówię tutaj z pozycji męskiej, my lubimy patrzeć na piękne kobiety, jesteśmy wzrokowcami, nie odbieracie nam tego – ale nie tylko to się przecież liczy.

Kobieta ma być człowiekiem pełnowymiarowym. Lecz musi być człowiekiem na sposób kobiecy, czyli przeznaczony do matkowania. I każda z kobiet, która ma być szczęśliwa, musi znaleźć teren swojego matkowania. To nie musi być

wyłącznie rodzenie dzieci. (Choćby przykład św. Matki Teresy z Kalkuty.) Dzisiaj coraz częściej dziewczyny tęsknią do karier, które nie mają nic wspólnego z matkowaniem. Jak złośliwie czasem mówię: bizneswoman w przemyśle zbrojeniowym. Totalnie sprzeczne z rolą kobiety, zrobi karierę, zrobi pieniądze, wszyscy jej będą zazdrościć, ale ona nie nasyci się tego typu karierą. Ja o tym zacząłem mówić, od kiedy prowadziłem re-kolekcje wielkopostne w Grecji. W samych Atenach mieszka około czterdziestu pięciu tysięcy Polaków. Już się zaczynał kryzys, defilada z okazji święta narodowego (w marcu) już nie była taka „pełnowymiarowa”. Nie było tych ciężkich sprzętów, tylko piechota szła. Defilada bardzo malownicza, tych formacji szła cała masa i wreszcie ostatnia formacja, taka najcięższa, piechota morska. To był odpowiednik naszych brygad antyterrorystycznych. Czarne spodnie (tzw. bąberki z mnóstwem kieszeni), czarne czapki (z których jednym ruchem można uczynić kominiarkę i zamaskować twarz), karabiny (giwery nadające się do najgroźniejszego filmu), cali poobwieszani nożami, granatami, pistoletami, bagnietami... No, wszystkie narzędzia do zabijania wisiały na tych ludziach uzbrojonych po zęby. Z przerażeniem zauważyłem, że mniej więcej jedna trzecia formacji to były dziewczęta. Młode, piękne, uśmiechnięte, dumne. One są nie gorsze od mężczyzn! One za chwilę będą mordować, za chwilę będą zabijać... Dumne, zadowolone z siebie – tak kroczyły, tak tupały tymi ciężkimi buciorami o bruk. Biedne, ogłupione dziewczyny... Płakać mi się zachciało, bo wyobraziłem sobie swoją córkę w tej roli.

Kobieta ma szukać swojego szczęścia w karierach kobiecych, a więc nastawionych na człowieka, na życie. Ma dawać życie i ma wychowywać do życia w miłości. Kobieta chętnie

pracuje, gdy widzi efekt w postaci radości u człowieka. Gdy widzi, że pomogła człowiekowi. Mężczyzna potrzebuje namacalnego, materialnego efektu swej pracy. Chce widzieć efekt trudu. Wykopał dziurę w ziemi i jest dół. Wydobył coś, pokonał żywioł, zbudował... jest konkret. Słowem, motywacją do wysiłku dla kobiety (normalnej) jest usłużenie człowiekowi, a dla mężczyzny widoczny efekt trudu.

Nieświadomość tych różnic powoduje, że na tym tle zdarzają częste sytuacje konfliktowe w relacji damsko-męskiej, nie tylko na linii mąż – żona.

Przykład: żona się trudziła, żeby przygotować na imieniny dla wujka Franka niespodziankę. Coś zrobiła, oprawiła jakieś stare zdjęcia, straciła na to mnóstwo czasu. Wracają z mężem z imienin i mąż mówi:

- Tyle godzin pracy. A co on z tego ma?
- A widziałeś, jak się ucieszył?
- No widziałem, ale co on z tego ma?
- No ale widziałeś, jak się ucieszył?

Rozmowa jak przysłowiowej gęsi z prosięciem. Jej trud opłacił się, bo ktoś się ucieszył, człowiek się ucieszył, miał przyjemność. Zrobiła przyjemność bliskiej osobie i jest to war-te jej trudu. Ale materialnie nic mu wielkiego nie przybyło. Miara męska jest zupełnie inna. To jest często przyczyną du-żych problemów w relacjach małżeńskich, że my inaczej pa-trzymy na to, co warto, a czego nie warto. Ile żon usłyszało, że zajmują się bzdurami, bo firanki, bo ozdoby, bo ładnie do stołu podaje. Panowie, gdyby tych kobiet, z tą troską o estetykę nie było, to byśmy prawdopodobnie zgnili w naszych chałupach i zarośli brudem. Może tak, ale tworzylibyśmy... wiekopom-ne dzieła. Niech więc każdy robi to, do czego się lepiej nadaje

(do czego został stworzony) i korzystajmy z tego bogactwa oboje. Bylebyśmy tylko ten różny wkład w funkcjonowanie domu i rodziny na równi doceniali! (Piszę to szczególnie do mężczyzn. Byśmy się nie chępli zarabianymi pieniędzmi, bo „bezgotówkowy” wkład żony pracującej w domu jest nie mniej ważny dla funkcjonowania i szczęścia całej rodziny.) Oby żony doceniały (najlepiej podziwiały) wkład męża a mężowie wkład żon w funkcjonowanie rodziny i wówczas będziemy ze sobą (i dzięki sobie nawzajem) szczęśliwi.

Powróćmy do ról (naturalnych – przeznaczonych przez Stwórcę) kobiety i mężczyzny. A zatem kobieta ma znaleźć swój teren matkowania. Najpowszechniejszym i najbardziej oczywistym jest rodzenie i wychowanie własnych dzieci, ale to nie jest jedyny teren matkowania. A co z mężczyzną? Mężczyzna, oczywiście, również ma być człowiekiem pełnowymiarowym. Jednak nie według „nowoczesnych” (czytaj bezbożnych i wynaturzonych) stereotypów lansowanych przez świat. Parę lat temu byliśmy nad Niagarą, w Kanadzie (mieliśmy tam wykłady od rana do wieczora dla licznej Polonii). I widzieliśmy tam taką koszulkę: narysowane schematycznie dwie sylwetki, kobieta i mężczyzna. Kobieta ma serduszek na czole a mężczyzna w kroku. No tak, kobieta „myśli” sercem (jest bezrozumna), o działaniu mężczyzny decydują narządy, jego pobudzenia podkorowe (jest bezwolny). Stereotyp bardzo rozpowszechniony, w który niestety bardzo wielu uwierzyło, uznało za normalne i... kieruje się tym w życiu. Oczywiście, sięjąc spustoszenie. A przecież zarówno nad uczuciami, jak i nad pobudzeniami ciała każdy człowiek (zarówno kobieta, jak i mężczyzna) ma przejąć kontrolę rozumem i wolą. Jeżeli tego nie osiągnie i jako człowiek

nie będzie panował, czy to nad swoimi pobudzeniami ciała, czy nad swoimi uczuciami – zrujnuje życie nie tylko swoje, ale i bliskich (i dalszych też). By nie wylać dziecka z kąpielą, trzeba zauważyć, że istnieje specyfika płci (co akurat rysunek na koszulce podkreślił). W trudzie rozwoju, by zapanować rozumem i wolą nad swoim życiem, kobiety większy problem mają z uczuciami, a mężczyźni z okiełznaniem pobudzeń, zwłaszcza seksualnych.

Wracamy do wątku głównego. Jak kobieta ma się spełnić jako człowiek w wymiarze swego matkowania, tak, analogicznie, mężczyzna ma być człowiekiem na sposób męski, a zatem poprzez ojcowanie. Co to dokładnie znaczy?

Dla każdego mężczyzny w trakcie jego życia ma znaczyć... coraz więcej. Coraz głębiej powinien rozumieć i praktykować swoje ojcowanie. Na każdym etapie rozwoju człowiek rozumny odkrywa coraz to nowe pokłady... mądrości. Punkt ciężkości z pierwotnej troski o ciało, potem psychikę, przesuwają się w kierunku duchowości. Z czasem te same powtórnie czytane teksty zaczynamy rozumieć głębiej, pełniej. Dla mnie nieustannym zdumieniem i odkryciem pozostanie chyba już do końca adhortacja *Familiaris consortio* Ojca Świętego Jana Pawła II (22.11.1981). Nakreślił w niej lakonicznie, dosłownie w kilku zdaniach, wzorzec męskości. Pełny, precyzyjny, wyrazisty, a jednocześnie zwarty, chciałoby się rzec: genialny wzorzec ojcostwa. Nasz święty i mądry Rodak, jako głowa Kościoła go sprecyzował. Co prawda, adhortacja nie jest zabezpieczona gwarancją nieomyłności, jednak (jak wierzymy) powstaje przy asystencji Ducha Świętego. I „nasz Papież” – jak to zwykliśmy mówić – pisze tam o męskości. „Mężczyzna jest odpowiedzialny za sprawiedliwy rozwój wszystkich członków

rodziny” – i tu Ojciec Święty wymienia w czterech punktach, poprzez co mężczyzna ma to osiągnąć: odpowiedzialność za życie poczęte, wspólny z żoną udział w wychowaniu dzieci, pracę zawodową służącą rodzinie i przykład dojrzałej postawy chrześcijańskiej.

A zatem, po pierwsze, dojrzały mężczyzna jest zobowiązany brać odpowiedzialność za skutki swego działania seksualnego. Po drugie, dziecku do prawidłowego rozwoju niezbędna jest obecność ojca w wychowaniu. Po trzecie, praca zawodowa ma służyć utrzymaniu i rozwojowi rodziny, a nie odbierać dzieciom ojca. Po czwarte wreszcie, troska o wychowanie (przede wszystkim przez własny przykład) religijne dzieci i wspólne dojście do świętości całej rodziny spoczywa zawsze na mężczyźnie, który jest tej rodziny głową.

Być mężczyzną to znaczy być ojcem, to jest pierwsze, podstawowe powołanie każdego mężczyzny, wynikające z darowanej mu przez Stwórcę natury – a dalej, w ramach tego zleconego mu przez Boga ojcostwa, obrać drogę powołania i w niej do końca wytrwać. Chyba nie mamy żadnych wątpliwości, że nie tylko biologiczny tata jest ojcem dla swych dzieci, ale także kapłan jest ojcem dla powierzonych pod jego opiekę wiernych. Jak każda kobieta jest powołana ze swej natury do bycia matką, tak każdy mężczyzna jest stworzony do bycia ojcem. Droga powołania małżeńskiego, kapłańskiego, zakonnego – a nawet także służba ludziom poprzez życie samotne – jest niczym innym, jak tylko ukonkretnieniem tego pierwszego, podstawowego wezwania do bycia matką i ojcem, z którego nie może czuć się zwolniony nikt. Albo inaczej, nikt nie osiągnie szczęścia, uciekając od swojej natury, od powołania do ojcowania lub matkowania.

WRAZLIWOŚĆ NA BODŹCE

Gdyby spróbować najkrócej powiedzieć, czym się różni kobieta od mężczyzny, chyba najprostszym wyznacznikiem tych odmienności byłaby zdolność do odbierania bodźców. Kobieta znacznie lepiej rejestruje bodźce delikatne, subtelne, ponieważ ma szerszy zakres rejestracji bodźców przez zmysły. Ma znacznie większą wrażliwość: słyszy rzeczy, których mężczyzna nie słyszy, czuje to, czego mężczyzna nie czuje. Dlatego właśnie geniusz kobiety objawia się w relacjach z ludźmi. I ta dziedzina życia małżeńskiego powinna być bezwzględnie powierzona kobiecie. To ona w małżeństwie ma być ministrem spraw międzyludzkich. W tych sprawach mąż powinien ślepo żony „słuchać się” – i gwarantuję, że dobrze na tym wyjdzie. Jeśli ona trąca go nogą pod stołem, kiedy są na imieninach, on powinien wstać i powiedzieć:

– Przepraszam bardzo, musimy już iść – a nie dowcipnie komentować na głos: – No i co mnie kopiesz pod stołem?!

Jeżeli mąż będzie słuchał żony w tych sprawach – wyśle kartkę z życzeniami tam, gdzie ona mu powie, że trzeba napisać kartkę, wyśle SMS-a tam, gdzie ona mówi, że trzeba wysłać SMS-a, pójdzie z kwiatami tam, gdzie ona go pośle, ubierze się tak, jak ona mówi, że powinien – to będzie zawsze uchodził za bardzo kulturalnego człowieka.

– On zawsze wie, jak się zachować – będą o nim mówili. A on po prostu słucha żony.

Żadna korona z głowy nie spadnie, drodzy panowie. Kobiety czują te sprawy znacznie lepiej.

Z tej wyjątkowej wrażliwości (zwłaszcza te będące sygnałami od ludzi) na bodźce wynika niezwykła kobieca zdolność

do empatii. Kobięca empatia, czyli zdolność życzliwego wczuwania się w sprawy drugiego człowieka, nierzadko osiąga poziom tak wysoki, że dla mężczyzny po prostu absolutnie nieosiągalny. Dlaczego ojca denerwuje płacz jego dziecka? Czy jest nieczułym potworem? Nie, po prostu facet denerwuje się, kiedy jest bezradny. Żona z łatwością rozróżni dziesięć różnych płaczów dziecka. Dla męża po prostu ryczy. Krzyczy do żony:

– Zrób coś, ryczy!

Dziecko płacze, on pojęcia nie ma, czemu, nie umie zaradzić – jest bezradny i... się denerwuje. Dzięki temu, że kobiety potrafią się tak wczuwać w aktualne potrzeby dziecka, to nasze dzieci w wymiarze uczuciowo-emocjonalnym są otoczone odpowiednią opieką i troską. Ich kruche uczucia nie są deptane, potrzeby są zaspokajane nawet na najsubtelniejszych poziomach. A to, że z powodu tej wrażliwości na subtelne nawet bodźce, nasze żony płaczą znacznie częściej, niż byśmy tego chcieli. Co więcej, nie rozumiemy, dlaczego płaczą, że przejmują się „byle drobiazgami” – drodzy panowie, to trzeba wkalkulować w koszty. Cieszyć się z tego, że tak jest – a nie kpić, drwić, szydzić i wyrzucać jej, że... jest normalną kobietą!

Jeżeli człowiek jest zakompleksiony (nie ma zdrowego poczucia swojej wartości), to jak najskuteczniej i najprościej poprawia sobie humor? Dołując drugiego. A jeśli oboje mają zaniżone poczucie własnej wartości i czują się oboje niedocenieni przez drugą stronę, to będą się wzajemnie przyłapywali na wszystkim, co złe, i wypominali to sobie nawzajem. Zamiast doszukiwać się rzeczy dobrych i nawzajem się chwalić, rozkręcając tę lawinę dobra na rzecz małżeństwa, będą sobie tylko wypominać niedoróbki i potknięcia. Przecież to stwarza

nieznośny klimat! Wielu małżonków się wzajemnie „nie znosi”, ponieważ ich małżeństwo jest dla nich „nieznośne”. Sami stworzyli taką atmosferę.

Powróćmy jeszcze do wrażliwości kobiecej. Ta wyjątkowa kobieca empatia owocuje całym wachlarzem bogactwa emocjonalnych przeżyć. Z tego powodu kobiety mają głęboką potrzebę mówienia o tym, co je poruszyło. Jeśli coś porusza uczucia kobiety, jest dla niej bardzo przyjemne lub bardzo nieprzyjemne, ona musi to wyartykułować, wypowiedzieć. I potrzebuje słuchacza, który wysłucha tego, co ona ma do powiedzenia. Kobieta mówi, drodzy panowie, dlatego, że ma przymus komunikowania tego, co nosi w sobie. Jeżeli nosi w sobie jakieś ważne emocje, musi się tym podzielić z kimś bliskim. Nie może tego w sobie utrzymać. (Owszem, może to stłamsić w sobie, ale odbije się to na jej stanie psychicznym a nawet zdrowiu.) To jest cudowne przy małym dziecku, dziecko sobie gaworzy, mamusia odpowiada. Dziecko w niej wywołało dobre emocje, ona to uzewnętrzniła, dziecko odbiera jej radosną reakcję i... napętnia się dobrem. Dzięki temu nasze potomstwo, nasycone uczuciowo, rozwija się prawidłowo, w bezpiecznych emocjonalnie warunkach. Ale mężczyzna, drogie panie, mówi w zupełnie innym celu. Mężczyzna mówi po to, żeby przekazać informację – i jeśli słucha, to po to, aby informację uzyskać. To duża trudność dla mężczyzny, by nauczyć się słuchać żony nie dlatego, że ciekaw jest, co powie, ale dlatego, by spełnić jej potrzebę. Potrzebę wyrzucenia na zewnątrz tej emocji, która siedzi w jej „środku”.

Powiedzmy, kobieta jest po raz pierwszy cały dzień sama w domu, z pierwszym dzieckiem, tuż po urodzeniu. Wczoraj wyszli oboje ze szpitala. Jest w domu sama, mąż w pracy, nie

ma mamy, nie ma siostry, nie ma koleżanki, nie ma położnej. Każda mama chyba doskonale pamięta ten stan, nie muszę tłumaczyć. Dziecko zasnęło. Nie rusza się. Chyba nie żyje! Są dwie szkoły: albo się przykłada ucho, albo lusterko. Zaparowane – żyje...! Potem się obudziło, zrobiło kupkę o 8.15, ale taka ta kupka jakaś smużysta. A później o 11.00 drugą, ale taką jakąś zielonkawą z bąbelkami! Czy to już trzeba do szpitala...? Nakarmiła je, ale dostało czkawkę i całe ciało mu podskakuje... Czy ono w ogóle to wszystko przeżyje?! Kobieta przez calusieńki dzień skacze wokół niemowlęcia, nie zdążyła się ubrać, uczesać, porządnie zjeść (coś tam chwyciła w locie), oczywiście domu nie sprzątnęła, obiadu mężowi nie ugotowała, to jest zupełnie jasne – i cały czas na najwyższych obrotach emocjonalnych! Jest wykończona! Wchodzi mąż po dziesięciu godzinach pracy i co w takiej sytuacji robi normalna, zdrowo reagująca kobieta...?

– Dobrze, że jesteś! Ty, słuchaj, rano jak zasnęło, myślałam, że nie żyje, ale żyło, po 8.00 zrobiło kupkę, ale taką smużystą, o 11.00 drugą, zieloną...

Drogie panie! Nas naprawdę to nic a nic nie obchodzi! I wcale nie dlatego, że jesteśmy wyrodnymi ojcami! Po prostu jesteście facetami, nas nie interesuje relacja z trasy, tylko wynik końcowy!

– Żyje?

– Żyje...

– No, to w porządku!

Natomiast każdy normalny facet, jeżeli żona go wezwie do konkretnego działania, zareaguje. Nie wyobrażam sobie takiego zwyrodnialca, który nie zawróci natychmiast z progu, słysząc na powitanie:

– Słuchaj, alarm! Natychmiast musisz zawieźć dziecko do szpitala! – żeby nie wiem jak był zmęczony i nie wiem jak egoistycznie nastawiony do życia, z miejsca zawróci od drzwi i pojedzie z dzieckiem do szpitala. Bo facet jest stworzony do czynu, nie do słuchania o kolorach i konsystencjach kupki!

Tu jednak moja bardzo poważna rada: drodzy panowie, pomimo sprzeciwu całej waszej natury, skupiajcie uwagę na tym, co mówi żona. Słuchajcie nie dlatego, że was materia, o której żona mówi, interesuje, tylko dla dobra waszego małżeństwa. Większość mężczyzn wchodzących w małżeństwo nie ma pojęcia, że zaciąga się do takiej roboty: wysłuchiwanie wszystkiego, co żona ma do powiedzenia. Ja nie wiem, czy to nie jest najtrudniejsze zadanie mężczyzny w małżeństwie: wysłuchiwać o tych wszystkich rzeczach, którymi przejmują się żony, a które jego w ogóle nie interesują. I nie muszą go interesować! Jego ma interesować żona! Jeśli żona ma taką potrzebę – jeśli ma jakąkolwiek potrzebę, która jest spełnialna – należy ją spełnić. I wysłuchać z życzliwą sympatią. Nie musisz nawet udawać, że cię to interesuje, po prostu zaspokój jej potrzebę bycia wysłuchaną, ponieważ to jest jej naturalna, absolutnie pierwsza potrzeba, która koniecznie musi być zaspokojona.

Żona jest prawdziwą kobietą, potrzebuje wyrzucenia z siebie tego, co siedzi w jej sercu, w jej emocjach. Jeżeli tego nie zaspokoisz, żona to przerzuci na kogoś innego. Jak będzie to mamusia, będziesz jej wygrażał:

– Jak tak można, godzinami wisieć na telefonie?! O czym ty w ogóle z tą matką gadasz, weźże raz wreszcie odetnij tę pępowinę!

Jeżeli będzie to koleżanka z pracy, będziesz jej pryncypialnie zabraniał:

– Ja sobie nie życzę, żeby nasze intymne sprawy do pracy wynosić! Czyś ty wyszła za mąż za mnie, czy za cały ten wasz sekretariat?!

Ale, drogi panie, jeśli ty nie wysłuchujesz swojej żony, to raczej ciesz się, jeśli robi to tylko mamusia lub przyjaciółka... Bo jeśli trafi się mężczyzna, który z całą uwagą twojej żony wysłucha – może ze zwykłej życzliwości a może z premedytacją – to ten mężczyzna w tym momencie spełni największą potrzebę uczuciową twojej żony. Tę, której nie zaspokoiliś ty, jej mąż. I jeżeli wówczas wytworzy się pomiędzy nimi uczuciowa więź, to może być już pierwszy krok do tragedii. A to dlatego, że w dzisiejszych czasach ludzie nagminnie myślą swoje dobre uczucia z miłością, która jest decyzją woli. I jeśli twojej żonie i temu facetowi również się to pomyli, obudzisz się któregoś dnia sam. Tam były naprawdę dobra uczucia (z twojego zaniedbania) i oni to nazwali... miłością. Ile małżeństw rozpadło się dlatego, że żona czuła się niewysłuchana, a mąż nie miał o tym bladego pojęcia!

ZDOLNOŚĆ DO KONCENTRACJI I PODZIELNOŚĆ UWAGI

Ze struktury mózgu wynika, że kobieta ma większą zdolność do odbierania równocześnie wielu bodźców i radzenia sobie z dużymi bazami danych. Może, na przykład, rozmawiać z kilkoma osobami jednocześnie. Wiele razy przy różnych okazjach szczerze podziwiałem panie sekretarki w instytucjach i biurach, które przy jednym uchu miały jedną słuchawkę, przy drugim drugą, a w tak zwanym międzyczasie załatwiały ze stojącym przy biurku petentem rzecz

trzecią – i z uśmiechem jeszcze kłaniały się wchodzącemu czwartemu. Facet by fioła dostał! Może i są jacyś wyjątkowi mężczyźni na tych stanowiskach, ale kobiety są po prostu w tym naturalnie lepsze. A jeszcze trzeba być w tym wszystkim miłym, trzeba się uśmiechać, swoim urokiem zażegnać jakieś niebezpieczeństwo wiszące nad głową dyrektora... No jakoś tu faceta nie widzę.

O ile kobiety mają większą podzielność uwagi i szerszy zakres rejestracji zmysłów, to mężczyźni potrafią lepiej skupić się na jednej, konkretnej sprawie. Ujmując to obrazowo, mężczyźni potrafią wykonać więcej kroków myślowych do przodu, ale za to w poprzek cieniutko. Mężczyzna jest zdecydowanie lepszy w planowaniu dalekiej przyszłości, dlatego to właśnie jemu należy to zostawić na gruncie każdej rodziny. Terenem aktywności kobiety powinny być natomiast sprawy bieżące, dotyczące życia codziennego, zwłaszcza relacji międzyludzkich. Warto o tym wiedzieć, ponieważ dokonanie takiego podziału zadań nieprawdopodobnie usprawni funkcjonowanie całego domu.

Trzeba też mieć świadomość dlatego, że nie rozumiejąc naturalnych różnic, zupełnie bez złej woli, bardzo często nie spełniamy wzajemnie naszych potrzeb i oczekiwań. Kobieta rzadko rozmawia z mężczyzną na temat, który jego interesuje – ponieważ ją absorbują sprawy międzyludzkie i aktualnego otoczenia, w którym żyje. Tu i teraz jest cały jej bogaty świat. Kobieta żyje teraźniejszością, mężczyzna chce porozmawiać o konkretach, mających znaczący wymiar materialny i o dalekiej przyszłości. O tym, co będzie za sto lat z jego rodziną. Mąż to by chciał pogadać o tym, że za dziesięć lat wybudujemy dom na wzgórzu, tam zamieszkają nasze dzieci, potem wnuki,

prawnuki... Na głównej ścianie będzie drzewo genealogiczne, na samym dole, w korzeniach Jacek i Jadwiga, protoplaści rodu. I pod tym drzewem, przy stole, nasze prapraprawnuki będą się spotykać, celebrować rodzinne uroczystości i wspominać swych przodków... Przeciętna żona mówi raczej o tym, co mąż ma powiesić na ścianie salonu do jutra (najlepiej w ogóle teraz, od razu, przed kolacją...).

Ta kwestia różnych zainteresowań i odmiennego patrzenia na... wszystko bywa źródłem wielu zawodów. Niespełnione oczekiwania rodzą frustracje i nieporozumienia. Nie ze złej woli, tylko z nieświadomości odrębności płci. Niestety, małżeństwa nie mają elementarnej wiedzy o różnicach między płciami. Sądzę, że dobrze zilustruje to pewien wymyślony przeze mnie przykład. Mianowicie, mąż i żona jadą pociągiem. Ona nie wzięła ze sobą żadnej książki, w komórcie brakuje zasięgu, nie mają też akurat przy sobie marchewki, którą ona mogłaby właśnie obierać, słowem – żona nie ma co robić. I mąż się decyduje: teraz albo nigdy! I rozpoczyna swój wywód, o co mu w życiu chodzi. Koncentruje się maksymalnie, napina wszystkie mięśnie, półwstaje z siedzenia, patrzy jej prosto w oczy, pełna koncentracja, skupienie na tym co mówi – żeby ona raz wreszcie zrozumiała, o co mu w tym życiu chodzi! I właśnie w tym momencie, w szczytowym punkcie jego wywodu o życiowym planie, ona wskazuje palcem za okno i mówi:

– Zobacz, zobacz, sarenka za oknem...!!

Ona zachowała się jak normalna kobieta. Bo ma w sobie emocje i chce się nimi podzielić. Od razu – przecież za chwilę sarenki nie będzie! Natomiast, uwierzcie, drogie panie: na taki sygnał, wysłany w takim momencie przez kobietę, trzeba naprawdę dużej klasy mężczyzny, żeby się w ogóle opanował.

Nie mówiąc uśmiechną! Jaki wniosek przeciętnego mężczyzny? Ona sobie ze mnie, po prostu, zakpiła! Ja jej mówię o najważniejszych, życiowych sprawach – a ona coś o sarenkach! Więcej, ona mi to na złość zrobiła, specjalnie, perfidnie, chciała mi pokazać, jaki jestem dla niej mało ważny!

Jeżeli rozmawiasz z mężem, to nie obieraj w tym czasie marchewki. Ja wiem, że to jest strata czasu – ale mimo to zostaw marchewkę, usiądź i popatrz mu w oczy. Chociaż dla ciebie oczywiste jest, że od patrzenia w oczy nic lepiej nie będzie słyszeć niż podczas patrzenia na marchewkę. Chodzi o to, żeby on się lepiej czuł, ponieważ jeśli już zdecydował się coś powiedzieć, to musi to być dla niego ważny temat. Zdarza się, że mąż wraca z pracy i próbuje opowiedzieć ci coś ważnego, na przykład jakiś problem zawodowy – a ty akurat obierasz marchewkę. Masz podzielność uwagi, więc, oczywiście, obierając, słuchasz tego, co on ci opowiada, to jasne. I nagle on robi się wściekły i obrażony, ponieważ chciał ci przekazać coś ważnego, a ty go lekceważysz! Dlaczego? To bardzo proste: ponieważ gdyby to on obierał marchewkę, zupełnie by w tym momencie nie słyszał, co ty do niego mówisz. Niestety, własne ograniczenia przypisujemy automatycznie drugiemu, nie licząc się z innością osób (każda osoba jest „osobna”), nie mówiąc już o inności wynikającej z różnic płci.

Nie potrzeba absolutnie żadnej złej woli, aby się głęboko poranić i oskarżyć o nieżyczliwość a nawet wprost złośliwość. Ta wiedza (i płynąca z niej świadomość) o specyfice uwarunkowań psychiki męskiej i kobiecej jest całkowicie niezbędna, aby się wreszcie przestać wzajemnie oskarżać.

Prosty, życiowy przykład w kwestii podzielności uwagi. Ja, oczywiście, mogę skutecznie zająć się trójką dzieci – ale ktoś

będzie musiał ugotować nam obiad. Mogę też bez większych problemów ugotować obiad, ale niech ktoś się w tym czasie zajmie dziećmi. A moja żona zajmie się dziećmi, ugotuje obiad, mijając leżący na stole telefon przy okazji gdzieś zadzwoni, przechodząc obok łazienki przy okazji nastawi pranie... Przy okazji zrobi jeszcze tysiąc kolejnych rzeczy, wszystko na raz, z łatwością. Dla mnie jest to absolutnie cudowna, całkowicie nieosiągalna kobieca cecha, o której mogę sobie co najwyżej pomarzyć w upojny wieczór, gdy siedzę zawałony spiętrzonymi zadaniami, pracując znów po godzinach.

Mężowie bardzo często zarzucają żonom, że w tym samym czasie oni zrobią jedną rzecz od początku do końca, a one pięćdziesiąt do połowy. Słowem, rozgrzebią wszystko a niczego porządnie nie skończą. Panowie, gdyby żona działała „liniowo”, zaczynając następną rzecz po skończeniu poprzedniej, to poniedziałkowy obiad dostałbyś najwcześniej w... sobotę. Spora jednak część mężów ma wielkie pretensje do żon, że są słabo zorganizowane, ponieważ nigdy nie kończą tego, co zaczęły. Cały dom rozgrzebany, no jak tak można?! Drodzy panowie, pomyślny logicznie, to są proste rachunki. Ja bym zrobił 100% jednej rzeczy, a żona w tym samym czasie zrobi 50% jednej, 40% drugiej, 60% trzeciej i 15% czwartej – i tak do 500% normy wyrobi każdego dnia. Przewodnicy pracy minionego ustroju mogą się schować zawstydzeni. A mąż się wścieka:

– Popatrz na mnie, jak ja zacznę, to skończę, a ty rozgrzebiesz wszystko...!

Tak, drodzy panowie, wokół każdej normalnej kobiety kłębi się mnóstwo niedokończonych robót. Nie narzekaj, tylko się z tego ciesz, bo masz niezłego robota w chałupie. Wystarczy tylko przejść się po domu za nią i podokańczać to, co ona

zaczęła. Mężczyzna, który weźmie się za wykańczanie spraw rozpoczętych przez żonę, wspaniale popycha funkcjonowanie domu. Mało tego, jeszcze spływa na niego cały splendor, bo przecież to on doprowadził do końca, po którym widać jest efekt!

Weźmy przykład: żona zrobiła dziś pranie. Oznacza to, że poselekcjonowała ciuchy według różnych gatunków materiałów, następnie według kolorów i barwników (niektóre farbują). Wybrała odpowiednią temperaturę i funkcje prania (programator – dwie gałki, dziesiątki kombinacji). Dobrała odpowiedni proszek (są różne do białych, kolorowych...), wlała płynu (nie pytaj, po co), do określonych miejsc wewnątrz pralki. Bo nie każdy z panów to wie – ja po czterdziestu z hakiem latach małżeństwa już tak – że istnieją różne kategorie tkanin, niektóre dodatkowo farbują, ponadto, istnieją różne rodzaje proszków, odpowiednie dla tych różnych, różnie barwionych tkanin oraz dopasowane do tego ściśle określone programy prania w danych temperaturach, z odpowiednią liczbą płukań i przy użyciu konkretnych środków piorących o zróżnicowanej konsystencji (do dzisiaj jest dla mnie zagadką, kiedy trzeba wlać płyn, kiedy wsypać proszek, a kiedy wrzucić kapsułkę). Jakbyśmy sobie policzyli, ile jest możliwych kombinacji przy nastawieniu jednego prania, okazałoby się, że rzeczywiście potrzebny nam robot, a może nawet komputer. A tu, proszę, wszystko ogarnia żona!

I jedyne, czego ta twoja żona nie zdążyła przed twoim powrotem do domu zrobić, to wyjąć upranego już prania i rozwiesić do suszenia. A co ty robisz? Wchodzisz do domu, zdejmujesz płaszcz i buty, idziesz skorzystać z łazienki widzisz

świecąca się lampkę na palce. No tak pranie niedokończone! Zostawiła pralkę z zalegającym mokrym praniem... I zaczynasz, jeśli już nie na głos, to przynajmniej w myślach:

– Człowiek wraca skonany, tyra cały dzień, a ta siedzi w domu i nawet głupiego prania nie rozwiesi! Co za baba...!

Spokojnie, nie wrzeszcz na nią. Po prostu wyjmij po kolei wszystkie ubrania, strzepnij, rozprostuj i powieś na sznurku, każdą sztukę osobno. Nie dociekaj, dlaczego żona tego nie zrobiła – co z całą pewnością zajmie ci dużo czasu, spali mnóstwo twojej energii i gwarantuję, że skończy się małżeńską awanturą – tylko, po prostu, to zrób. I ciesz się, że nie musisz robić w całości! Docień, ile robić dzięki niej nie musisz! Jeśli to dokończysz, to będzie coś zrobione i będzie coś do przodu – to jest mądre podejście mężczyzny. Słowem, zamiast robić godzinny wykład żonie, że jest beznadziejną gospodynią, żoną i matką, bo właśnie zobaczyłeś świecąca się lampkę na palce po skończonym praniu, to skręć gałkę (zgaśnię lampka), otwórz pralkę, wyjmij pranie, strzepnij i rozprostuj (nie pytaj, po co) i powieś. Proste czynności idealnie nadają się dla mężczyzny.

A dla złagodzenia rozdzieranych całymimi latami uczuć poczucia rozżalenia (z powodu niedoceny) dobrych i oddanych żon, gospodyń domowych napiszę tylko jedno. Drogie panie, rzeczywistość jest tak, że kiedy mąż wraca do domu, to jeśli z tych stu rzeczy, które były w domu do zrobienia, żona zrobiła dziewięćdziesiąt dziewięć, on tę jedną niezrobioną od razu zauważy. I on naprawdę nie robi tego złośliwie, to po prostu tak z pozycji mężczyzny widać. Niekoniecznie musi być tak, że my nie doceniamy waszej pracy. Ale z drugiej strony

mężczyźni też bardzo często nie są doceniani za to, co robią dla domu i rodziny. Oni rzeczywiście nieraz bardzo ciężko pracują, aby zapewnić rodzinie byt, właściwy poziom życia – a kiedy wracają do domu skonani, bywają niemili. I żony widzą tylko to ostatnie.

Tak więc wyłania się jeszcze jeden poważny problem, bardzo raniący i bolesny dla wielu naprawdę dobrych żon i matek. Otóż, większość mężów nie docenia ogromu pracy, jaką każda normalna żona wkłada w funkcjonowanie w codzienności rodziny i domu. Bardzo wielu mężczyzn żyje w przekonaniu, że oto on ciężko pracuje, a żona bawi się z dziećmi w domu. A czemu? Skąd się to bierze? Trochę z natury mężczyzny a trochę z jego „niedouczenia”. W tym „niedouczeniu” poważne zaniedbania są również po stronie kobiet, które potem cierpią z tego powodu. Mężczyzna generalnie bardziej ceni efekty materialne. Tak więc praca nie przynosząca bezpośrednio pieniędzy lub innych wymiernych, trwałych efektów... nie jest pracą. Jak już wspomniałem, przeciętny mężczyzna nie dostrzega (bez złej woli) tysiąca zrobionych drobiazgów, za to widzi jeden niezrobiony. Ale też jest faktem, że mamusi zazwyczaj słabo przyuczają synków do szanowania ich pracy. Podobnie siostry braci, koleżanki kolegów, narzeczone narzeczonych i w końcu żony mężów. Drogie panie, przecież wy same, będąc z małymi dziećmi w domu, mówicie o sobie:

– Jestem niepracująca!

Mężowie patrzą z perspektywy własnej pracy zawodowej, niejednokrotnie bardzo ciężkiej, to prawda – i nie dostrzegają, że niechodzenie do pracy nie oznacza, że tej pracy nie ma. Kobieta, która jest w domu z trójką małych dzieci, rzeczywiście nie jest pracująca – ona jest harująca.

Niestety, wiele żon zaharowuje się w ukryciu, chroniąc swych mężów przed świadomością, że w domu jest cała masa roboty. (Często w końcu nie wytrzymuje i wybucha z pretensjami do męża, naprawdę zupełnie niewiedzącego, o co chodzi.) Ile żon, wyjeżdżając do chorej mamusi na dwa dni, szykuje mężowi uprzednio w stosikach ubranka dzieci, ze szczegółową instrukcją:

– To na rano, to na popołudnie, a gdyby się zrobiło nagle bardzo zimno, to jeszcze to...

Słoiczki zostawiają w lodówce oklejone karteczkami: „poniedziałek rano”, „poniedziałek obiad”, „poniedziałek kolacja”... Co zrobi mąż? Wszystko wykona według tych instrukcji – i nadal będzie trwać w przekonaniu, że w czasie, gdy on jest w pracy, żona w domu bawi się z dziećmi bez troski. Dlaczego? Bo mężczyźni są świetni w wykonywaniu prostych instrukcji, wypełnianiu czynności według szczegółowego, z góry przygotowanego planu. (Zaskoczony wieloma sprawami naraz, a tak zawsze dzieje się w domu z dziećmi, często się gubi.) Po szczegółowym przygotowaniu wszystkiego przez żonę w ogóle nie odczuje trudności zakresu wykonywanych prac – ani tego, ile pracy żona musiała włożyć przed wyjazdem w przygotowanie mu planu działań. A gdyby któraś żona wyjechała tak, jak stoi, rzucając w drzwiach:

– Kochanie, dasz sobie radę, prawda?

Oczywiście, dam sobie radę i przy okazji pokażę, jak powinien funkcjonować dom! Wszystko zaplanowane, pójdzie jak po sznurku. Tyle, że o 20.00 wieczorem podchodzi, otwiera pojemnik na chleb, patrzy – a tam nie ma chleba... A zawsze jak się otwierało – to był chleb! Poszedł do osiedlowego sklepu – zamknięty, był czynny do 18.00. Podjechał do

supermarketu – kolejka, wrócił za dwie godziny. W tym czasie dzieci, którym kazał odrabiać lekcje (w oczekiwaniu, aż tatuś zrobi kolację...), zajęły się czymś zupełnie innym, godzina 22.00, a lekcje nieodrobione! On miał całe życie takie doskonałe recepty na wszystko – i nagle się okazuje, że nie wystarczy wymyślić plan, trzeba jeszcze to zrobić, dopilnować, wykonać ciężką, konkretną robotę! W tym wypadku po dwóch dniach nieobecności żony „czekałby z kwiatami na peronie”, modląc się, żeby się pociąg nie spóźnił! „No jasne, że da sobie radę!” (Tak, mężczyzna jest dobry w robieniu i wypełnianiu planów strategicznych, a kobieta jest mistrzynią w improwizacji w zaskakujących codziennych sytuacjach. Wykorzystajmy to z pożytkiem dla małżeństwa i funkcjonowaniu domu.)

Dla mężczyzny każda praca jest absorbująca, ponieważ on w każdą wchodzi całym sobą. Jeśli on coś robi, koncentruje się na tym i świata poza tym nie widzi. Mam taki cudowny przykład kolegi naukowca. Kiedy rozwiązuje jakiś problem naukowy, wówczas chodzi i opowiada o swoich pomysłach na rozwiązanie niemalże wszystkim – także portiera i pani sprzątającej. Jestem pewien, że kiedy nad czymś myśli, nie ma pojęcia, co zjadł na obiad. Normalny, klasyczny facet. Tymczasem kobietę często do szału doprowadza to, że kiedy mężczyzna się na czymś koncentruje, nie widzi poza tym świata – to znaczy jej...

On naprawia, dajmy na to, telewizor, w pokoju, a ona woła go z kuchni na kolację. Ona woła raz, drugi, trzeci, a on za każdym razem odpowiada:

– Tak, kochanie, już idę!

I nie przychodzi, oczywiście. Po dwudziestu minutach ona nie wytrzymuje, idzie do niego i zdenerwowana pyta:

- No, czemu nie przychodzisz na kolację?!
- A jest już kolacja? No to czemu nie wołaś...?
- Przecież wołałam! Odpowiadałeś!
- Oszalałaś, jak mogłem odpowiadać, kiedy nie wołałaś?!

Czy on stracił rozum? Nie, zwyczajnie nie rejestrował tego, co słyszy i całkowicie bezwiednie odpowiadał. Banalna sytuacja, ale małżonkowie mogą się naprawdę niezłe poobrazić na siebie nawzajem – zwłaszcza jeśli ona prosiła go o zreperowanie tego telewizora już miesiąc temu. Tymczasem wystarczy, żeby następnym razem, kiedy znowu on postanowi naprawić jakiś sprzęt w porze kolacji, aby ona podeszła, chwyciła za poły, odwróciła twarzą do siebie i pomachała mu przed nosem:

- Widzisz mnie? Słyszysz mnie? Kolacja na stole!

Być może panie się o to obruszą, ale warto w takiej sytuacji dodać też:

- Przepraszam, że ci przerywam, kochanie.

I oczywiście, nie przepraszam za to, że zrobiłam kolację, ani za to, że uczyniłam coś złego – ale przepraszam, bo wiem, że jemu ciężko jest się oderwać od tego telewizora, skoro po miesiącu się wreszcie za niego wziął. To słowo „przepraszam” jest tu na miejscu, ponieważ mam świadomość trudności, jakie mężczyzna ma z oderwaniem się od tego, co aktualnie robi i na czy jest skoncentrowany. Uwzględnienie naszych wzajemnych ograniczeń i trudności psychicznych jest dowodem miłości, a nie przegraną, poniżeniem się, nie szanowaniem siebie. Przeciwnie, jest dowodem mądrości i miłości. Dlaczego nie mamy być dla siebie mili i dobrzy, przez szanowanie wzajemnych ograniczeń?

By przekonać się, jak inaczej reaguje kobieta i mężczyzna w praktyce, zróbmy prosty eksperyment: dziewczyna czyta

książkę. Przechodząc obok, niby niechcący wytrącamy jej książkę z ręki. Ta spada i się zamyka. Co robi normalna dziewczyna, młoda kobieta? Podnosi książkę, znajduje miejsce, w którym czytała – i czyta dalej. Weźmy teraz identyczną sytuację z chłopakiem. Co robi? Wściekły chłopak, młody mężczyzna (przerwano mu) podnosi książkę i mówi z wyrzutem:

– Przerwałeś mi! Teraz będę musiał zaczynać od początku! I, oczywiście, ostentacyjnie otworzy na pierwszej stronie...

Różnimy się także sposobem odpoczywania. To bardzo ważna sprawa. Obrazowo mówiąc, kobiecie wystarczy odpoczynek po minucie, w trzydziestu odcinkach – mężczyzna potrzebuje pół godziny w jednym kawałku. Kobieta ma umiejętność odpoczywania w tak zwanym międzyczasie – to sobie gazetkę poczyta przez chwilę, to sobie przysiadzie na kilka minut, to się położy na chwilkę... Facet, żeby odpocząć, potrzebuje tej samej ilości minut, ale w jednym kawałku. Jeśli mąż przyszedł z pracy i ty proponujesz mu:

– Kochanie, to ja podgrzeję obiadek, a ty weź się połóż, odpocznij sobie pół godzinki – to nie przychodź do niego po piętnastu minutach, żeby mu zaszczebiotać:

– Kochanie, ty sobie odpoczywaj, powiedz mi tylko, czy ty mnie kochasz...? – koniec, odpoczynek został przerwany, mężczyzna musi odpoczywać od nowa!

DOCENIANIE ZALET WSPÓŁMAŁŻONKA

Człowiek dobrze funkcjonuje wtedy, kiedy ma zdrowe poczucie własnej wartości. Ludzie dobrze funkcjonują w relacjach, w których nawzajem wspierają się w budowie zdrowego

poczucia wartości. Dlatego powinniśmy sobie nawzajem dowartościowywać, ćwiczyć się w dostrzeganiu i docenianiu zrobionych rzeczy dobrych. Wtedy będzie nam ze sobą dobrze, a nasza relacja miłości małżeńskiej będzie wzrastać. To niby jest oczywiste – warto jednak wiedzieć, co konkretnie starać się zauważać. Mianowicie, mężczyźni mają doceniać piękno i dobroć kobiet. Tak, dla kobiety ważne są wartości estetyczne i moralne. A, z kolei, kobiety powinny doceniać mądrość, siłę i sprawność mężczyzn. Nie ma na świecie mężczyzny, który nie potrzebowałby usłyszeć z ust ukochanej kobiety słów uznania, że zachował się mądrze i zrobił coś dobrze, że ona jest z niego dumna. I nie ma na świecie kobiety, która nie pragnęłaby dostrzec w oczach ukochanego mężczyzny zachwyty, że jest piękna i dobra, wrażliwa, wyjątkowa i dla niego jedyna. Kobieta ma być doceniana za to, że jest piękna i dobra, że tworzy piękno i szerzy dobro. Ale warto wiedzieć, że jej piękno wyraża się nie tylko buzią i sylwetką, również obrusem i udekorowaniem stołu, kwiatkami w ogródku... Mężczyzna ma być doceniany za swoją postawę i za to, co konkretnie robi dla tego małżeństwa, dla rodziny.

Braki w docenianiu są, niestety, powszechne i to po obu stronach. Bo żeby odpowiednio docenić drugiego, trzeba trochę przekroczyć siebie. Trzeba (w dobrym tego słowa znaczeniu) zmusić się, wysilić, by zauważyć i co najmniej słowem docenić postępowanie drugiego. Tak, ale nie zrobimy tego, gdy wcześniej nie uwierzymy, jak to jest ważne dla budowy relacji. W przeciwnym razie będziemy się kierować powierzchownym odczuciem. I tu egoizm nie pozwoli nawet zauważyć, już nie mówiąc docenić, dobrych działań drugiego. Bo jak ma podziwiać męża żona, która nie czuje się „noszona na rękach” przez męża, nie

odczuwa jego wdzięczności. Ale, jak on ma być wdzięczny, jeśli tego nie widzi? Jeśli mamusia obsługiwała synusia – a była zawodowcem, w dwadzieścia parę lat wytresowała jego żołądek, przyzwyczajając do swojej kuchni – to jak on ma być wdzięczny, gdy żona nadludzkim wysiłkiem osiąga jedną trzecią tego poziomu...? Podobnie wiele żon podświadomie porównuje męża do swego ojca, zapominając, że ten ojciec na początku też pewnie nie najlepiej funkcjonował. Pamięta go z czasów, gdy po dwudziestu kilku latach już się z mamą dotarli (zakładam wariant dobrego, kochającego się małżeństwa).

U nas w domu materialnie było bardzo skromnie. Była nas trójka, tato ciężko pracował, ale nie należał do partii. Szynek widzieliśmy raz do roku, na Wielkanoc, o ile dobrze pamiętam. A gdy kiedyś, pamiętając własne dzieciństwo, tłumaczyłem jednej pani, będącej w wieku mojej matki, że mąż stara się, zarabia, dom sam wybudował w ciężkich czasach, usłyszałem pogardliwe:

– To jego „psi” obowiązek! (W miejscu „psi” było gorsze słowo, ale przez wzgląd na czytelników go nie zacytuję.)

Dawno temu (epoka późnego Gierka) do poradni przychodzi małżeństwo, pod sześćdziesiątkę. Siadają. Ona skulona, przycupnęła niepewnie na brzegu krzesła. On wygląd niezadbany, bardzo otyły, rozwalił się pewnie na fotelu i zaczął pierwszy:

– Proszę pana, o czym tu gadać? Moja żona beze mnie byłaby zerem, niczym, w rynsztoku by skończyła, gdyby nie ja. To cała prawda o naszym małżeństwie!

Na co ona odpowiedziała:

– Tak? A on to jest, proszę pana, skończony leń i dar-mozjad!

W czym była rzecz? On był jedynym żywicielem rodziny – żony i czwórki dzieci. Prawdopodobnie ona nie umiała w pełni tego docenić, więc on to zaczął eksponować nadmiernie, aż w końcu doszedł do krańcowej pogardy dla niej. Przecież ona nic nie znaczy, bo nie zarabia pieniędzy. Z drugiej strony wyglądało to tak, że on, powróciwszy z pracy, pobyt w domu traktował jak zasłużony odpoczynek: kładł się i nie robił dokładnie nic dla domu. Absolutnie, w niczym nie zajmował się dziećmi. Wszystko jak jego tato (co wyszło w dalszej rozmowie). Coś do niego dotarło dopiero po pytaniu, czy jego pensji na pewno starczyłoby na opłacenie: kucharki, sprzątaczk, niania dla dzieci, korepetytora do odrabiania lekcji... To samo małżeństwo byłoby w zupełnie innej kondycji, gdyby doceniali nawzajem to, co oboje robią dla rodziny. Gdyby sobie wzajemnie nieustannie dziękowali i doceniali siebie nawzajem, to w identycznych realiach życia mogliby być naprawdę oboje przeschczęśliwi! Gdyby on jej nieustannie dziękował i podziwiał za to, że tak ofiarnie zajmuje się domem i czwórką dzieci, a ona jemu, że tak ciężko na to wszystko pracuje, mogłoby być zupełnie inaczej.

Ile żon całymi latami ciosa kołki na głowach swych mężów, jak w tym znanym kawale:

– Niedojda jesteście! Skończona niedojda! Gdyby były mistrzostwa świata niedojdów, to byś zajął... drugie miejsce!

– A dlaczego drugie?

– No, bo taka niedojda jesteście!

Poczucie porażki za porażką. Nieustanna krytyka i pretensje. Żadnemu mężczyźnie to nie pomoże. (Bez względu na to, ile rzeczywiście racji ma żona.) A ilu mężów żartuje sobie z wyglądu, tuszy żony? Panowie, ostrzegam, to w żadnym

wypadku nie jest teren do żartów! A jednak, idę o zakład, że każda z czytających te słowa żon przy odrobinie wysiłku mogłaby sobie przypomnieć chwilę, gdy usłyszała od męża, że jest piękna, ładnie wygląda, albo że zrobiła coś dobrego (w sensie dobroci płynącej z wrażliwości uczuciowej). I nawet jeśli żona ma takie wewnętrzne poczucie – słuszne bądź nie – że mąż nie powiedział tego tak do końca bezinteresownie, to niech nawet i tak będzie. Naprawdę, założę się, że każda z żon przypomni sobie taki moment, w którym usłyszała od męża (znacznie mniej od niej „utalentowanego” w kierunku budowy relacji) choć jedno dowartościowujące ją zdanie. A która z pań, z ręką na sercu, pamięta dokładnie, kiedy spojrzała w oczy mężowi i powiedziała z pełnym, nieudawanym zachwytem:

– Jaki ty jesteś mądry! Jak ty to świetnie wymyśliłeś! Jak ty genialnie, wszystko zawczasu przewidziałeś i zaplanowałeś! Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Dla takich słów, jeśli są wypowiedziane szczerze, facet jest w stanie dać się pokroić w plasterki! Wszystko robi, nic nie będzie za trudne! Mężczyzna szczerze podziwiany przez kobietę robi dla niej absolutnie wszystko. Jest takie powiedzenie: „Mężczyzna bardzo długo pozostaje pod wrażeniem, jakie... zrobił na kobiecie”. Daleki jestem od zachęcania do płytkiej manipulacji. Ale warto wykorzystać tę wiedzę o męskiej naturze z miłością, dla dobra mężczyzny – i dla wspólnego dobra całej rodziny. Bo skoro żona twierdzi, że ma w domu niedojdę, to niech nie oczekuje, że ta niedojda zrobi coś sensownego. Ona nadała mu takie imię i on w tę rolę wszedł. (Być może dla wygody, z lenistwa.) Trochę konsekwencji, drogie panie. Jeśli żona czuje się uprawniona (a może nawet zmuszona), by we wszystkim męża poprawiać, ma go za głupka,

który nic nie umie i na wszelki wypadek odsuwa go od wszelkich działań – także i tych intymnych, w małżeńskiej alko- wie – a potem oczekuje, żeby on cudownie funkcjonował, to z pewnością się zawiedzie. I, oczywiście, zawiedziona, dodat- kowo jeszcze ugruntuje się w swoim przekonaniu, że wyszła za mąż za kompletnego niedojdę.

Kobiety i mężczyźni lubią też inny rodzaj pracy. Mężczyź- ni lubią prace konkretne, gdzie są duże, materialne, widoczne gołym okiem efekty. Czasem do poradni przychodzi kobieta i skarży się:

– Proszę pana, mój mąż w ogóle, absolutnie w niczym nie pomaga w domu! On nawet jednej szklaneczki po sobie nie umyje! On po jedną bułeczkę do sklepu nie pójdzie!

Wtedy odpowiadam bez zmruczenia oka:

– Ja też bym, proszę pani, nie poszedł.

I tak rzeczywiście jest, normalny, zdrowo myślący męż- czyzna naprawdę woli pójść spać głodny niż latać do sklepu po jedną bułeczkę. Owszem, trzydzieści kilogramów towarów z marketu, proszę bardzo, nawet po schodach to wniosę! Na czwarte piętro, a co tam! I będę miał poczucie, że zrobiłem coś konkretnego dla domu! Ale żeby jedną bułeczkę... jedną szklankę? To nie jest robota na miarę mężczyzny. To dziecko może zrobić. Wiele żon próbuje dawać mężom do zrobienia to, co dla nich samych jest łatwe. To podstawowy błąd w my- śleniu. Drogie panie, dawajcie nam to, czego wy zrobić same nie dacie rady, wtedy my się wykażemy! Pokażemy, na co nas stać! Kobieta powinna robić to, do czego ona się lepiej nada- je, a mężczyzna to, do czego on się lepiej nadaje, a nie, „sprawiedliwie”, raz mąż raz żona... węgiel z piwnicy nosić. To jest głupota, a nie sprawiedliwość. To on powinien ciężary

nosić, ponieważ męski hormon testosteron odpowiada za siłę fizyczną. Oczywiście jej przeznaczeniem jest obrona słabszych i walka o byt rodziny. Testosteron jest niepodważalnym dowodem (jednym z bardzo wielu) na obiektywną – ku strapieniu lobby LGBT – inność mężczyzny od kobiety. Nie doradzam w żadnym wypadku, żeby kobieta przejmowała rolę słodkiej idiotki, która nic nie potrafi zrobić. Mówię tylko, by nie brała się (gdy nie musi) za roboty typowe dla mężczyzn. Między innymi te fizycznie ciężkie. Dziś nowoczesne kobiety wszystko potrafią, wszystko dadzą radę zrobić. Moja znajoma pod nieobecność męża poprzesuwała ciężkie meble. (Podnosiła na kiju od szczotki narożnik mebla, by zmniejszyć tarcie, podkładała pod nogę szafy plasterki surowego ziemniaka i... poprzesuwała meble na nowe miejsca. Oczywiście według osobistego pomysłu, bez konsultacji z mężem.) Gdy wrócił, oczekiwała pochwały dla jej dzielności – a on się wściekł. Cemu? Bo poczuł się jakby dostał pstryczka w nos. (Takie było jego odczucie, choć jej zamiar był inny.) Ona mu pokazała, że do niczego jej nie jest potrzebny. Ani do podjęcia decyzji o przemeblowaniu ich domu, ani do wykonania tej ciężkiej pracy. Da sobie radę bez niego! Jej pomysł nie był zbyt mądry, bo odebrała mu szansę na wykonanie ciężkiej pracy, której to on powinien był podołać, nie ona.

Są tereny wybitnie nadające się dla kobiet (choćby relacje międzyludzkie i ogarnięcie „wieloaspektowej i szybkozmiennej” codzienności rodzinnej) i inne, przeznaczone dla mężczyzn (wymagające użycia siły fizycznej lub/i użycia analitycznego myślenia dla planowania i realizacji ważnych przedsięwzięć, o poważnych skutkach nawet w dalekiej przyszłości). Nie chodzi tu o hołdowanie kulturowym

stereotypom, co wypada kobiecie a co mężczyźnie (choć jest w nich nierzadko wielka mądrość i całkowicie lekceważyć ich nie warto). Są jeszcze indywidualne talenty i ograniczenia. Jeśli w czymś żona jest ewidentnie lepsza, to niech jej mąż słucha w tej materii. I odwrotnie, jeśli mąż się na czymś zna, to niech żona nie udaje, że zna się lepiej? Niestety, są domy, w których żony wszystko „wiedzą lepiej”. Są też domy z „wszechwiedzącymi” mężami, znającymi się na wszystkim i zazwyczaj krytykującymi wszystkich i wszystko (od kopnięcia piłki, do decyzji prezydenta kraju). W podsycanym umiejętnie klimacie walki płci wiele żon walczy o pozycję „pana domu” (nieradko z sukcesem). Po co? Żeby móc się pochwalić przed koleżankami w pracy i chodzić w glorii ich podziwu – a w domu mieć zdołowanego męża, bo on o niczym już nie jest w stanie zdecydować?

Pamiętam, było to na łące w Hermanicach (rekolekcje dominikańskie zapoczątkowane przez o. Jana Górę OP) podeszła do mnie pani z prośbą o radę. Poprosiłem, byśmy usiedli. Nie, ona zajmie tylko minutkę. Staliśmy na trawie godzinę. Drepcząc w miejscu, wydeptaliśmy kółko trawy jak krowa na pastwisku. Ona mówi godzinę, ja słucham, słucham. I słyszę, że mąż świetnie sobie ze wszystkim radzi, w ogóle wszędzie idealny, tylko nie w domu, w domu on jest do niczego – już samo to zastanawiające, prawda? – i choć byłem proszony o radę, całego zdania wtrącić nie dałem rady. Cokolwiek próbowałem powiedzieć, to ona przerywała mi mówiąc, że już próbowała wszystkiego i to z jej mężem nie przejdzie. Wszystko wiedziała z góry lepiej ode mnie (od męża pewnie tym bardziej). Tak, ona wiedziała wszystko... W końcu, aby cokolwiek w ogóle miało szansę do niej dotrzeć, użyłem fortelu:

- A może ja pani opowiem anegdotę?
- No dobrze, niech pan opowie! – tak jak podejrzewałem, babska ciekawość zwyciężyła jej wielomówstwo. Opowiadam więc, korzystając z chwili ciszy:
 - Wie pani jak się dzielą kobiety?
 - Nie!?
 - Na niewiasty, które nic nie wiedzą, i na wiedźmy, które wiedzą wszystko, zwłaszcza lepiej od męża...
 - To ja jestem wiedźmą?!
 - Przez grzeczność nie zaprzeczę...

Nie zdążyłem dopowiedzieć, że mężowie bardzo źle znoszą „wiedźmy” a „niewiasty” dobrze na swej postawie wychodzą. Być może coś do niej dotarło, nie wiem. Ta żona wszystko wiedziała lepiej od męża, znała lepiej od niego jego zamiary i intencje, była zawsze od niego mądrzejsza, ba, wszechwiedząca. A on był, siłą rzeczy, ten głupszy. Niełatwo mężowi żyć z taką żoną. Jednak miał zapewne jakiś udział w tym, że aż do takiej sytuacji doszło. Choćby przez bierność, przez zaniedbanie...

Popatrzmy od drugiej strony. Jak czuje się mężczyzna, który w swoim subiektywnym odczuciu jest w domu nikim? Wielokrotnie rozmawiałem z mężczyznami chcącymi odejść z małżeństwa. Ich relacje są zadziwiająco podobne.

– Proszę pana, ja już do niczego nie jestem w rodzinie potrzebny. Jedyne, co mam robić, to przynosić pieniądze i wynosić śmieci. Mogę odejść, żona beze mnie doskonale ze wszystkim sobie poradzi. Pieniądze będę wpłacał na konto, nie uchylam się od odpowiedzialności – a śmieci wyniosą dzieci, bo są już duże.

Po czym zwykle następuje znamienna i naprawdę szczerą część wypowiedzi:

– Proszę pana, ale ta nowa kobieta beze mnie sobie nie da rady w życiu. Ona mnie naprawdę potrzebuje. Ja dopiero przy niej poczułem się prawdziwym mężczyzną...

O to chodzi! Przy żonie jest do niczego (pieniądze i śmieci), a ta nowa go szczerze podziwia. Czasem ludzie się dziwią: odszedł do takiej głupiej, naiwnej, nieporadnej. W pewnym sensie im głupsza tym lepiej, bo... bardziej szczerze go podziwia. Mężczyzna, który czuje się ważny, potrzebny w domu, czuje się głową domu, podporą, nigdy z tego domu nie ucieka, nie dezerteruje.

Podczas jednej z rozpraw rozwodowych pierwsze, co powiedział mąż, koronny zarzut, brzmiało tak:

– Każdego dnia, gdy tylko wracałem z pracy, zanim jeszcze wszedłem do domu, żona na powitanie wręczała mi wiaderko ze śmieciami.

Oczywiście żona pomyślała logicznie, praktycznie – póki jeszcze nie zdjął płaszcza, butów, póki się nie położył... Tak, ale całkowicie pominęła to, co się w nim, w środku działo. (On zmęczony wraca, marząc, że wreszcie odetchnie chwilę, a ona mu „rozkazuje” wyrzucać śmieci. Właśnie w tej chwili, natychmiast. W momencie, w którym on ma na to najmniejszą ochotę. Naprawdę nie marzył w tej chwili o wynoszeniu śmieci i to jeszcze pod jej dyktando!)

Jeśli już jesteśmy przy kwestii wczuwania się w drugą osobę, koniecznie należy podkreślić jeszcze jedną rzecz: w relacji damsko-męskiej to „domyślanie” działa tylko w jedną stronę! Wy macie, drogie panie, wpisana w naturę zdolność empatii, życzliwego wczuwania się w sprawy drugiego człowieka. My nie. I raz na zawsze niech to każda czytająca te słowa kobieta wbije sobie uprzejmie do głowy. I niech żona przestanie żądać

od męża, żeby się czegoś domyślił, bo on tego w życiu nie zrobi. Nie dlatego, że nie chce, albo co gorsza, że nie kocha. On po prostu nie jest w stanie! Równie realne byłoby żądanie słonia, żeby latał jak motylek. Nawet gdyby bardzo chciał i bardzo szybko machał uszami, to nie podfrunie ani o kawałek. Domyślenie się czegokolwiek, co dzieje się we wnętrzu kobiety, jest po prostu dla mężczyzny całkowicie nieosiągalne. I nie da się go tego nauczyć, nawet przy najszczerzych chęciach z obu stron. Natomiast mężczyzna, który kocha i któremu żona wyłoży, o co jej chodzi, jasno, klarownie i łopatologicznie (i najlepiej przepytą, jak rozumiał), pod wpływem szczerzej miłości zacznie działać w ten sposób, że to będzie wyglądało, jakby się domyślał. I oby, drogie panie, wam to wystarczyło. Miłość powoduje u faceta, że on stara się robić to, na czym ukochanej kobiecie zależy. I to jest piękny dowód miłości mężczyzny. Ale żaden mężczyzna nie przeskoczy siebie i własnej natury. Szkoła życia i szkoda tych złych emocji i zawodów z niespełniania nierealnych oczekiwań, jakie się wtedy budzą.

Dla ilustracji anegdotka:

Z domku jednorodzinny wychodzi mąż do pracy, chłodno żegnając się w progu z żoną. Z domku obok wychodzi sąsiad i czule żegna się ze swoją żoną. Przytula, całuje, szepcze coś do ucha. Odchodzi dwa kroki. Jeszcze wraca jeszcze przytula, coś szepcze... Żona widząc tę scenę rozmarzona mówi do męża:

– A ty nie mógłbyś tak samo?

– Ja? Pyta zdziwiony mąż. – I, wskazując palcem na sąsiadkę, mówi:

– Przecież ja jej w ogóle nie znam!

Drogie panie, takie mogą być skutki liczenia na domyślność mężów. Może to mniej romantycznie, ale lepiej

konkretnie nazwać swoje oczekiwania, niż całe życie z utęsknieniem czekać i się... nie doczekać. A wyciąganie wniosków, że skoro się nie domyśla, to znaczy, że nie kocha, jest całkowicie nieuprawnione, więcej, jest krzywdzące mężczyzn. Panowie z kolei też mają nierealne oczekiwania od małżeństwa i od osoby żony. Przykładowo, jak panie wiedzą, mężczyzna wszystko próbuje zrozumieć. W tym duchu wielu mężów próbuje zrozumieć zachowania swojej żony. Prowadzi nawet notatki: temperatura, wilgotność powietrza, dni tygodnia, kwadry księżyca... Już, już prawie ma gotowy „wzór” na żonę, a tu kolejne zachowanie przeczy wszystkiemu. Panowie! Dajcie sobie spokój i... żonie też! Nigdy nie zrozumiecie zachowań żony! Dlaczego? Po prostu nie da się zrozumieć zachowań kobiety, ponieważ ona sama ich nie rozumie. Ta prosta odpowiedź naprawdę nie jest obraźliwa dla kobiet. Motorem zachowań normalnej kobiety są jej uczucia, a te nie podlegają prostej kontroli rozumu. Jeżeli kobieta zachowuje się ewidentnie źle, to znaczy, że jest aktualnie w złym nastroju i nie potrafiła nad tym zapanować rozumem i wolą.

Na uczucia wpływają także (całkowicie niezależne od kobiety) zmiany hormonalne, związane z rytmem płodności. Wszyscy mężowie powinni je na bieżąco znać i uwzględniać w codzienności, nie tylko w celu realizacji planów prokreacyjnych. Przykładowo, ważnych i trudnych tematów nie powinni zaczynać dzień przed miesiączką.

Na początku dojrzewania te impulsy wewnętrzne wynikające z rozpoczęcia wydzielania hormonów stwarzają sporo trudności młodym dziewczątkom. Bardzo młoda dziewczyna zupełnie sobie z tym nie radzi, niemal ma to na twarzy wypisane, w jakiej jest fazie cyklu miesięczkowego. (Reagująca

entuzjastycznie w okolicach jajczkowania, a nerwowa i drażliwa tuż przed miesiączką.) Oczywiście, dojrzała kobieta na zewnątrz tego nie pokazuje, ale w środku się kotłuje...! Panowie! Ani się tego nie zrozumie, ani nie ma sensu z tym dyskutować, trzeba to po prostu wiedzieć i uwzględnić w praktyce. To prosta życiowa mądrość.

Na jeszcze jednym przykładzie zilustrujmy różnicę w reagowaniu mężczyzny i kobiety. Mężczyzna płacze. Możemy go bez obawy spytać, dlaczego płacze i każdy mężczyzna bez trudności będzie potrafił udzielić prostej odpowiedzi. Stało się to i to. Co więcej, to pytanie zapewne będzie odebrane jako gest życzliwości. Zainteresowanie jego problemem. Potencjalną ofertę pomocy. Ale mam nadzieję, że żaden z czytających to panów nie próbuje zadawać tego rodzaju pytań płaczącej kobiecie. A przynajmniej, że nie próbuje tłumaczyć jej, że nie ma o co płakać. Tłumaczyć, że płacze bez powodu, że niepotrzebnie traci sole i płyny z organizmu, że bez powodu przejmuje się takimi głupotami... Tak kobiecie nie pomożesz. Niech wszyscy mężczyźni zapamiętają to sobie raz na zawsze: kobieta płacze dlatego, że jest w złym stanie uczuć. Koniec, kropka. To, co mogę w takiej sytuacji zrobić, to spróbować poprawić jej uczucia. Jak, to już jest indywidualna, niełatwa sprawa. Czasami trzeba kobietę przytulić, gdy płacze – ale, uwaga, czasami nie wolno! Można coś powiedzieć, ale bez logicznego tłumaczenia. Na przykład:

– Wiem, że jest ci ciężko; tak chciałbym ci pomóc; jest jeszcze mąż, który cię kocha, są dzieci, dla których warto żyć... itp.

To, jak się zachować i ewentualnie co powiedzieć w konkretnej sytuacji, to dla mężczyzny (drogie panie) jest poważną trudnością.

O ile mniej byłyby kłopotów małżeńskich, gdybyśmy, rozumiejąc specyfikę płci, mieli realne, sensowne oczekiwania i nie katowali siebie wzajemnie zadaniami niemożliwymi do spełnienia! Gdybym zebrał wszystkie pretensje zgłaszane pod adresem mężów w poradni, to streściłoby je jedno zdanie:

– Proszę pana, mój mąż jest chłopem. To nie do wytrzymania!

Oczywiście żadna tak nie sformułowała, jednak pretensje: on źle myśli, on źle pracuje, on źle odpoczywa... są na porządku dziennym. Co to znaczy źle? Inaczej niż ona! A jak się dobrze żona rozpędzi z zarzutami, to gotowa dodać:

– Proszę pana, on na złość taki jest. On mi robi na złość!

Chciałoby się spytać:

– To po co wyszła za chłopca?

Panowie, żeby wam nie było za wesoło, to postępujemy analogicznie w drugą stronę. Mamy pretensje do żon, że myślą, pracują, odpoczywają i pragną jak... kobiety. Też pewnie na złość nam. Ja celowo chwilami stosuję taką troszkę humorystyczną formę po to, aby pokazać, jak ważne jest uśmiechanie się nad naszymi różnicami. Śmiejmy się z tego – ale nie wyszydźmy. Zachwycajmy się naszymi odmiennościami i wykorzystujmy je dla dobra małżeństwa i rodziny, ale przestańmy mieć do siebie o nie pretensje. Na zakończenie tego tematu pozwolę sobie na kilka ilustrujących specyfikę płci kawałów (tylko się nie obrażajcie, bo brak dystansu do siebie samych też bardzo utrudnia budowę komunii damsko-męskiej w małżeństwie).

Pan Bóg stworzył rośliny i był zadowolony, bo były udane. Potem zwierzęta, wszystko było w porządku. Następnie Bóg stworzył mężczyznę i był z siebie dumny. O, tak, mężczyzna wyszedł mu rzeczywiście wspaniały! Taki dzielny, mądry,

postawny! Na koniec Bóg stworzył kobietę. Popatrzyl na nia, popatrzyl... I rzekl:

– No cóż... Ty to będziesz się musiała malować...

(Jeżeli kobieta nie potrafi się przy takim kąśliwym dowcipie uśmiechnąć to pewnie... ma kłopot z poczuciem braku wartości, ze zdrowym dystansem do siebie.)

Żeby panom nie było za wesoło, dla równowagi w drugą stronę:

Raj. Adam dopadł Pana Boga na boku i pyta:

– Panie Boże, dlaczego Ty stworzyłeś Ewę taką piękną, taką ponętą, taką... że ja mogę myśleć tylko o niej!

– Adamie, Ja chciałem, żebyś ty mógł ją pokochać.

– No dobrze... Ale, w takim razie... Panie Boże dlaczego jednocześnie stworzyłeś ją taką rozkojarzoną, niekonsekwentną, szalapatną, nielogiczną... Przepraszam Panie Boże, taką głupią!!!

– Adamie! Ja chciałem, żebyś nie tylko ty mógł ją pokochać, ale by i ona ciebie pokochać mogła!

Panowie, jeżeli nie potrafimy się uśmiechnąć na powyższe, to znaczy, że z nami jest źle. Jesteśmy nadmiernie drażliwi na swoim punkcie, nie mamy zdrowego dystansu do rzeczywistości. Zdrowy dystans do samych siebie jest kluczem do sukcesu w małżeństwie – i we wszelkich międzyludzkich relacjach. Trzeba byłoby zakończyć raz na zawsze tę trwającą od ponad dwóch wieków walkę damsko-męską, na której wszyscy ogromnie dużo tracimy. Powróćmy do pięknych relacji. Pełnych wzajemnej życzliwości wyrażanej słowami, gestami, wzajemnymi odniesieniami w codzienności.

Opowiem pewną historyjkę z życia – nie będzie ona już tak zabawna. Po wykładach w Warszawie około godziny 23.00

zajeżdżam na stację benzynową. Staję w długiej kolejce. Za mną po chwili staje kobieta w stanie błogosławionym (tłumacząc: w zaawansowanej ciąży). Oczywiście ja, w naturalnym odruchu, ją przepuszczam. Ona patrzy na mnie i mówi ze smutkiem:

– Widzi pan, jestem już na ostatnich nogach, jest jedenaście wieczorem, a pan jest dziś drugą osobą, która to zauważyła. Pierwszy to był staruszek, który mi ustąpił miejsca w tramwaju. W zasadzie to jemu było trudniej stać niż mnie, ale usiadłam, bo widziałam, że gest był szczerzy. Pan jest drugi.

W kraju, który słyszał kiedyś z szarmanckiego traktowania niewiast, gdzie całowało się kobietę w dłoń na powitanie i pożegnanie, gdzie przepuszczano ją w drzwiach – gdzie toczono pojedynki o jej godność, cześć?! A przecież zewnętrzne gesty mają wielką moc uwewnętrznienia się. (Główna myśl dzieła *Osoba i czyn* Karola Wojtyły, mówiąca, że zewnętrzne gesty mają moc uwewnętrzniania się, przemieniają ich sprawcę.) Nie gardźmy zewnętrznymi gestami. Gdybyśmy przywrócili piękne zachowania mężczyzn wobec kobiet w zewnętrznych gestach, na ulicy, w pracy, w tramwaju i w kościele – i gdybyśmy przywrócili piękne słownictwo i piękne odnoszenie się do siebie w codzienności, wówczas z pewnością przemieniłyby się nasze wnętrza i byłoby nam ze sobą lepiej. Tymczasem jesteśmy podpuszczani do jakiejś idiotycznej walki, przeciwko sobie, w której nie ma wygranych. Niepostrzeżenie ta walka przeniosła się na teren małżeństw. W tej walce naprawdę wszyscy jesteśmy przegrani, od osoby, przez rodziny, po całą ludzkość.

7. SEKSUALNOŚĆ KOBIETY I MĘŻCZYZNY

Mówienie dziś o seksualności jest trudne. Bowiem od czasu tzw. rewolucji seksualnej mówienie o seksualności ostatecznie przestało być bezstronne. Seks stał się polem walki ideologicznej. Powstają teorie pseudonaukowe lansujące – ba, i narzucające – absurdalne, niemożliwe do przyjęcia rozumem teorie (np. gender). Pod hasłami tolerancji terroryzuje się normalnie (jeszcze) myślących ludzi i etykietuje się ich mianem nietolerancyjnych oszołomów, homofobów itd. Na fali tego programowego bałaganu, pojawiają się „nowoczesne” teorie psychologiczne, których właściwym miejscem docelowym jest... śmietnik. I często im bardziej karkołomna teoria, tym staje się ciekawsza do nauczania (biednych) studentów. Pojawiły się już twierdzenia – rodem z USA – jakie to jest bogactwo emocjonalne dla dziecka, kiedy się rodzice rozwodzą i ono ZYSKUJE dodatkową parę rodziców, bo teraz ma ich już czworo! Jakież bogactwo relacji, ileż możliwych więzi! A jakie bogactwo psychologiczne jest u biseksualisty, który „ma” więcej płci... Bogactwa w związku homoseksualnym nie pozna żadna para heteroseksualna!... itd., itp. Piszę o tym dlatego, że teorie tego typu mogą stać się łatwą wymówką do usprawiedliwiania sobie wszelkich łajdactw, wynaturzeń seksualnych i nie tylko. Musimy być na to wyczuleni i uważni. Generalnie takie teorie mają usprawiedliwiać słabość ludzką,

a może nawet promować nieład, zwłaszcza seksualny. Zamiast pomagać człowiekowi powrócić do swej obiektywnej natury i do życia w czystości przez uczciwą terapię, wmawia mu się, że jego „inność” jest atrakcyjna i powinien być z niej dumny. A z kolei terapii się... zabrania. Ostatnio wezwanie wypowiedziane przez kapłana wzywające do czystości seksualnej osoby o orientacji homoseksualnej zostało zakwalifikowane jako nieuprawniona presja i... zakazane. Przy takiej propagandzie nieładu wielu się gubi.

WSPÓŁCZESNE MITY NA TEMAT SEKSUALNOŚCI

Zatrzymajmy się na chwilę na różnicach przeżywania seksualności.

Mężczyźni i kobiety różnią się ogromnie pod wieloma względami – a właściwie to pod wszystkimi (o czym już pisaliśmy). Jednak te różnice szczególnie dają się zauważyć w odmiennym podejściu do swej seksualności i w przeżywaniu zbliżeń intymnych. Różnimy się pod tym względem diametralnie, a brak wzajemnego porozumienia w tej sferze, nadbudowywany jeszcze dodatkowo szerzącą się powszechnie dezinformacją, skutkuje prawdziwymi dramatami małżeńskimi. Żyjemy w kulturze, która nadbudowała wiele mitów na temat seksualności i kontaktów seksualnych. W zasadzie cała powszechnie dostępna „wiedza” na temat seksualności człowieka jest... zmitologizowana. Sprytnie zafałszowana. Nie znamy prawdy tylko mity i wierzymy w nie niezachwianie. Sami na bazie tej „wiedzy” wyciągamy wnioski zgubne dla siebie, swojego małżeństwa i rodziny.

Warto wiedzieć, na czym polega konstrukcja mitu, bo wtedy łatwiej go zdemaskować. Warto to wiedzieć dla siebie, by tak bezbronne nie dać się oszukiwać i aby uczyć dzieci odróżniania mitu od prawdy. Mit to fałszywa budowa z prawdziwych klocków. Kiedy się przyglądamy z boku poszczególnym elementom, wszystko niby wygląda dobrze, ale efekt końcowy jest zupełnie zafałszowany. Przykład, na razie nie z dziedziny seksualności. Każdy z nas widział złoto. Wielu z nas ma na palcu złoto, a niektórzy jeszcze będą je mieć. Każdy wie, że złoto to jest coś konkretnego. Każdy z nas widział też górę, na przykład Giewont. Każdy widział złoto i każdy widział górę jako dwie bardzo realne rzeczywistości. To są prawdziwe klocki. I teraz, każdy bez najmniejszej trudności może zamknąć oczy i wyobrazić sobie górę Giewont całą ze złota, jeszcze ze złotym krzyżem na szczycie. Tylko zgódźmy się, że góry ze złota nie ma, nie było i nie będzie. Ktoś, kto wierzy w jej istnienie, ulega złudzeniu wywołanemu mitem, buduje fałszywą, nieistniejącą budowlę z realnych, prawdziwych klocków. I jeśli taki ktoś zatęskni za posiadaniem góry złota i zapagnie ją zdobyć, wówczas może zmarnować na to całe życie. Goniąc za czymś i chcąc zdobyć coś, czego... nie ma!

Nasz przeciwnik chciałby, by ludzie działali seksualnie całkowicie bezmyślnie, bezrefleksyjnie, najlepiej każdy z każdym, przy każdej sposobności. Temu, tak naprawdę, służyła rozpętana w latach sześćdziesiątych XX wieku rewolucja seksualna. Miała ona „wyzwolić” seks z małżeństwa, uwolnić od rodzicielstwa, a w ogóle uczynić powszechną rozrywką. Służyć to miało zniszczeniu człowieka, rodziny, Kościoła katolickiego (niezmiennie broniącego ładu seksualnego), a tak naprawdę walce z Bogiem samym.

By osiągnąć ten cel, rozpowszechnia się mity. Opiszmy pokrótce niektóre z nich.

MIT SPONTANICZNOŚCI

Dziś powszechnie używa się takiego pięknego słowa: „spontaniczność” jako (obowiązujący) szczyt marzeń i szczęścia! Na terenie seksualności panuje następująca retoryka: nowocześni ludzie, którzy stosują antykoncepcję, kochają się spontanicznie, o każdej porze dnia i nocy. A zaściankowi, którzy używają metod naturalnych, biedaki, jak chcą, to nie mogą, jak nie chcą, to muszą... A cóż za bzdura totalna! My, jako ludzie, niczego ważnego nie robimy spontanicznie! Wszystko, nawet jedzenie, obudowujemy jakąś kulturą – którą ręką chwycić nóż, którą widelec i tak dalej. Wszystko. I im ważniejsze spotkanie, tym bardziej je celebруемy. A to nie jest wymysł fizjologii. Im ważniejsza sprawa, tym jest bardziej obudowana przez człowieka i na tym budujemy swoją człowieczość, tworzymy tą nadbudowę, to właśnie oznacza: po ludzku. To stanowi kulturę. Zauważmy: wszystko, co ważne, człowiek robi z rozmysłem, a rzekomo w działaniach seksualnych ma panować spontaniczność? Ma działać bez refleksji, bez obudowy kulturowej, bez rozumnego planu? Słowem, bezrozumnie i bezwolnie. To jest proste jak drut, oczywiste, że komuś na tym zależy. Jakieś lobby takie podejście lansuje!

No wyobraźcie sobie: większe miasto, powiedzmy Wrocław. Idę na rynek we Wrocławiu, ja, starszy, nobliwy pan – i „spontanicznie” siusiam na środku placu, bo mi się właśnie zachciało! A wszyscy mi biją brawo, co za spontaniczny facet!

Prawdopodobnie straż miejska nie doceniłaby tej mojej fantastycznej postawy, zwinęliby mnie od razu i słusznie. No chyba, że powiedziałbym, że jestem homo-inny, to by mnie nie tknęli, żeby się nie okazało, przy okazji, że są homofobami... A teraz już całkiem poważnie. Niczego, co jest ważne, człowiek nie robi spontanicznie, tylko po ludzku, czyli z podporządkowaniem rozumowi i woli. Tylko dziwnym trafem powinien (koniecznie!) spontanicznie działać seksualnie?!

MIT DOPASOWANIA SEKSUALNEGO

Weźmy banalny mit dopasowania seksualnego. „Wszyscy wiedzą” (to jest retoryka lansowania mitów, czasem dodaje się: „wszyscy inteligentni wiedzą”), że trzeba się „dopasować”, „wypróbować” przed ślubem. Po co? No bo przecież powszechnie wiadomym jest, do jak licznych dramatów dochodzi później, po ślubie, z powodu niedopasowania seksualnego małżonków: mąż i żona się zdradzają, rozwodzą się, dzieci cierpią – cała masa tragedii! To czy nie lepiej to po prostu sprawdzić? Logiczne, że lepiej, no nie? Oczywiście zdrowy, normalny mężczyzna szczerze kochający kobietę, marzący o małżeństwie z nią pragnie bliskości cielesnej, ma na nią ochotę. To jest oznaką jego zdrowia, jeśli odczuwa takie pragnienie daleko przed ślubem. Jeśli jednak jest panem samego siebie, panuje nad sobą, jego ciało nim nie rządzi, potrafi zapanować rozumem i wolą też nad swymi pragnieniami w tej dziedzinie. Wiedząc, że ten trud opanowania opłaci się stokrotnie w małżeństwie. W całym przysłym życiu. Ale tu mu mówią, że dla dobra małżeństwa właśnie powinien sprawdzić,

czy pasują. Oczywiście niedojrzałem taka „wiedza” się bardzo podoba. I kupuję ją! No, skoro rozum mówi mu, że to jest logiczne, iż trzeba sprawdzić... a, to już zupełnie inna sprawa! On się jakoś poświęci i pouprawia ten seks przedmałżeński, w końcu to dla dobra małżeństwa!

Tymczasem jesteśmy wszyscy tak genialnie skonstruowani, że cielesnie każda kobieta pasuje do każdego mężczyzny. Tak zostały pomyślane nasze ciała, że pasujemy wszyscy do siebie! I gwarantuję, że parametry ciała nie mają tu żadnego znaczenia! Receptory odbioru bodźców u kobiet są zlokalizowane blisko ujścia pochwy na zewnątrz (do 1/3 jej długości). A iluż nastolatków, którym wmawia się, że członek musi być odpowiednio duży, zamartwia się, sądząc, że będą nieszczęśliwi w małżeństwie, ponieważ mają niewłaściwe „parametry ciała”! Ileż nastolątek głodzi się, wpada w bulimię, anoreksję i nerwice pokarmowe, bo im wmówiono, że nikt ich nie zechce, jeśli nie będą chude jak szczapy!

Pewnego razu, po wykładzie miała do mnie podejść na rozmowę umówiona kobieta. Koleżanka mojego znajomego, która przeżywała poważne trudności w małżeństwie. I ten mój znajomy opisuje mi ją, żebym mógł ją łatwo rozpoznać:

– A, wiesz, taka blondynka, pulchna, przy kości.

Przyszła, patrzę – normalna dziewczyna, zgrabna, bez żadnych „nadmiarów ciała”. Dopiero potem poznałem jego żonę – szkielet. No tak, wszystko jasne. Prawdopodobnie dopasowała się do wyobrażeń męża. Narzucono nam kult ciała, koncentrację wyłącznie na tym, co cielesne i to jeszcze według absurdalnych kryteriów. To jest chytre odwrócenie uwagi od tego, co istotne, ku peryferiom. Ludzie są tym skażeni, mają zainfekowane myślenie.

A zatem, gdy już wytłumaczę w pocie czoła kolejnej parze czy osobie, że cielesnie do siebie z całą pewnością pasują, zwykle pada wobec tego sugestia:

– No tak, ale może powinniśmy wypróbować, czy my pasujemy do siebie, tak... bardziej psychicznie?

Odpowiadam od razu:

– Nie trzeba próbować. Nie pasujecie.

Jak świat światem, nigdy żaden mężczyzna i żadna kobieta nie pasowali do siebie psychicznie! Mowy nie ma! Jesteśmy tak skonstruowani, że reagujemy na zupełnie inne bodźce, również w dziedzinie seksualności! Prosty przykład: mąż przytula żonę z całej siły. I co? Wraz z napięciem mięśniowym, automatycznie pojawia się u niego napięcie seksualne. A żona co czuje? Ból. Zwykle zaciska zęby i milczy. Czasem odważy się powiedzieć:

– Puść mnie, bo mi żebra połamiesz!

Wtedy on się zwykle obraża, oto on ją tak mocno kocha, a ona (zupełnie nieromantycznie) mówi o połamanych żebrach. Samo podejście do współżycia i jego skutków mamy diametralnie różne. Nie dziwny się, współżycie dla mężczyzny jest zawsze, automatycznie bardzo silnym przeżyciem. Jego działanie jest w pewnym sensie „zewnątrzne”. On wyrzuca plemniki na zewnątrz swego ciała i jego ciało nie ponosi żadnych biologicznych skutków tego działania. (Nie mówię tu o chorobach przenoszonych drogą płciową u działających z wieloma partnerami.) Patrząc od strony kobiety, to dzieje się wewnątrz jej ciała. Tu pojawia się ważne zagadnienie psychologiczne lęku przed wpuszczeniem w granice swego ciała. Ciało, do którego wejścia strzeże błona dziewicza. Lęk ten może zlikwidować jedynie mężczyzna dający pełną, całościową gwarancję

bezpieczeństwa. Może ją dać tylko dojrzały, wierny, kochający mąż. Dalej. Wszystkie naturalne skutki biologiczne współżycia ponosi ciało kobiety. Tak więc oczywistym jest, że w wymiarze psychicznym, w patrzeniu na współżycie jesteśmy totalnie różni. Co zatem z tym dopasowaniem? Otóż, dopasowanie to całonocny proces zbliżania się męża i żony do siebie, który zawsze niedokończony przerywa, czasem po długich kilkudziesięciu latach śmierć jednego z małżonków. Nie da się przebiegu tego procesu sprawdzić przed ślubem. Można go jedynie wstępnie zniszczyć, podejmując współżycie przed ślubem w warunkach różnorodnych lęków w kobiecie. Lęk ma znaczenie dominujące i tłumi zawsze przeżycia w kategoriach wyższych. To głównie z lęku kobiety biorą się najróżniejsze problemy psychiczne, trudności związane ze współżyciem. Aż do realnego bólu głowy u żony na samą myśl o współżyciu. Panowie, przyczyną tego bólu głowy jest praktycznie zawsze wcześniejsze współżycie lub choćby przymuszanie do niego w warunkach dla kobiety nieakceptowalnych, lękowych.

Współżycie nie ma być jedynie jednością cielesną, ani nawet cielesno-psychiczną (choć to już dużo głębsze). Współżycie jest aktem, który powinien obejmować całego człowieka. A więc jego cielesność, sferę psychiczną i duchową. Tak więc dopasowanie seksualne powinno obejmować wszystkie te trzy sfery. (Jeżeli mąż oczekuje wspaniałej „jedności seksualnej”, a jednocześnie kpi sobie z wiary żony, to tak naprawdę jest... żałośnie nierozumny. Zapewniam, że wielu jest takich.)

Podsumowując: dopasowanie seksualne jest procesem trwającym całe życie małżeńskie, obejmujące całego człowieka i mogące się realizować jedynie w trwałym, wiernym, dożgonnie się miłującym małżeństwie.

„MITYCZNE” OCZEKIWANIA W SFERZE SEKSUALNOŚCI

Oczekiwania są fundamentalnie ważne dla subiektywnej oceny jakości życia i zadowolenia z niego. Gdy oczekiwania się spełniają, jesteśmy zadowoleni, gdy nie – przeżywamy zawód, frustrację. Świat, by nas oszukać, próbuje w nas rozbudzić nierealne oczekiwania. A skoro są nierealne, logiczne jest, że się spełnić nie mogą. W efekcie musimy czuć się sfrustrowani i nieszczęśliwi. Mnóstwo takich nierealnych oczekiwań nabudowano zwłaszcza w sferze seksualności. To właśnie w ten sposób tworzy się pewnie wizje seksualności, do których ludzie dążą. Tak skonstruowane są wspomniane mity w dziedzinie seksualności. A ponieważ one się nie spełniają, ludzie rozwalają sobie życie i gubią się. Czują się nieszczęśliwi, zawiedzeni... Szukali czegoś, czego nie ma. Dążyli do czegoś, co jest nieosiągalne. Cała masa ludzi miota się całymi latami, szukając „seksualnych gór złota”. Zmieniają kolejnych partnerów, burzą kolejne związki, okaleczają kobiety, mężczyzn, dzieci – i znajdują pustkę, bo szukali czegoś, czego nie ma. To jest genialny zabieg szatana: stworzyć takie mity, żeby ludzie szli za nimi jak ćmy do ognia i niszczyli siebie. To dopiero sukces złego ducha!

Podam przykład z życia. Przychodzi do poradni para, oboje młodziutcy, tuż po ślubie. Słucham, w czym rzecz. Wprost komunikują, że trafili do mnie, ponieważ ich rodzice o to prosili. Szanują rodziców i tylko przez wzgląd na nich przyszli. Oni już to wiedzą, że ich małżeństwa nie da się uratować, konieczny jest rozwód. Rozwiodą się na jednej rozprawie, za porozumieniem stron, bez orzekania o winie. Mówią to ze smutkiem, ale po rozwodzie cywilnym złożą sprawę do sądu kościelnego

o tzw. „unieważnienie ślubu” (uznanie za nieważnie zawarty) co w ich oczywistym przypadku trybunał orzeknie niezwłocznie. Trudno, nie mogą być razem. Decyzja już zapadła.

Poprosiłem, by opowiedzieli trochę o sobie, skoro już przyszli. Pewnie już nigdy w życiu się nie spotkamy. Odważyli się.

Poznali się w ruchu oazowym, świadomie wytrwali w czystości do ślubu. Ich rodzice, z obu stron, należą do Kościoła Domowego, przyjaźnią się od lat. Oboje mają podobne tęsknoty i pragnienia, oboje są zakorzenieni w Bogu. W życiu codziennym dogadują się w sumie bardzo dobrze. Mieli wspólne tęsknoty, marzenia, plany. Jednak są całkowicie przekonani, że ich życie w małżeństwie razem jest niestety, niemożliwe. Słucham, coraz bardziej zdumiony, wreszcie pytam wprost, gdzie tkwi problem – i słyszę, że ich pożycie seksualne to... horror! Dramat! Zdaję sobie sprawę, oczywiście, że o tak intymnych problemach i przeżyciach jest bardzo trudno mówić, ale skoro już jednak zaczęli, to poprosiłem, aby opisali ogólnie, bez wchodzenia w szczegóły, na czym ich problem polega. Co się okazało? Mieli przeciętne problemy, niektóre dotyczące zdecydowanej większości małżeństw, z którymi z jednej strony można sobie poradzić a z drugiej, z którymi można żyć i być szczęśliwym w małżeństwie. Żaden horror, żadna skrajna patologia! W czym tkwiła pułapka? Oni tę swoją rzeczywistość małżeńską zestawili z tamtymi nierealnymi górami złota, które im świat wmówił! Ich rzeczywistość była przerażająco zła, w zestawieniu z wygórowanymi, nierealnymi wyobrażeniami na temat cudów, które „automatycznie nieść powinno” ze sobą każde współżycie.

Jaki efekt? Porządni, uczciwi, poważnie traktujący swój sakrament małżeństwa, wierzący w Boga katolicy byli gotowi się

rozwieść tylko dlatego, że świat wpoił im fałszywe wyobrażenia o tym, jak powinna wyglądać seksualna bliskość małżonków!

MIT, ŻE ŁAJDACTWO PROWADZI DO SZCZĘŚCIA

Motorem aktywności postępowania człowieka jest jego tęsknota. Za czym człowiek tęskni, do tego dąży. Dlaczego ja tak postępuję, a nie inaczej? Skąd się bierze ukierunkowanie moich działań? Z tęsknot. Każdy z nas ma gdzieś, tam, głęboko w podświadomości, często nienazwane tęsknoty. Te tęsknoty są nieraz tak głęboko ukryte, że nawet nie uświadomiamy ich sobie. Lecz z czasem przybierają one realne rozmiary, ujawniają się, wychodzą z ukrycia na wierzch. Wtedy możemy o czymś już konkretnie myśleć, marzyć, rozpamiętywać, planować. Potem to przybiera formę słów, aż wreszcie za tym idą czyny. I to wszystko jest ze sobą ściśle połączone. I właśnie bazując na tym mechanizmie, znanym doskonale psychologii, współczesny świat nam próbuje wkodować tęsknoty sprzeczne z naszym szczęściem. Są to tęsknoty do różnych łajdactw, mówiąc wprost. Świat prezentuje nam rozmaite łajdactwa, cały ich wachlarz – i wmawia nam agresywnie, że to właśnie są prawdziwe obiekty naszych ukrytych tęsknot i spełnienie ich doprowadzi do szczęścia. Pokazuje się nam, że w sumie to nie mamy się czego bać nawet jako katolicy – bo oto przecież ktoś się fantastyczne łajdaczył całe życie, a potem pięć minut przed śmiercią się nawrócił, a zatem i my zdążymy. (Uwaga, świadome grzeszenie z liczeniem na nieskończone miłosierdzie, to grzech przeciwko Duchowi Świętemu. Jedyny, który nie będzie odpuszczony!) Prawda, jeśli ktoś nawrócił się

szczerze, usłyszysz od Jezusa te same słowa, które usłyszał dobry łotr przed samym skonaniem:

Jeden ze złoczyńców, których [tam] powieszono, urągał Mu: «Czy Ty nie jesteś Mesjaszem? Wybaw więc siebie i nas». Lecz drugi, karcąc go, rzekł: «Ty nawet Boga się nie boisz, chociaż tę samą karę ponosisz? My przecież – sprawiedliwie, odbieramy bowiem słuszną karę za nasze uczynki, ale On nic złego nie uczynił». I dodał: «Jezu, wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do swego królestwa». Jezus mu odpowiedział: «Zaprawdę, powiadam ci: Dziś ze Mną będziesz w raju» (Łk 23,39-43).

Tylko że ten nieszczęśnik w ostatniej chwili ziemskiego życia w błysku łaski zrozumiał swój grzech – i szczerze okazał głęboką skruchę. A jeśli ktoś grzeszy z premedytacją, beztrosko licząc, że skoro Bóg jest taki miłosierny, to jakoś to tam będzie, jakoś się wywinie... Tu Kościół uczy jasno, że taka postawa jest prostą drogą do potępienia. Na drugim biegunie mamy z kolei postawę buntu, rodzącego się w tak zwanych „porządnych” katolikach:

– Co, on też pójdzie do nieba?! Ja się tak nie bawię! To ja się męczyłem całe życie, a on...?

To jest postawa tych robotników, którzy przyszli do pracy jako pierwsi, a przy inkasowaniu dniówki poczuli się oszukani, bo tamci ostatni dostali tę samą stawkę:

A gdy nadszedł wieczór, rzekł właściciel winnicy do swego rządcy: „Zwołaj robotników i wypłać im

należność, począwszy od ostatnich aż do pierwszych!”. Przyszli najęci około jedenastej godziny i otrzymali po denarze. Gdy więc przyszli pierwsi, myśleli, że więcej dostaną; lecz i oni otrzymali po denarze. Wziąwszy go, szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: „Ci ostatni jedną godzinę pracowali, a zrównałeś ich z nami, którzyśmy znosili ciężar dnia i spiekoty”. Na to odrzekł jednemu z nich: „Przyjacielu, nie czynię ci krzywdy; czy nie o denara umówiłeś się ze mną? Weź, co twoje i odejdź! Chcę też i temu ostatniemu dać tak samo jak tobie. Czy mi nie wolno uczynić ze swoim, co chcę? Czy na to złym okiem patrzysz, że ja jestem dobry?” (Mt 20,8-15).

Spokojnie, jeżeli ktoś się łajdaczył całe życie, a pięć minut przed śmiercią się nawrócił, to tak naprawdę żył tylko pięć minut. I naprawdę nie ma mu czego zazdrościć. (Święty Augustyn po nawróceniu się wypowiedział znamienne słowa: żałuję każdego dnia, gdy byłem daleko od Chrystusa! A łajdaczył się długie lata.) Tu jednak ujawnia się cały mechanizm mamienia nas złymi tęsknotami, atrakcyjnością łajdactwa. Skąd bowiem ta nasza zazdrość? Stąd, że tak atrakcyjnie nam się pokazuje różnego rodzaju łajdactwa, że w to wierzymy. To był problem starszego brata syna marnotrawnego, tego „porządnego”. Jeśli wczytamy się dokładnie w ten tekst, zauważymy, że ani słowa nie ma, na co roztrwonił majątek. Żył rozrzutnie. Koniec! Nie ma tam ani słowa na temat sposobu utraty pieniędzy. Natomiast brat syna marnotrawnego zdradza, czego zazdrościł:

*Lecz on odpowiedział ojcu: „Oto tyle lat ci służę i nigdy nie przekroczyłem twojego rozkazu; ale mnie nie dałeś nigdy koźlęcia, żebym się zaba-
wił z przyjaciółmi. Skoro jednak wrócił ten syn
twój, który roztrwonił twój majątek z nierząd-
nicami, kazałeś zabić dla niego utuczone cielę”
(Łk 15,29-30).*

Te oto właśnie nierządnicze były obecne w tęsknotach brata. On najwyraźniej marzył o tych wymaginowanych nierządnicach (być może ich w ogóle nie było), skoro zazdrościł ich i wypominał bratu. Przypowieść nie precyzuje, na co syn marnotrawny wydał pieniądze, ujawnia natomiast, że problemem starszego brata były chore marzenia o nierządnicach.

Tęsknimy do łajdactw, bo nam je przedstawiają jako coś atrakcyjnego – lecz nie wiemy, że nawet najatrakcyjniejsze i najprzyjemniejsze łajdactwo nie opłaci się nawet już tu, na ziemi. Istnieje takie dawne, trochę dziś już zapomniane, polskie porzekadło: Pan Bóg żałującemu przebacza zawsze, człowiek czasem, ale natura nigdy. Dlatego nie ma co zazdrościć łajdakowi łajdactwa. Bo po każdym grzechu zostanie rana – a po każdej ranie, nawet tej wyleczonej, aż do śmierci będzie już blizna. Niestety, bardzo wielu przekonuje się o tym na własnej skórze.

MIT O KONIECZNOŚCI DZIAŁANIA SEKSUALNEGO

Ogromnym zagrożeniem jest przede wszystkim postępująca demoralizacja nastolatków. Często można usłyszeć,

na przykład, taki mit, że mężczyzna koniecznie musi uprawiać seks, i to już od najwcześniejszych lat, w przeciwnym bowiem razie nieznaną ujęcia, nagromadzona w nim energia seksualna doprowadzi go do jakiejś choroby. Już nie mówiąc o podpowiedzi, że musi trenować z wieloma partnerkami, by być w tym dobry, żeby żona go nie zostawiła dla lepszego. A cóż za piramidalne bzdury! Gdyby tak rzecz się miała, nie istniałyby żadne zakony męskie, bo wszyscy żyjący w celibacie mnisi pozabijaliby się od nadmiaru testosteronu. Nie ma żadnej jednostki chorobowej wynikającej ze wstrzemięźliwości seksualnej – jest ich natomiast wiele przenoszonych drogą płciową z powodu rozwiązłości seksualnej. A co do „trenowania”, to wszystkie badania jednoznacznie potwierdzają, że najlepszym przygotowaniem wierności i jakości intymności małżeńskiej jest... czystość przedmałżeńska obojga!

PORANIENIA I CHORE TĘSKNOTY

Do poradni przychodzą małżeństwa nierzadko zniszczone od podstaw, już we wczesnej młodości. Bardzo powszechne są poranienia chłopców, głównie pornografią i masturbacją. (Dawny polski termin „samogwałt” jest dziś zakazany, bo zdradza negatywny aspekt tego sprzecznego z naturą działania.) Coraz częściej jednak straszliwie poranione są dziewczyny, kobiety.

Przykład z życia. Żona w dwa lata po ślubie, zdążyła urodzić dziecko i... zdradzić męża z pięcioma różnymi panami! W jaki sposób? Wchodziła na stronę internetową: „Jak bezpiecznie zdradzić męża” (naprawdę istnieją takie strony!)

i... zabawiała się. Oczywiście realizując wcześniej powstałe w jej głowie chore tęsknoty. Fachowo, zgodnie z instrukcją na stronie, zacierała ślady swej działalności. Kasowała ścieżki dostępu. Wydało się. Mąż informatyk odkrył tę dramatyczną prawdę. Ona tego nie przewidziała... I siedzą teraz razem przede mną w poradni. On, zraniony i przerażony, kocha ją, jest gotowy jej wybaczyć, chce tego, ale rozumie też, że nie można tego tolerować, więc się miota. Zdaje sobie sprawę, że musiał coś zaniedbać, że w ogóle do tego doszło. Gotów jest w trudzie naprawiać. W tym celu przyprowadził ją do poradni. Ona ubrana wyzywająco, mówiąc wprost, mocno roznegliżowana. (Już w tym ubiorze widać było brak refleksji nad tym, co zrobiła, brak skruchy, chęci zmiany postawy.) Jest smutna. Widzę i słyszę dlaczego i ogarnia mnie zgroza: ona jest smutna tylko dlatego, że się wydało! („Jak on do tego doszedł?”) W niej nadal tkwi tęsknota do zabaw seksualnych! Skąd się jej to wzięło? Została tym zainfekowana już w okresie dojrzewania. Tymi chorymi marzeniami o pozamałżeńskich ekscesach seksualnych. Były pisemka dla dziewcząt (m.in. z konkursami typu: „Opisz swój pierwszy raz”, adresowane do dziewczynek od 12 roku życia.) Były erotyki podbierane z półki mamusi, filmy, w których tak pięknie i fascynująco wszyscy się zdradzali... Ona nie chciała rozbijać małżeństwa, chciała się tylko pobawić. Przecież wszyscy to robią...

Nie trzeba żadnej świadomej winy, żeby człowiek popełniał koszmarnie błędy w dziedzinie seksualności w małżeństwie. Wystarczy ślepo słuchać serwowanych nam przez świat bzdurnych zaleceń i porad w tej kwestii, żeby przy dobrych intencjach całkowicie zrujnować sobie intymność małżeńską. Przykładowo, pornografia. Przecież żadna kobieta na świecie

w prawdziwym kontakcie intymnym nie wygląda tak, jak tamte „aktorki” z filmów porno; jej ciało tak nie reaguje. Żadna z tych „aktorek”, jeśli w ogóle ma prywatnie jakiegoś „partnera” – bo raczej przecież nie męża, choć i to dziś już nie jest takie oczywiste – z całą pewnością nie wygląda z nim tak, jak z „aktorem” na ekranie. Tam są montaże, podświetlenia, retusze, powtórki tych samych ujęć, sztuczne reakcje fizjologiczne i wyreżyserowane emocje. Mężczyźni, którzy to oglądają, nie wiedzą, że różnica pomiędzy seksem z filmu porno a rzeczywistym współżyciem intymnym jest jak pomiędzy filmem science-fiction a dokumentem. I nie mówi się im o tym, przeciwnie, podtrzymuje się w nich złudzenie, że tak to powinno w ich realnym życiu wyglądać. Jeśli nie wygląda – coś jest nie tak. Trzeba zmienić partnerów...

Co ma zrobić osoba zainfekowana w ten sposób? Co może zrobić małżeństwo, które pobiłdziło? Jak się ratować? Znam tylko jedną skuteczną metodę. Nawrócić się i zatęsknić do czystości. Czyli do normalności, do natury. (Dla wierzących – do planu Stwórcy.) Radykalnie skończyć z nieczystością, która jest sprzeczna z naturą, a więc wynaturzona i zawsze niszcząca. Do tego ludzkich sił zwykle nie wystarcza. Potrzebna jest łaska i trzeba się do niej odwoływać. O nią prosić. Ale łaska buduje na naturze: jeżeli ktoś spędził ileś godzin na śledzeniu, czytaniu, oglądaniu historii o zdradach, niech teraz dwa razy tyle czasu poświęci na oglądanie, czytanie słuchanie o historiach pięknych, mówiących o nawet trudnych, ale dozgonnych i wiernych miłościach. Żyjemy tym, czym się odżywiamy. Tak, trzeba zmienić „pokarm”, żeby z powrotem zatęsknić do tego, do czego człowiek jest przeznaczony z natury: do dozgonnej wierności w każdym powołaniu – czy to będzie małżeństwo,

czy kapłaństwo, czy życie zakonne. Bo tak naprawdę o sukcesie w każdym powołaniu ostatecznie decyduje wierność do końca. Warto uświadomić to sobie aż do bólu, że jeśli chcemy być naprawdę szczęśliwi, musimy oczyścić się ze wszystkich... brudnych, nieczystych tęsknot. Mamy prawdziwie zamarzyć o własnej... świętości, czyli zatęsknić do tego, co jest obiektywnie najpiękniejsze i najczystsze, i dające ekstremalne szczęście już tu, na ziemi. A jeżeli mamy oczyścić się z zatrucia, nie możemy popijać trucizny. Wobec tego normalny człowiek nie powinien oglądać filmów, w których wszyscy wszystkich zdradzają i do tego czerpią z tego same korzyści. Żadne dzieci nie są krzywdzone, nic w ogóle złego się nie dzieje. Widzowie kibicują kolejnym rozwodom bohaterów. Jest to igranie z ogniem. Albo, oglądanie programów, w których prowadzący czy jurorzy zachowują się ordynarnie, poniżej jakiegokolwiek poziomu przyzwoitości, jest przyzwalaniem na ten ordynarny poziom i styl. Nie wolno, to jest nieroztropne. Siedzi w nas to, czym się odżywiamy. Jeśli chcesz wyczyścić swoje głębokie tęsknoty, do których bezpośrednio nie masz dostępu, musisz wyczyścić to, do czego ten dostęp masz: czyny, mowę, świadome myślenie. Bo to przechodzi do wnętrza. Za tym dopiero pójdzie wyczyszczenie tych najskrytszych, nieświadomych tęsknot.

CZYNNIKI RUJNIJĄCE INTYMNOŚĆ MAŁŻEŃSKĄ

Powróćmy raz jeszcze do różnic w podejściu do współżycia małżeńskiego i w jego przeżywaniu. Niezrozumienie tych różnic jest źródłem wielu poważnych trudności a nawet wzajemnych oskarżeń.

Zdrowy mężczyzna funkcjonuje w ten sposób, że wystarcza bodziec wzrokowy, który przetworzony wyobraźnią (bodziec psychogeny) powoduje pełną gotowość do współżycia, a nawet pełną reakcję, jak we współżyciu. Z towarzyszącym mu napięciem i przyjemną ulgą wraz z jego rozładowaniem (wytrysk nasienia). Na skutek wspomnianych bodźców, spływa krew (każdy narząd gotujący się do pracy przyjmuje więcej krwi) i wypełnia ciała jamiste w członku, powodując jego wzwód. I mamy pełną gotowość do współżycia. Z punktu widzenia fizjologii na to wszystko wystarczy kilkadziesiąt sekund. Następne kilkadziesiąt sekund wystarczy na zjednoczenie narządów rozrodczych i wytrysk nasienia. Po około dwudziestu sekundach ustępuje wzwód i znika przyjemne napięcie. Dla niego jest „po wszystkim”. Przeżył bardzo silną, automatyczną przyjemność, a teraz jest odprężony (odbarczenie napięcia) i zmęczony. Najchętniej odwróciłby się do ściany i zasnął. (Co zresztą wielu robi.) Żebyśmy się dobrze rozumieli, ja nie mówię, że tak powinien postępować mężczyzna, tylko mówię, że jego fizjologia „umożliwia” takie postępowanie. Oczywiście mąż powinien w atmosferze miłości zatroszczyć się o żonę, uwzględniając jej sposób przeżywania, jej ograniczenia a nawet lęki. (Których zazwyczaj nie rozumie, co znacznie komplikuje sprawę i jest źródłem wielu kłopotów małżeńskich.)

A kobieta...? Jak podchodzi do współżycia? A zwłaszcza, jeśli to ma być jej pierwszy raz...? Podstawową przeszkodą dla kobiety jest... lęk. Źródłem tego lęku może być wiele. Lęk o to, że pocznie się dziecko, że mężczyzna ją zostawi, że jej w ogóle nie kocha, tylko myśli o swojej przyjemności, że popełnia grzech, a nawet tak „banalne”, że ktoś widzi, podsłuchuje,

że się wyda... itd., itp. Dodajmy, że wiele z tych lęków jest nie do usunięcia poza małżeństwem. Wówczas przeżywany lęk jest jak najbardziej pożyteczny, bo powinien ochronić przed złem, które z pewnością będzie owocować negatywnie w późniejszym życiu. Wśród tych wszystkich lęków, jeden jest wyjątkowy i zawsze największy przy pierwszym współżyciu. (Psychiczne prawo pierwszych połączeń tzw. imprinting, mówi, że pierwsze współżycie jest pamiętane do końca życia i jest „miarą” przykładaną do wszystkich następnych. Oczywiście tragedią, niestety bardzo częstą jest, gdy pierwsze współżycie odbywa się w lęku kobiety. Ma to miejsce zawsze poza małżeństwem!) Tym wyjątkowym lękiem jest lęk przed „wpuszczeniem mężczyzny w granice jej ciała”. Wbrew pozorom jest to ważne zagadnienie psychologiczne, trudne do zrozumienia przez mężczyzn, jako że nie może być w pełni jego udziałem. Jak uzmysłowić mężczyźnie realność tego lęku w kobiecie? Słyszałem kiedyś taką próbę uzmysłowienia tego mężczyźnie. (Sposób z pewnością niedoskonały, ale nie znalazłem, jak dotąd, lepszego.) Chłop jak dąb, dwa metry wzrostu i... boi się zastrzyku. Dlaczego? Że będzie „gig, kuj, kuj” (jak się mówi dzieciom)? Boi się ukłucia? Nie! On, zupełnie nieświadomy tego, tak naprawdę boi się „naruszenia jego jedności cielesno-psychiczno-duchowej”. On boi się naruszenia, zranienia całej swojej osoby! Już jako niemowlę, obrysował swoje ciało rączkami i „stwierdził” to jestem ja, ja cały i nie wolno tego naruszać! (oczywiście nie nazwał tego jednością cielesno-psychiczno-duchową). To dlatego bywa, że dorosły mężczyzna histeryzuje, gdy się skaleczy w paluszek. Dlatego boi się zastrzyku. Powiedzmy, że mężczyzna zachorował. Proponuję mu do wyboru dwie metody leczenia: pierwsza – będą przez

tydzień kilka razy dziennie boleśnie stukać młotkiem w kolano, druga – uspią go, znieczulą, rozetną brzuch, coś tam wytną, coś tam zszyją i obudzi się całkowicie zdrowy. Co wybierze, co powie? (Pod warunkiem, że sam nie jest chirurgiem, bo oni są oswojeni z wycinaniem, może nawet to lubią.)

– A walcie sobie w kolano, ile chcecie, ale wara od mojego brzucha. Nic mi nie będziecie rozcinać!

To dlatego większość mężczyzn bez wahania wybierze nawet tygodnie bolesnych zabiegów niż jedną operację. I ten mężczyzna, bojący się zastrzyku, nie rozumie, że kobieta może się czegoś bać. (Skoro ja się nie boję, to ty też nie masz prawa się bać! Nie wymyślaj mi tu jakichś fanaberii...)

To ten rodzaj lęku psychicznego przeżywa kobieta, gdy staje przed swoim pierwszym zbliżeniem intymnym: oto ma wpuścić „kogoś” w granice swego własnego ciała. Ten lęk może zlikwidować jedynie pełne poczucie bezpieczeństwa, które daje bezinteresowna, ofiarna miłość i odpowiedzialność za czyny i ich skutki ukochanego mężczyzny – męża. Dla wielu kobiet pierwsze współżycie jest... traumą do końca życia, bo odbyło się w atmosferze jej lęku. Trzeba ostrzegać młode dziewczyny przed pochopnym rozpoczynaniem współżycia na fali rozpełdzonych uczuć, bez trwałej miłości potwierdzonej zawarciem małżeństwa. Dlatego warto, aby dziewczyna zadała sobie pytanie, zanim rozpocznie współżycie: czy to są warunki, które sama z czystym sumieniem poleciłaby własnej córce?

To pytanie obowiązuje zresztą już do końca, przy każdym kolejnym kontakcie intymnym, również w małżeństwie. Kobieta ma wbudowaną w psychikę całą masę mechanizmów obronnych przed podejmowaniem współżycia w warunkach złych, lękowych, niekomfortowych. Dlaczego? Bo to ona

w swoim ciele ponosi wszystkie konsekwencje biologiczne współżycia. To w jej ciele się odbywa, za pierwszym razem zostaje zniszczona błona dziewicza, dalej następuje złożenie nasienia w jej drogach rodnych. Jak się pocznie dziecko, to przez dziewięć miesięcy ona będzie je nosić w sobie. Potem będzie je w trudzie je rodzić, karmić piersią. Biologiczny skutek współżycia dla mężczyzny kończy się po kilku minutach a dla kobiety trwa dwa lata. Więcej, to dziecko, które się w niej poczęło, które w sobie nosiła, rodziła i karmiła piersią, będzie jej dzieckiem do końca życia. I nawet gdyby się pogubiło w życiu, ona się go nie wyrzeknie. Takie całozyciowe skutki niesie współżycie dla kobiety. To właśnie dlatego kobieta została szczególnie wyposażona we wszystkie systemy ostrzegawcze przed pochopnym podejmowaniem współżycia.

No dobrze, skoro zatem wiadomo, że z założenia nie pasujemy do siebie seksualnie na poziomie psychicznym, na czym polega to słynne „dopasowanie”, o którym się tyle dyskutuje? Otóż, ono jest procesem, który wymaga wysiłku i czasu. Nie da się go przeprowadzić podczas jednego lub kilku kontaktów przed ślubem. Może się zacząć najwcześniej w dniu ślubu – i trwa przez całe dalsze życie. Dlaczego? Bo współżycie małżeńskie jest jednym z wielu (choć wyjątkowo ważnym) elementów budowy komunii osób. Przecież celem małżeństwa jest budowanie komunii osób, a tę buduje się całe życie, aż do śmierci. Także jednoczenie się ze sobą w wymiarze cielesnym, seksualnym, stanowi element tworzenia komunii dwojga małżonków, ponieważ człowiek jest bytem troistym, cielesno-psychiczno-duchowym.

Jeśli więc tego „dopasowania”, także w dziedzinie seksualności, trzeba się uczyć, to kto ma uczyć kogo? Kiedyś studenci

przysłali mi dwie fotografie. Na jednej z nich były skrzynki starego typu do podłączania prądu, mikrofonów, głośników, świateł... bananowe wtyczki, potencjometry, pokrętła, pełno diod i podpis: „Kobieta”. Ogromnie skomplikowane i złożone urządzenie. Na drugim zdjęciu znajdowało się równie duże urządzenie, a na środku tylko jeden kołeczek: „On/Off” i podpisane: „Mężczyzna”. No i tak właśnie mniej więcej wygląda nasze skomplikowanie w dziedzinie seksualności. I wobec takiego stanu rzeczy szczytem oszustwa jest, że to właśnie tego nieskomplikowanego mężczyznę świat zamianował ekspertem w dziedzinie seksu! „Nowoczesna” kultura okrzyknęła mężczyznę ekspertem od seksu, a kobietę zakneblowała, każąc jej siedzieć cicho! Absolutny majstersztyk, totalna blokada możliwości komunikowania się i w efekcie dopasowania! Mit eksperctwa męskiego jest szczególnie niebezpieczny, bo mimo jego oczywistej absurdalności został powszechnie przyjęty. Tak, ludzie nieświadomie weszli w to. Mężczyźni weszli w rolę ekspertów i się uczą, trenują – bo chcą być dobrzy. Kobiety siedzą cicho i znoszą fatalne zachowania mężczyzn, coraz bardziej tracąc ochotę do bliskości seksualnej, w której czują się wykorzystywane.

Nierzadko mąż zmusza żonę do odgrywania scen z filmów pornograficznych, ponieważ jest przecież ekspertem. Na własne oczy widział jak tamte kobiety były szczęśliwe. On chce żonę uszczęśliwić. Tylko ona (głupia) nie chce. Żona czuje wstręt, obrzydzenie i strach, zamyka się coraz bardziej w sobie... To nie teoretyczne rozważanie, a los bardzo wielu nieszczęśliwych małżeństw.

Przykład z życia. Przez kilkanaście lat małżeństwo funkcjonowało normalnie, bez większych ran w dziedzinie

seksualności. Dopóki on nie zmienił pracy. W nowym środowisku koledzy otworzyli mu oczy, dowiedział się od nich mianowicie, że to on ma obowiązek być ekspertem i uczyć żonę seksu. Nauczyli go oglądania filmów pornograficznych, które uczą, jak działać i o co w tym wszystkim chodzi. Zaczął żonę przymuszać do odgrywania scen z oglądanych filmów. Żona z obrzydzeniem odrzuca propozycje. Mąż wrzeszczy na nią, że jest głupia, ponieważ nie chce być szczęśliwa, więc żona przestaje w ogóle wyrażać zgodę na zbliżenie. Przyszła do poradni sama, u kresu wytrzymałości...

Zapamiętajmy to sobie wszyscy raz na zawsze: jedynym ekspertem od seksu w małżeństwie jest ta oto jedna żona, w tym konkretnym małżeństwie! Nie mąż, nie koledzy – ale też nie inne, cudze żony. Dlaczego? Ponieważ podstawową przeszkodą w budowaniu więzi i bliskości seksualnej jest lęk kobiety. I nikt nie wie nic na temat lęków tej jednej, konkretnej kobiety, tylko ona sama. Ona może mieć swoje własne, indywidualne lęki, o których sama nawet nie wie, skąd pochodzą. Ale wie, że się boi – i koniec. Mądry mąż „wsłuchuje się” z uwagą w lęki żony i pieczołowicie likwiduje wszystkie ich źródła. (Nawet zupełnie nie rozumiejąc przyczyn lęków.)

Czego kobiety boją się we współżyciu? Drodzy panowie, mam zła wiadomość: wszystkiego, a bywa, że co chwilę czegoś innego. To jest bardzo indywidualna sprawa. Oczywiście żona powinna najpierw sama sobie uzmysłwić, czego się boi. Potem nazwać to i opowiedzieć mężowi. Każda żona jest ekspertem od swoich lęków, jedynym kompetentnym w świecie.

Oczywiście, ja się nie podejmuję szczegółowego instruktażu. Mogę jedynie nakreślić, przykładami zilustrować problem, ale ostatecznie to żona ma uświadomić w tej kwestii swego męża.

Lęki mogą być trojaki. Pochodzące z uwarunkowań zewnętrznych w świecie materii, o źródle w wymiarze psychicznym i wreszcie sięgające wymiaru duchowego człowieka. Zaczynijmy od najprostszych.

Podam przykład: żona się boi, że teściowa podsłuchuje pod drzwiami ich sypialni. Rozważmy to. Możliwe są dwie sytuacje, albo podsłuchuje, albo nie podsłuchuje. Mąż dopuszcza myśl, że podsłuchuje. Co wtedy robi? Wstawia drugie drzwi, obija gąbką. Podejmuje czyn. To jest dla niego dosyć łatwe. Jest problem, rozwiązujemy. A co ma zrobić mąż, który wie, że mama na pewno nie podsłuchuje? Niestety, wielu próbuje tłumaczyć żonie, że nie ma się czego bać. A żona się i tak boi! Panowie, nie ma innego wyjścia: trzeba wstawić drugie drzwi i obić gąbką. Czy ona się boi czegoś racjonalnego czy irracjonalnego, to jej strach jest taki sam. Jest strachem paraliżującym ją i niszczącym waszą intymność, a w efekcie małżeństwo. Koniec, kropka. Żadne współżycie w warunkach niezlikwidowanego strachu żony nie zbliży was do siebie. Przeciwnie rozdrażni, sfrustruje, oddali...

Inny przykład: niezastłonięta firanka. Na parterze, gdzie byle przechodzień może zajrzeć, każdy głupi zasłoni firankę, to jasne. A co na trzydziestym, najwyższym piętrze, w hotelu nad brzegiem morza w podróży poślubnej, gdzie w pobliżu nie ma żadnego lotniska i drony nie latają...? A tu żona w ostatniej chwili mówi:

- Wstań i zasłoń firankę!
- A po co?
- No, wiesz... ktoś zajrzy.

Trzeba dużej klasy faceta, żeby w takim momencie, nie powiedział (tego, co pomyślał):

– Głupia jesteś – bo to mu się w tym momencie ciśnie na usta. Trzeba nad tym zapanować. PANowie! Bo skoro ona się boi, to trzeba coś zrobić, żeby się nie bała. Inaczej... wszystko przepadnie. Najprostsze to wstać i zasłonić firankę. Czemu to jest trudne dla mężczyzny? Bo jest irracjonalne. Spotyka się z irracjonalnymi źródłami strachu. Je też trzeba likwidować.

To jest to, co można i trzeba robić. Natomiast nie da się zmusić kobiety, by przestała się bać. Niestety wielu mężów próbuje to robić. Skutki tego są zawsze opłakane, niejednokrotnie dosłownie. Muszą być spełnione obiektywnie warunki do współżycia subiektywnie dobre dla żony. (Uff. Trudne zdanie, ale proszę je dobrze zrozumieć.)

Poczucie bezpieczeństwa żony we współżyciu powinno być tematem rozmów męża z żoną. Ona powinna sobie najpierw uświadomić swoje lęki, nazwać je, a potem opowiedzieć mężowi „bajkę o sobie”. W szczególności o wszystkich swoich lękach. Może pierwsza wersja niech będzie łagodna, tak jak się czyta pierwszy raz dzieciom o Czerwonym Kapturku – wilk tylko spojrzy groźnie na babcię, dopiero za którymś razem babcię zżera. Więc żona niech też będzie litościwa dla męża i niech taką bajkę mężowi pomalutku, na raty opowiada. Ale w końcu niech opowie mu ją aż do dna: o wszystkich swoich lękach, o niemiłych, krępujących odczuciach, o swoich tęsknotach. A mąż niech to potraktuje jako szczegółowe wytyczne, instruktaż traktowania żony. I już żadnego lęku nie ma, bo lęk jest właśnie kluczem do zrozumienia, dlaczego źle się dzieje między mężem i żoną. Wiadomo, że między kobietą a mężczyzną poza małżeństwem to musi się źle dziać. Ale między mężem a żoną nie musi. Może być i powinno coraz piękniej, coraz bardziej budująco dla komunii osób małżonków.

Żona, ekspert, powinna również nauczyć gestów ciała, sposobu dotyku jej najmilszego...

W latach siedemdziesiątych XX wieku o. Karol Meisner OSB na zamkniętych rekolekcjach dla małżeństw powiedział coś takiego:

– Niech żona weźmie rękę męża, wodzi po swoim ciele i informuje go, co przeżywa. Jaki dotyk jest miły, jaki krępujący.

W ten sposób chciał naruszyć ten mit o bierności kobiety wobec męża eksperta. Afera na całą Polskę! Klecha w Kościele pornografię uprawia! A kto podniósł głos? Ci, co napędzają bałagan seksualny. Bo się przestraszyli, że oto biznes wymyka im się z rąk. Najważniejszy mit niszczący normalne współżycie został zakwestionowany. A tak na marginesie, każda z pań będąca żoną niech sobie wyobrazi, czy z łatwością by to zrobiła? Wzięła rękę męża i wodząc po swym ciele opowiedziała, co czuje? Jeżeli z oporami (co podejrzewam), to właśnie stało się na skutek funkcjonowania tego mitu o nakazanej bierności kobiety. Wszyscy jesteśmy nim dotknięci. Piszę o bardzo delikatnych sprawach, gdzie wielu nosi w sobie najróżniejsze zranienia. Często bez żadnej własnej winy. Nie chciałbym tu nikogo urazić. Ja to piszę naprawdę najdelikatniej jak tylko potrafię. Jednak uznałem, że napisać trzeba.

Rozmawiam o tym w poradni od lat, dziesiątki, pewnie setki razy – kobiety doskonale weszły w tę rolę, nakazującą im milczenie w „tych” sprawach. Ona nie może nic powiedzieć, zaciska zęby i wszystko znosi. Oczywiście, prędzej czy później pojawia się ból głowy na samą myśl o współżyciu. Jest to w końcu rzeczywistość nieznośna, ale jej „nie wolno” o tym mówić.

Przykład z życia: trzydzieści lat po ślubie, wszystko poniszczone, totalna wojna, sfera seksualności zniszczona

kompletnie. (Oczywiście, jeżeli więź w codzienności jest zniszczona, nie może być mowy o pięknej intymności. Wie to każda kobieta, niestety, nie każdy mężczyzna. Częściej to z powodu milczenia kobiet na ten temat, ale też niechęci słuchania i przyjmowania do wiadomości przez mężczyzn.) Kobieta przyszła sama. Mąż już nigdzie nie pójdzie. Po dłuższym opisie dramatycznych układów w małżeństwie i rodzinie, mówi w pewnym momencie o współżyciu:

– Proszę pana, ja się męża brzydzę, on cuchnie. Żeby pan nie myślał, że ja mam jakieś wygórowane wymagania higieniczne, nie. Ja mam stałe stany zapalne pochwy nie do wyleczenia, bo w każdym współżyciu mąż przywleka nową infekcję.

Rozmawiam z nią godzinę. Już przestała płakać, już siedzi lekko rozluźniona, prawie się uśmiecha. W końcu, po iluś podpowiedziach, jak może próbować w pojedynkę zmieniać koszmarną codzienność, mówię:

– Proszę pani, wy, kobiety tak to potraficie, macie swoje sposoby. Pani tak mężowi przez kwiatek powie, że w prezenzie dla pani, że to pani ma taką fanaberię, żeby on dodatkowo, w tym dniu współżycia, się umył.

Jak ona to usłyszała, to uniosła się w foteliku, zacisnęła palce na poręczach, cały z trudem zbudowany spokój znikł. Nie powiedziała, tylko wykrzyknęła:

– Ja mu tego nigdy w życiu nie powiem, bo on by tego nie przeżył!

Już nie pytałem, czy tego mycia by nie przeżył. Oczywiście, on nie przeżyłby tego, że ona jemu, ekspertowi, zwraca uwagę! Ona doskonale weszła w tę rolę nakazaną przez obłąkańczą kulturę, przez ten mit mężczyzny eksperta i milczącej kobiety.

Wielokrotnie zdarza się, że mężczyźni, uwierzywszy w mit, budują „pracowicie” swoje doświadczenie i umiejętności, by... zachwyć żonę w łóżku. Zdarzało mi się, naprawdę, słyszeć takie teksty (w poradni katolickiej, przy Kościele!):

– Proszę pana, moja żona jest jakaś nienormalna, głupia. Ja jestem naprawdę niezły, z wieloma kobietami to robiłem i wszystkie były zachwycone. Różne sztuczki umiem, a żona się nie zgadza, głupia. Co mam zrobić?

Biedny człowieku, już tak zablokowałeś swoją żonę, że nic dziwnego, że ona się nie zgadza!

Kobiety mogą nam poszerzyć horyzonty, że spotkanie seksualne to nie tylko silne doznanie, pod którego przemożnym wpływem my, mężczyźni, często pozostajemy. Tak, jest ono dla nas zawsze bardzo silne i praktycznie automatyczne. Niestety, może być mylące, bo zagraża to koncentracją wyłącznie na doznaniu. A to niezwykle zubaża współżycie. Odziera je z wymiaru psychicznego i duchowego w spotkaniu dwojga osób. Tu ważna rola kobiety. Ona może (i powinna) wskazać, jak bardzo ważnym elementem składowym spotkania małżeńskiego jest więź psychiczna.

Pięć minut po straszliwej awanturze przeciętny, normalny mężczyzna może wskoczyć do łóżka – i jeszcze szczerze powie, że jest to piękny sposób pojednania i wybaczenia, odcięcie wszystkiego grubą kreską. A kobieta? Żadna normalna kobieta sama z siebie nie będzie chciała zbliżenia krótko po awanturze, zwłaszcza takiej, której towarzyszył krzyk. A jeśli się zgodzi, będzie się czuła... użyta, wykorzystana. Będzie się czuła prawie jakby była gwałcona, mimo, że formalnie, pod jego presją, się zgodziła... Czasem żony z goryczą mówią:

– Czuję się jak używany przedmiot, jak szmata, dziwka...
(Czasem padają jeszcze dosadniejsze określenia.)

Tak to określają obolałe psychicznie kobiety, naprawdę bardzo wrażliwe. Dla kobiety gra wstępna zaczyna się od rana, a może od wczoraj... a kto wie, może nawet od dnia poznania. Wszystkie „smutki i radości” kobieta w sobie nosi i to wpływa na jej nastawienie do męża w sytuacji intymnej dziś. Nie jest to złośliwość ani pamiętliwość – choć często mężczyźni tak to odbierają.

Pamiętam, któregoś dnia przyszedł do poradni pan profesor z dziedziny biologicznej. Siedemnaście lat po ślubie, ciągle jego wyjazdy na wykłady, na stypendia... To nigdy nie służy dobru małżeństwa a ich małżeństwo rzeczywiście się sypało.

W pewnym momencie on mówi:

– Ale, proszę pana, moja żona jest taka wredna – pamiętam jak wycedził to słowo, zupełnie niepasujące do jego eleganckiego wyglądu i nominalnie wysokiego poziomu (profesor!) – że jak się pokłócimy, to ona za karę wieczorem nie zgadza się na współżycie! Widział pan coś takiego?

Człowiek o najwyższym statusie i niczego nie rozumie! A z drugiej strony, ta kobieta, również z wyższym wykształceniem, nie potrafi mu przekazać, że ona naprawdę tak nie może. Ona już weszła w rolę, siedzi cicho i myśli sobie tylko z żalem, że on powinien to wiedzieć! Ona to wie doskonale, on też powinien to wiedzieć. Nie, drogie panie, my nie będziemy wiedzieć, czego wy nas o sobie nie nauczycie.

Poważnym problemem w małżeństwie jest subiektywne poczucie męża, że jest odrzucany przez żonę w sferze intymnej. To odrzucenie, obok zanegowania jego mądrości, jest najboleśniej odbierane przez mężów.

Wielu mężów uważa, że żona nigdy nie powinna odmówić mężowi współżycia! Co więcej, wielu opacznie interpretuje słowa Pisma Świętego: *żona nie rozporządza własnym ciałem, lecz jej mąż* (1 Kor 7,4) jako przyzwolenie na wszystko, co w ich głowach (nierzadko zaśmieconych pornografią) powstaje.

W tym wszystkim apeluję do żon, by dbały o to, by mąż w swoim subiektywnym odczuciu nie poczuł się odrzucony. Tak więc wtedy gdy (z ważnych powodów) powinna wręcz odmówić współżycia, powinna mu jasno wytłumaczyć, dlaczego i go poprosić, aby sam zrezygnował. On, oczywiście, zapyta, dlaczego. I nie wolno mu wówczas odpowiedzieć:

– Sam powinieneś wiedzieć!

Nie, nie, żadne takie! On niejednokrotnie naprawdę nie wie, nawet tego, co dla każdej kobiety jest wprost oczywiste. Powiedz mu:

– Ja po takiej awanturze nie mogę. We mnie w środku wszystko jest poranione. Gdybym się teraz zgodziła, działałabym wbrew sobie. To nasze „zbliżenie” by nas z pewnością od siebie oddaliło. Stwórzmy sobie dwa piękne dni, bez awantur (niejedna musi dodać: bez alkoholu) i spotkajmy się po tym czasie, pojutrze. Warto zadbać o to, by mąż nie czuł się odrzucony przez żonę.

To bardzo ważne. Dlaczego? Ponieważ dla mężczyzny poczucie odrzucenia seksualnego jest wyjątkowo, skrajnie bolesne. Oczywiście to nie znaczy, że dla kobiety nie jest (i zdarza się coraz częściej), ale jednak dla mężczyzny jest to bardziej dotkliwe. W małżeństwach z niewielkim stażem najczęściej dzieje się tak, że on pragnie zbliżeń znacznie częściej niż ona. I niezadowoleni są oboje, ponieważ on uważa, że to jest kosztownie rzadko, a ona, że przesadnie często.

Przykład z życia. Młodziutka para, kilka tygodni po ślubie przyszła właśnie z tym problemem. Byli bardzo spięci. Gdy więc ona wyznała ze wstydem, że kłócą się w zasadzie tylko o to, jak często powinni się kochać, zażartowałem dla rozładowania napięcia:

– Ależ powinniście się kochać na okrągło, codziennie od rana do wieczora! – i... ujrzałem w jego oczach dzikie błyski, a w jej autentyczne przerażenie. Prędko dodałem, wyjaśniając, że kochać powinni się zawsze, ale jak i kiedy mają wyrażać miłość przez współżycie to kwestia do uzgodnienia. Jeśli chodzi o wyrażanie miłości poprzez współżycie, to żadna para nie jest dopasowana do siebie i trzeba to wypracować. (A ściślej, wypracowywać przez całe życie.) Trzeba się w tej kwestii dogadać, po prostu.

Dzisiaj coraz częściej zdarzają się sytuacje, gdy to żona chce zbliżenia, a mąż odmawia. Dzieje się tak zwłaszcza w związkach o dłuższym stażu. Przed laty to też dawało się zauważyć, jednak obecnie jest to problem coraz bardziej powszechny. Powodów jest zapewne wiele, ale wśród nich poważnym staje się wchodzenie dużej grupy mężczyzn na ścieżkę własnej, wtórnej impotencji. Przyczyn jest kilka. Są sytuacje, gdy mężczyzna – któremu wmówiono, że jego męskość zależy od tego, jak funkcjonuje seksualnie – sam wycofuje się z podejmowania współżycia, ponieważ boi się, że nie jest dość dobry. Kiedy się nasłucha, jak też jako facet powinien funkcjonować, jakie powinien mieć parametry ciała – często z obawy o swoją męskość zaczyna wynajdywać preteksty, aby unikać współżycia.

Obniżenie „zapotrzebowania” na współżycie czterdziestoparolatków związane bywa z życiem w nieustannym stresie i przemęczeniu fizycznym. Nierzadko z powodu robienia

kariery. Inną przyczyną tego zjawiska są długoletnie posługiwanie się pornografią i towarzyszącemu mu zwykle samogwałtem. Czasem wprost następuje ucieczka od współżycia do zachowań autoerotycznych. I wreszcie przyczyną niechęci męża do współżycia z żoną są po prostu zdrady.

Niezależnie od tego, kto zgłasza pragnienie częstszych kontaktów, jeśli nie ma ważnych powodów, aby się od współżycia powstrzymywać, należy się zgadzać. To jest dowód miłości, normalny środek wyrażania miłości małżeńskiej, potrzebny tak kobietom, jak i mężczyznom. Nie chodzi o to, byśmy współżyli wyłącznie wtedy, gdy właśnie oboje w tej samej chwili mamy na to straszną ochotę. Wystarczy, że jedna strona zgłasza takie pragnienie, to druga powinna się zgodzić, jeśli nie ma poważnych przeciwwskazań. A jeżeli są, to powinna współmałżonkowi to jasno, z miłością wytłumaczyć.

Niestety, niektóre żony manipulują tą sferą, ponieważ widzą, jak bardzo jest to ważne dla męża. Spotykałem sytuacje (w poradni), gdy w którymś momencie mąż czuje się tak, jakby był pogardzanym przez żonę niższym bytem, takim zwierzątkiem, które MUSI. Ona nie musi, jest ponad to, a on musi, więc ona czasem łaskawie się zgadza. On tego nie wytrzymuje i... buntuje się i wyprowadza z sypialni. A ona nagle się przeraża. Pojawiają się myśli, że pewnie już nie jest dla niego atrakcyjna, pewnie znalazł sobie młodszą. Cierpi, nie jest świadoma, że zafundowała to sobie sama.

Nie trzeba żadnej złej woli, żadnego złego czynu, żadnej zdrady, żeby było źle. Wystarczy tylko uwierzyć temu, komu nie trzeba. Słuchać podszeptów tego świata i wierzyć w rozpowszechniane mity, fałszujące rzeczywistość seksualności. Zła wiedza prowadzi do złego działania i niszczenia więzi.

Jaka jest rada? Uczynić kobietę ekspertem, wbrew obowiązującym mitom. Dla kobiety istnieje ścisły, podstawowy związek pomiędzy bliskością seksualną a więzią emocjonalną. Bardzo wiele żon zaciska zęby i znosi koszmarnie zachowania mężów, które wcale nie płyną ze złej woli. A ci mężowie nie są tego świadomi, ponieważ one im tego nie mówią. Przy żonie ekspercie takich sytuacji w ogóle by nie było. Żona widzi to szerzej, docenia wartość więzi psychicznej i duchowej. Trzeba się wznieść na poziom duchowy, ponad poziom reakcji ciała. Atrakcyjność bliskości fizycznej mierzy się głębią spotkania osób, a nie reakcjami ciała. Kobiety to wiedzą. I gdyby to żony rządziły tą sferą, mężowie przejmowałiby pełną odpowiedzialność za tę sferę i żony nie miałyby się czego bać. I wszyscy „żyliby długo i szczęśliwie”. Jak w bajkach. Dosłownie!

SPOSOBY ODBUDOWANIA ZNISZCZONEJ KOMUNII OSÓB

Każdy rozpad pożycia seksualnego w małżeństwie z reguły poprzedza rozpad więzi emocjonalnej między małżonkami. Intymność małżeńska jest swoistym papierkiem lakmusowym, pokazującym stan związku. Przez lata spotykałem przypadki naprawdę tragiczne – i na własne oczy widziałem też wiele autentycznych cudownych napraw zniszczonych małżeństw. Wszystkie cudowne naprawy były powiązane z nawróceniem, z powrotem do Boga, praktyk religijnych, do sakramentów. Nigdy zatem nie wolno się załamywać. Bóg każdemu daje szansę i nikogo nie pozostawia bez pomocy. Nawet najbardziej poranione i zrujnowane małżeństwo sakramentalne może się podnieść i osiągnąć szczęście, ponieważ, jak powiedział

Archanioł Gabriel do Najświętszej Maryi Panny: *Dla Boga bowiem nie ma nic niemożliwego* (Łk 1,37). Trzeba tylko spełnić jeden warunek wstępny: nawrócić się i radykalnie zerwać z wszelkim bałaganem seksualnym i z wszelką nieczystością w relacjach małżeńskich.

Dzisiaj nie trzeba mieć złej woli, żeby siebie poranić, świat nam to sam doskonale organizuje. Jakkolwiek sfera ta nie byłaby poraniona, zawsze da się ją odbudować. Zawsze! Wszyscy możemy sobie zbudować czystość seksualną od teraz aż do końca życia. Można odbudować czystość seksualną w małżeństwie nawet po wielu latach cudzołóstwa i nieczystości. Można też odbudować czystość w pojedynkę, nie mogąc żyć w związku sakramentalnym – i to też jest ogromna wartość. Ale trzeba do czystości zatęsknić i to jest najtrudniejsze. Ci wszyscy, którzy źle w życiu zaczęli, którzy weszli w małżeństwo lub żyli w nim niezgodnie z Bożymi prawami – także i oni mają szansę zbudować trwały i szczęśliwy związek, o ile zmienią swoje myślenie na Boże. Bóg może podnieść każdego człowieka, z nawet najcięższych życiowych doświadczeń i grzechów, jeśli tylko człowiek zechce z Nim współpracować.

Najszczęśliwszy człowiek to ten, który ma czyste tęsknoty. Wtedy cała jego energia życiowa idzie w ich spełnianie. Bywałem w środowiskach ludzi, będących często po przejściach, głęboko poranionych, którzy odnaleźli w sobie tęsknotę do prawdziwej czystości. Są takie rekolekcje Ruchu Czystych Serc, organizowane przez redakcję czasopisma „Miłujcie się!”. Tam się naprawdę cuda dzieją! Autentyczne cuda! Uwierzcie, dzieją się one na naszych oczach! Już samo to, że można w jednym miejscu ujrzeć dwieście osób, które tęsknią w sposób piękny do czystości w tym zanieczyszczonym, splugawionym świecie,

który wyśmiewa się wręcz z czystości – już samo to jest cudem. Przebywanie w środowisku tych ludzi jest dla mnie zawsze nie-samowitym pozytywnym ładunkiem, również emocjonalnym. Ta atmosfera wpływa pozytywnie na wszystkich. Niby ja coś młodym daję przez wykłady i rozmowy, ale ja przy nich więcej korzystam. Napawam się ich wiara i entuzjazmem...

Pamiętam taki przypadek: oto pojawił się na tych rekolekcjach chłopak, którego strój i wygląd jednoznacznie wskazywały, że... z innej przybył bajki. Kurtka z czarnej skóry, reszta ubrań też czarna, czarne buciory ponabijane cekinami. Ozdoby białe i srebrne, zygzyki, kolczyki... Chodził na wszystkie zajęcia, siadał w ostatnim rzędzie, patrzył w sufit. Z czasem przesunął się do przodu, zaczął aktywnie słuchać. Zaczął przychodzić na nocne nieobowiązkowe adoracje... Nadeszła ostatnia Msza, kończąca rekolekcje. W pewnym momencie ksiądz powiedział, że teraz jest moment, w którym można złożyć krótkie świadectwo, jeżeli ktoś chce się podzielić tym, co tu przeżył. Zgłosiło się kilku chętnych, ale on wyszedł przed wszystkich i powiedział mocnym głosem:

– Ja!

I zaczął mówić:

– Przyjechałem tu jako niewierzący.

Przerwał i zaczął od nowa:

– Bzdury gadam! Przyjechałem tu jako zdeklarowany satanista. Spytacie, dlaczego? Biznes! Rodzice obiecali, że jak tu przyjadę i będę uczestniczył we wszystkich obowiązkowych zajęciach, to dadzą mi kasę na resztę wakacji na wyjazdy z kolejami. Nie mogłem oszukać, bo tu jest moja siostra.

(Nie muszę dodawać, że w tym czasie, gdy on mówił, non stop płakała. Zresztą, wielu miało łzy w oczach.)

– Ja stąd wyjeżdżam jako człowiek wierzący. To wyście mnie porazili.

Wskazał palcem na tłum młodzieży. Tak, marzenie o czystości, o bliskości z Chrystusem, dobre treści, Eucharystia, adoracja stwarzają atmosferę... zaraźliwą. Warto tam być i dać się zarazić.

Innym razem był deszczowy rok, lato bez przerwy. Robiłem tam intensywną katechezę przedmażeńską (tzw. kurs przedmażeński). Wykłady od rana do wieczora i do tego rozmowy. Oczywiście Eucharystia, adoracja... Skończyłem i wróciłem do domu, a po niedługim czasie pojechałem na weekendowe rekolekcje Ruchu Czystych Serc. I tam podeszła do mnie kobieta, po trzydziestce, która powiedziała mi, że była na tamtych dziesięciodniowych rekolekcjach. Nic by w tym nie było dziwnego, gdyby nie fakt, że była zdeklarowaną, znaną z mediów, wojującą feministką-aktywistką. Trafiła do tamtego ośrodka rekolekcyjnego, bo chciała pochodzić po górkach, a gdzie indziej nie znalazła miejsca noclegowego. A ponieważ bez przerwy lato, z nudów zaczęła przychodzić na te zajęcia... posłuchać, jakie to bzdury te głupie katole opowiadają. I, mimo negatywnego nastawienia, po prostu... nawróciła się. Zerwała wszystkie „nowoczesne” kontakty i powróciła do rodziny, starych, przyzwoitych przyjaciół. Do porzuconej wiary i praktyk religijnych. Po kilku miesiącach przyjechała na wymagające rekolekcje jako pełnoprawna uczestniczka!

Nasiąkamy tym, w atmosferze czego przebywamy. Dlatego warto, po stokroć warto tworzyć ruchy i wspólnoty ludzi, którzy pięknie pragną! W każdej sytuacji można żyć w czystości! Ale nie wszyscy to wiedzą, wielu wydaje się, że dziś to jest niemożliwe, nierealne, a nawet „niehumanitarne” (jak twierdzą

niektórzy, zwłaszcza ci, co sobie sami z sobą nie radzą!). Nieprawda! Z Bogiem możliwe jest wszystko!

Przejdźmy na teren małżeństwa. Tu też, z Bożą pomocą, wszystko można ponaprawiać. Jednak po ludzku trzeba postępować mądrze. Ludzie skrzywdzeni w małżeństwie nierzadko reagują agresją. Tymczasem nawrócenie, spokój, wybaczenie, a nawet wdzięczność za to, co było dobre, może prowadzić do pojednania. Widziałem niejednokrotnie pojednanie małżeństw, które doszły do bardzo ostrego kryzysu a nawet się formalnie rozpadły, które były już po rozwodzie. Do refleksji, rewizji decyzji rozejścia i ewentualnego powrotu do siebie się jest potrzebny przyjazny klimat. Jeśli mąż przy każdym spotkaniu – na „widzeniu” z dziećmi, czy w sądzie – słyszy cały czas wciąż od nowa, jakim był draniem, jakim bydlęciem, jak w 100% jest wszystkiemu winny, to on do takiego domu nie wróci. Ale zupełnie inaczej wygląda sytuacja, jeśli on przy jakiejś okazji usłyszy refleksję:

– Tak naprawdę to było dużo dobrych rzeczy w naszym małżeństwie. Ile bym dała za to, żeby móc jeszcze raz to małżeństwo budować... Choć oczywiście nie na tych samych zasadach, do których oboje wcześniej dopuściliśmy.

Bywają takie sytuacje, gdy to naprawdę jest możliwe. Oczywiście, wejście współmałżonka w nowy związek, a zwłaszcza dzieci w nim, bardzo komplikują możliwość powrotu. Ale i nawet wówczas... powroty się zdarzają. Znam takie przypadki. Znam powrót do siebie sakramentalnych małżonków, którzy po rozwodzie weszli w cywilne związki, mieli w nich dzieci. Po głębokim nawróceniu powrócili do siebie i teraz mają trójkę dzieci z jej związku cywilnego, jedno dziecko z jego związku i wreszcie po powrocie do siebie doczekali się piątego – wspólnego rodzzonego dziecka.

Jeśli obie strony weszły w nowe związki, jeśli obie strony mają niesakramentalne dzieci, jeśli powrót rzeczywiście nie jest w żaden sposób możliwy, być może dążenie do życia w czystości i zapewnienia dzieciom miłości obojga rodziców byłoby tutaj rozsądne. Jednak mogą snuć tylko takie domysły, nie jestem w żaden sposób uprawniony do wydawania werdyktów, a tym bardziej osądów. I absolutnie nie chciałbym być sędzią w takich sprawach, gdy sakramentalni małżonkowie się rozchodzą bezdzietni, wchodzą w nowe związki, w których rodzą się dzieci... Dzieci mają prawo do obojga miłości i do miłości wzajemnej rodziców – lecz czy dziecko ma być ważniejsze od sakramentu?! Czy da się pogodzić ludzką powinność opieki nad rodzonymi dziećmi i sakramentalne zobowiązanie do wierności przysiędze złożonej przed Bogiem? Takie szczególne sytuacje uwzględnił Papież Jan Paweł II w adhortacji *Familiaris Consortio*. Warunkiem powrotu do sakramentów jest zaprzestanie grzeszenia, w tym wypadku cudzołóstwa. Wierni w takiej sytuacji powinni powrócić do czystości, żyjąc w małżeństwie cywilnym jak brat z siostrą. Jest to trudne, lecz możliwe, co potwierdzają wcale nie tak mało liczne przypadki (sam znam ich wiele). Wówczas, małżonkowie cywilni, którzy żyją w czystości (przestali cudzołóżyć), mogą w pełni uczestniczyć w Eucharystii, przyjmując Komunię Świętą.

Mamy w Kościele katolickim siedem sakramentów. Jeśli, przykładowo, kapłan złamie sakrament kapłaństwa i w wyniku jego związku z kobietą rodzi się dziecko, on pozostaje kapłanem nadal. Jeśli się nawraca, wraca do sakramentu – choć, oczywiście, łoży na swoje dziecko, ma obowiązki względem niego. Sakrament zawsze jest najważniejszy. Istnieje jednak czynnik ludzki: krzywdza niewinnego dziecka. Trzeba starać się maksymalnie

zminimalizować krzywdę ludzką. To w takich skrajnie trudnych sytuacjach wymaga wielu przemodleń, rozmów z doświadczonymi duszpasterzami, doświadczonymi na różne sposoby małżeństwami. Nam często się zdarza, że chcielibyśmy szukać dobrych rozwiązań po złych decyzjach. Zauważmy, że te wszystkie sytuacje „bez wyjścia” poprzedzone są zawsze grzechem, zdradą. Czasem znalezienie dobra bezpośrednio po wyrządzeniu zła nie jest zwyczajnie możliwe. Czasami potrzeba będzie dłuższego czasu, aby wrócić, odnaleźć dobro, ponieważ jest prawdą niezaprzeczną, że grzech wywołuje tragiczne spustoszenie w życiu grzeszącego i całego jego otoczenia.

Oczywiście sytuacja staje się mniej drastyczna, gdy nawrócenie wiarołomnego współmałżonka dokonuje się w czasie, kiedy obowiązek wychowawczy jest już wypełniony, bo dzieci z drugiego związku już dorosły. Wtedy z pewnością powrót jest dużo łatwiejszy. Jasne, że wtedy też takie, nawet dorosłe, dzieci tracą grunt pod nogami, bo zniszczona zostaje relacja między ich rodzicami – ale można wówczas wykorzystać tę sytuację do ewangelizacji, pokazując rangę sakramentu. Bóg potrafi z ludzkiego zła wyprowadzać nieskończenie większe dobro. Ale potrzeba szczerego przyłgnięcia do Niego, szczerego nawrócenia. Znam kobietę, która zdradziła męża, urodziła dziecko, a mąż ją przyjął razem z dzieckiem. Znam też mężczyznę, który po śmierci drugiej żony wrócił do pierwszej, sakramentalnej, z kilkorgiem dzieci – i żona przyjęła. Takie cuda dzieją się, gdy w życiu człowieka działa Bóg. Opowiadano mi też o tym, że w jednym z polskich miast sąd nie orzekł rozpadu więzi duchowej małżonków i nie udzielił rozwodu, pomimo że w małżeństwie nie narodziły się dzieci, a w związku pozamałżeńskim tak. Przykład jest niesamowity – warto

byłoby sprawdzić, czy ta pani sędzia jeszcze pracuje w naszych realiach i modlić się za nią gorąco.

Tutaj pojawia się kolejny niesłychanie trudny temat. Jeśli bowiem ojciec odchodzi od prawowitej żony i dziecka, to jak porzucona, samotna matka może przeciwdziałać wynikającej stąd demoralizacji dzieci oraz mechanizmowi budowania sobie przez nie nieprawdziwych obrazów Boga – na wzór tatusia, który zdradza? A z drugiej strony, jak ojciec, który po zdradzie nawraca się i powraca na łono sakramentalnej rodziny, pozostawiając porzucone nieślubne, niewinne dzieci, może wpływać na to, aby nie dorastały one w poczuciu krzywdy „wyrządzonej” przez Boga? (Przecież ze względu na Boga powrócił do sakramentalnej żony, zostawiając „cywilne” dzieci i ich matkę.) Wszystkie te problemy nie są jednak „zaplanowane przez Boga” tylko spowodowane przez człowieka, który odszedł od Boga i złamał Jego przykazania. Każde zawinione zło jest konsekwencją wcześniejszego grzechu.

Bo prawdą jest, paradoksalnie, że lepiej, gdy ojciec umrze, niż kiedy odejdzie do innej kobiety. Jeśli umrze, może być wzorcem wartości do końca życia. On kochał mamę do końca życia, może być przywoływany, można się w wychowaniu odwoływać do taty, który w niebie jest dumny z dorastającego synka czy córeczki. Ale ojciec, który poszedł do innej kobiety, definitywnie zniszczył miłość z mamą, rujnując podstawę poczucia bezpieczeństwa u dzieci, czynnie zanegował nierozwalność małżeństwa... Tego się nie da naprawić. Krzywda wyrządzona dzieciom (zresztą żonie i... sobie też) jest nieodwołalna i zawsze negatywna, czasem tragiczna w skutkach. Niestety, prawdą jest również, że konsekwencje grzechów rodziców przechodzą na ich dzieci. To widać nawet w wymiarze

psychicznym. Dzieci obserwują rodziców i przejmują ich postawy. Czy mężczyźni wiedzą, czy nie wiedzą, jakoś zawsze wychowują dzieci. A najważniejsze, fundamentalne postawy życiowe dzieci wynikają z podglądania ojca, nie matki. Matka daje całe ciepło, bezpieczeństwo, jest potrzebna, niezbędna, ale w kwestiach decyzji życiowych dzieci patrzą na ojca.

Trzeba naprawdę genialnej matki, aby w sytuacji, gdy wychowuje ona dziecko samotnie, jej dziecko wierzyło w trwałość małżeństwa i nie tylko pragnęło stworzenia trwałej więzi, ale przy pierwszym kryzysie nie wpadło na pomysł rozwodu. Bo jak zwykła matka wyjaśni swym dzieciom, czemu ich rodzice się rozwiedli? Powie im:

– Rozwód jest wielkim złem. Ale w pewnych sytuacjach jest, niestety, konieczny. U nas tak właśnie było. (Mówi tak, by dobrze wyglądać w oczach dzieci. Zwykle dodaje, że to wszystko przez... tatę.)

I te „pewne sytuacje” pojawiają się na pierwszym zakręcie w małżeństwie jej dorosłych dzieci.

Ale matka wielka, genialna, krocząca drogą świętości powie dzieciom:

– Ja się do końca nie zgadzałam na rozwód. Tato odszedł, popełnił grzech – ale my kochajmy go i módlmy się za niego, bo jego życie wieczne jest zagrożone. Wyrządził nam wielką krzywdę, ale zapewne w jakimś stopniu ja też się do tego przyczyniłam, choć starałam się kochać go najlepiej jak umiałam. (A gdy np. był tam nałóg alkoholowy, doda: – Tato jest chory na straszną chorobę: alkoholizm, która nie pozwala normalnie funkcjonować w życiu. Będziemy się modlić, by wyzdrowiał.)

Pierwszą i podstawową sprawą (dla wszystkich, ale dla samotnych matek czy ojców w szczególności) bez wątpienia jest

wpajanie dzieciom ze wszystkich sił i na wszystkie możliwe sposoby niezachwianego poczucia, że są kochane przez Boga. Zakorzenia w nich przeświadczenia, że Bóg kocha je bezwarunkowo i będzie kochał nawet gdyby się pogubiły w życiu i od Niego odeszły. Bo taka jest natura Boga. On tak ma! Oczywiście nie jest to możliwe bez własnej, głębokiej wiary. Spotykamy, niestety, bunt na Pana Boga, po odejściu męża, przekłada się na tragiczną krzywdę wyrządzaną nieświadomie dzieciom. Miłość nigdy nie krzywdzi, a więc powstaje pytanie, czy taka matka kocha dzieci. Niestety, wyrządzana krzywda (nawet nieświadomie) jest dowodem na brak miłości (mądrej). Mówimy czasem o tzw. „małpiej miłości”, polegającej na spełnianiu zachcianek dzieci a niedbającej o prawdziwe ich dobro. Tak więc wszystkie rozumne samotne matki, chcąc zachować prawo do mówienia, że kochają dzieci, mimo już wyrządzonej im krzywdy przez brak ojca, powinny się gorliwie nawracać. Jak konkretnie? Przez zdwojenie praktyk religijnych, co przy ich szczerości zawsze przekłada się na pogłębienie wiary.

Oprócz tej podstawowej sprawy – wiary w Boga i w Jego bezwarunkową miłość, samotna matka może przynajmniej częściowo łątać dziurę powstałą po braku ojca, na poziomie relacji ludzkich wskazując na dostępne w najbliższym otoczeniu wzorce męskości i ojcostwa: wujka, dziadka, drużynowego, wychowawcę, katechetę, kapłana – ważne, żeby to był prawdziwy, dojrzały mężczyzna. Najlepiej żeby weszła do wspólnoty, gdzie są normalne, pełne przyzwoite małżeństwa, które jej dziecko mogłoby „podglądać” i po prostu wśród nich pobycć.

Niezależnie od naszych wysiłków wychowawczych, mamy zawsze jako samotnie wychowujący rodzice jeszcze jedną rezerwę, która daje ogromną nadzieję na uzupełnienie braków

w wychowaniu, zawsze spowodowanych niepełną rodziną. Myślę tu o samowychowaniu. Wdrożenie dziecka w samowychowanie, to bodaj jedno z najważniejszych zadań wychowawczych rodziców. Tak, dziecko, które podjęło uczciwy trud samowychowania, może zniwelować wszystkie niedoskonałości domu rodzinnego, ba, może i powinno znacznie przerosnąć własnych rodziców.

Dziś samowychowanie w nastawionym na użycie i zdemoralizowanym świecie, najdelikatniej mówiąc, jest niemożliwe. Zastępuje się je hedonistycznymi hasłami „róbta co chceta”. (A tak na marginesie: „rób co chcesz” albo „rób, na co masz ochotę” to naczelne hasło współczesnego satanizmu, z którym wielu, często nieświadomie, współpracuje.) Mówienie o samowychowaniu i nieodłącznie związanej z nim świadomie wybieranej ascezie, dziś z pogardą odsyła się do średniowiecza, do ciemnogrodu. Podstawowa literatura na ten temat pochodzi z dwudziestolecia międzywojennego, cała klasyka pochodzi z tamtych czasów. Po wojnie stało się to tematem zakazanym.

Ze współczesnych chciałbym wskazać na książkę: *Trud rozwoju*, autorstwa pani Marii Grzywak-Kaczyńskiej (wieloletni profesor KUL, wychowawca pokoleń psychologów). Napisała ją w wieku ponad dziewięćdziesięciu lat, jako rodzaj swojego testamentu. Wychowała się jako osoba niewierząca, nawróciła się pod koniec życia. Napisała przepiękną mądrościową książkę, w której na prosty, jasny, logiczny język przełożyła swoją ogromną wiedzę psychologa, na użytek zwykłych ludzi. Książka jest wielkim wezwaniem do pracy nad sobą i pomocą w zrozumieniu siebie i sensu swojego życia.

Na czym w największym skrócie ten trud rozwoju, czyli samowychowanie, polega? Na systematycznie coraz większym

przejmowaniu kontroli nad swoim życiem przy użyciu rozumu i woli. Rozumem trzeba rozpoznawać, co jest dobre a co złe, a wolą przymuszać się do czynienia dobra a unikania zła. Znamy starożytną maksymę: „Czyń dobro, zła unikaj”. Kluczową sprawą jest właściwe rozpoznanie dobra. Do tego jest potrzebna spójna, całościowa (obejmująca wszystkie dziedziny życia) hierarchia wartości. Dla wierzących, jest nią hierarchia nieomylna, bo dana wprost przez Boga Stwórcę, a opisana w przykazaniach. Tragedią jest, gdy ktoś w swoim życiu kieruje się fałszywą (sprzeczną z naturą, czyli planem Stwórcy) hierarchią wartości. Są tacy, którzy za pozytywną wartość przyjmują nawet zabijanie (innowierców, starców, chorych, dzieci nienarodzonych...). Mogą oni osiągnąć „wolność” w ramach wyznawanych poglądów, ale nigdy nie osiągną szczęścia, bowiem działają sprzecznie z naturą człowieka, w tym wypadku określoną przykazaniem: „nie zabijaj”. Drugą trudnością w całożyciowym procesie samowychowania są braki w woli. Rozum wie, co dobre, więcej, pragnie tego, ale życie rozbija się o brak wolnej woli, by móc od siebie samego to dobro wyegzekwować. To urasta do dramatu, który zawsze powoduje choroba woli, jaką jest każdy nałóg. Warunkiem osiągnięcia szczęścia w życiu jest podjęcie radykalnej walki z nałogiem. Widziałem wiele zwycięstw na tym polu, osiągniętych nieraz heroicznym trudem. Jednak zawsze sukces był związany z wcześniejszym... nawróceniem i z obfitym korzystaniem z łask sakramentalnych. (Ja niczego w tym momencie nie twierdzę, tylko opisuję, jakie mam doświadczenie. Wnioski zostawiam czytelnikowi.) Osiągnięcie wolności wewnętrznej, pozwalającej zawsze wybierać dobro a odrzucać zło, umożliwia człowiekowi zadysponowanie swoim życiem. Wybór drogi miłości, rozumianej jako „bezinteresowny

dar z siebie”. By siebie dać, trzeba siebie wcześniej posiadać, sobą w sposób wolny władać.

Trud samowychowania, trud rozwoju, trud kształtowania własnego charakteru, z którego nikt nie jest zwolniony, jest zadaniem życiowym każdego człowieka. Zadaniem względem siebie samego.

Niezależnie od tego, jakie wzorce otrzymaliśmy od naszych rodziców, każdy z nas jest zobowiązany uczynić siebie samego zdolnym do miłości. W tym celu konieczne jest podjęcie trudu samowychowania, a mądre jest korzystanie z łaski Bożej. „Łaska buduje na naturze” – nauczał św. Tomasz z Akwinu. Każdy z nas powinien samodzielnie, pokornie prosić o łaskę Stwórcy, by urosnąć do szczytu wolności, do której został przez Niego stworzony, do świętości – do pełnej wolności czynienia dobra a odrzucenia zła, bez względu na okoliczności i możliwe koszty. Ostatecznie nawet za cenę życia! (Tego nie da się osiągnąć wyłącznie ludzkimi siłami.) A więc w tym rozumieniu każdy człowiek osobiście – i nikt za niego tego nie robi – musi dorosnąć do miłości, czyli pokonać swój egoizm, by móc dawać bezinteresowne dobro, bezinteresowny dar z siebie samego. Tak właśnie uczy św. Jan Paweł II. (wielokrotnie przywoływał zdanie z *Gaudium et spes*: „Człowiek w pełni nie może odnaleźć siebie inaczej, jak tylko jako bezinteresowny dar z siebie samego”). I każdy z nas powinien uczciwie trudzić się, żeby osiągnąć szczęście. Nie ma szczęścia bez trudu. Właśnie ten trud jest pewną przyprawą, nadającą „smak” szczęściu. W im większym trudzie zdobywamy coś, tym większe daje nam to zadowolenie i radość. Jeśli ktoś wyrósł w normalnej, dobrej, przyzwoitej rodzinie i założył normalną, dobrą, przyzwoitą rodzinę, oczywiście, że jest to powód do radości. Ale jeśli ktoś wyrósł w rodzinie połamanej i założył

normalną, dobrą, przyzwoitą rodzinę, to jest to dużo większy powód do radości, do dumy, do zadowolenia. Ci, którzy mieli gorszy start w życiu, niech przestaną opowiadać o krzywdach wyniesionych z dzieciństwa, usprawiedliwiając w ten sposób porażki dorosłego życia. Jesteś dorosłym człowiekiem i musisz sam się nad sobą potrudzić. I to, czego nie dostałeś w domu za darmo, musisz wypracować w sobie sam. Taka jest twoja powinność, jako człowieka względem siebie samego. Bo to jedyna droga do pełni szczęścia, do którego wszyscy zostaliśmy stworzeni.

Przykład z życia: chłopak wyrósł w socjalistycznym domu dziecka. Nie wyniósł stamtąd żadnych wartości. Przeciwnie, wartości religijne były nie tylko zanegowane, ale dodatkowo wyszydzone. Bzdury dla ciemniaków, opium dla ludu... Był bystry, uciekł od swej koszmarniej rzeczywistości w naukę. Uczył się dobrze, więc chyba, jako jedyne dziecko z tej placówki trafił do liceum, reszta do zawodówek. Podstawówka była na terenie domu (nauczyciele przychodzili na lekcje), jak on to nazwał, więzienia. Rzeczywiście dom dziecka był otoczony wysokim murem, którego nie wolno było przekraczać. Liceum było na mieście. Został więc uwolniony, mógł opuszczać „więzienie”. Na początku pierwszej klasy spytano go, czy będzie chodził na katechezę. Nie wiedział, co to znaczy. Piętnastoletni chłopak nie znał znaczenia tego słowa. Nie był, oczywiście, ochrzczony. Matkę widział dwa razy w życiu – raz trzeźwą, a raz pijaną. Skrajna patologia. Nie odebrano jej praw rodzicielskich, bo raz w miesiącu dzwoniła do portiera i kazała mu to odnotowywać. Nawet nie pytała o syna. To wystarczyło dla polskiego socjalistycznego sądu, by jej nie odebrać praw rodzicielskich. Skutkiem czego, chłopak nie mógł pójść do adopcji i był skazany na dom dziecka do pełnoletniości (był tam do matury zdanej

w wieku 19 lat). Kim był jego ojciec, nie wiedział. Zresztą, matka też nie bardzo wiedziała, który z przychodzących do niej panów był ojcem... W takich warunkach dorastał. I w szkole średniej trafił na katechezę. Postanowił chodzić dla wygłupu, dla zgrywu. A młody, ale konkretny, bardzo inteligentny kapłan zaczął mu zadawać pytania. Chłopak podjął wyzwanie. Zaczął myśleć na poważne tematy, zaczął się zastanawiać nad sobą, nad sensem życia. Dobrze postawiony ciąg pytań i uczciwa próba odpowiedzi na nie doprowadziła go do nawrócenia, a ściślej odkrycia Boga. Nawrócił się „do bólu” (takie zazwyczaj są dorosłe nawrócenia). W czasie czterech lat liceum ochrzcił się, przyjął Pierwszą Komunię, bierzmowanie. Źródłem jego nawrócenia, poza wspomnianym kapłanem, było Pismo Święte, z którym się nie rozstawał. Znał je na wrywki. By lepiej poznać Boga, którego odkrył, studiował teologię.

Zaprzagnął założyć rodzinę, ale nie wiedział, co to jest rodzina. Kapłan więc wysłał go na Studium Rodziny – tam się spotkaliśmy. Prowadziliśmy wówczas z żoną na Papieskim Wydziale Teologicznym w Poznaniu pomaturalne dwuletnie studium o rodzinie. Raz w tygodniu wykłady i ćwiczenia. Trochę teologii, trochę psychologii, trochę pedagogiki, metody naturalne planowania poczęć – ot, wszystkiego po trochu. Do końca życia nie zapomnę widoku tego chłopaka, który zawsze nosił ze sobą pod pachą Pismo Święte. On wszystko notował, potem zgłaszał się na rozmowy indywidualne. Przyznam, że początkowo były dla mnie szokujące i trudne. Przykładowo: siadał z notesem w dłoni, długopis przygotowany do pisania (wiem, że zapisze każde słowo), patrzył mi w oczy i mówił:

– Dobrze, wyobraźmy sobie, że jestem ojcem rodziny. Wracam po pracy do domu. Przekraczam próg. Co dalej?

On nigdy tego nie widział. Nie wiedział, czy przekroczywszy ten próg ma się walnąć na tapczan, krzyżeć na żonę, bić dzieci, czy co innego robić? On nigdy nie widział żadnego zachowania, nawet złego, co dopiero mówić o wzorowym. Tłumaczyłem mu, a on notował, notował, notował. Skończył studium i wyjechał daleko od Poznania. Nawet czasem myślałem sobie, co się też z nim dzieje. Czy udało mu się założyć rodzinę, w której przygotowanie włożył tyle trudu? Po kilkunastu latach wpadliśmy na siebie na ulicy. Gęba uśmiechnięta od ucha do ucha. Tryskający radością. Na powitanie wyrecytował:

– Jestem szczęśliwym człowiekiem, szczęśliwym mężem, szczęśliwym ojcem...

(Od tamtego czasu sam tak się często przedstawiam, dodając jeszcze: „Jestem szczęśliwym teściem i szczęśliwym dziadkiem”. Wszak to kwintesencja. Po to żyjemy, byśmy byli szczęśliwi!) I, dalej, opowiada, że założył rodzinę. Jest ojcem trójki dzieci. Wspólnie z żoną zdecydowali, że dopóki są jeszcze małe, on będzie jedynym żywicielem rodziny, a żona pozostanie w domu, by pracować przy dzieciach.

– Bo małe dzieci potrzebują matki 24 godziny na dobę – wyrecytował to, czego się nauczył na studium.) Jest zadowolony z życia. Żona jest szczęśliwa. Dzieci się pięknie rozwijają, są szczęśliwe. Jemu niczego już więcej do szczęścia nie trzeba. Dokonał rzeczy największej: przełamał to, na co, wydawać by się mogło, był skazany od urodzenia. Założył własną, szczęśliwą rodzinę, wkładając w to ogromny wysiłek i wieloletni trud. A podstawą jego sukcesu, poza tytaniczną pracą, którą wykonał, było takie naprawdę głębokie nawrócenie, do bólu. To prawdziwe nawrócenie, prawdziwe przywiązanie się do Boga, stały przewodnik duchowy, regularne sakramenty, Msza święta nie tylko w niedzielę.

W tamtym przypadku osobą, która pomogła mu odnaleźć sens życia, był mężczyzna, kapłan, który przecież nie był biologicznym ojcem. W pewnym sensie go zastąpił. Nie ma rzeczy niemożliwych. Potrzebne jest tylko głębokie nawrócenie i trud samowychowania. Obawy samotnych matek oraz tych ojców, którzy w imię wierności sakramentowi musieli odejść od nieślubnych dzieci, są uzasadnione – ale zawierzenie Bogu, który jest jedynym źródłem ojcostwa, może uczynić cuda. Możemy też – i powinniśmy! – zawierać nasze dzieci, naszą rodzinę świętym. Na przykład św. Józefowi, wzorowi odpowiedzialnego męża i ojca. W niebie są całe rzesze świętych, którzy tylko czekają, aby wstawiać się do Boga za nami. Choćby dzieci niewinnie zabite drogą aborcji. Nie są kanonizowane, to prawda – lecz z nauczania św. Jana Pawła II wiemy (potwierdził to papież Benedykt XVI), że są to święci Boży, bez żadnej winy uczynkowej. Możemy się odwoływać do tych świętych dzieci, prosząc je o wstawiennictwo za naszymi dziećmi.

Wobec szerzącej się rozwiązłości seksualnej, mody na tzw. „wolne związki” (oczywiście znacznie częściej rozpadające się niż formalnie zawarte małżeństwa) i prawdziwej plagi rozwodów wiele dzieci wychowuje się bez rodziców (tych, którzy ich „zrodzili”). Rozwód skutkuje dramatycznym (i zawsze traumatycznym) odcinaniem dzieci od rodziców. Sądy nagminnie przyznają dzieci matkom i wychowują je często nowi partnerzy matek (konkubenci), a nie biologiczni, prawdziwi ojcowie. Zresztą, tym odcina się często dostęp do dzieci, nie tylko w przypadku, gdy rzeczywiście byli głęboko patologiczni, czy nawet zagrażali zdrowiu i życiu żony i dzieci. Prawowitym ojcom. Mówi się, że najgorsza matka lepsza niż najlepszy ojciec. Tymczasem tylko przy małym dziecku przyznawanie niemal automatycznie matce jest

uzasadnione psychologicznie i nawet biologicznie. Przy starszym już nie. Ojcowie po rozwodzie są często niesprawiedliwie izolowani od dzieci. By się temu przeciwstawiać, ojcowie tacy zrzeszają się i próbują bronić swych praw. Dzieci często chcą się widywać z ojcami, ale pod presją matek nie dochodzi do spotkań. Utrudnianie kontaktu ojcom z dziećmi jest powszechne w naszym kraju, również niezależnie od wyroku sądu. Prawo jest obecnie tak skonstruowane i praktyka jego egzekwowania jest taka, że w zasadzie ojciec, któremu nie pozwala się nawet na tę skromną ilość „widzeń”, które mu przyznano, ma tylko jeden konkretny instrument: może zaskarżyć żonę, żeby zapłaciła grzywnę. Z tych pieniędzy, które on za chwilę zapłaci na dziecko... Oczywiście tych licznych tragedii by nie było, gdyby wszystkie małżeństwa dozgonnie się kochały, były sobie wierne do śmierci i kochały oraz po katolicku wychowywały dzieci (czyli takie, jakie w przysiędze małżeńskiej obiecywali założyć wierzący małżonkowie).

Paradoks polega na tym, że czasami niewygoda rozwodu przywraca małżeństwo. Często bywa tak, że kobieta zdradzająca męża układa sobie w głowie bajkowy scenariusz (nierzadko podpowiadany przez „życzliwą”, świeżo rozwiedzioną koleżankę): rozwiodą się, jej sąd przyzna dziecko, bo przecież jest matką, zamieszkają z nowym partnerem – a tamten jeleni będzie płacił alimenty. Dobrze jest, jeśli mąż wraz z rozumnym, uczciwym adwokatem zburzy tę wizję i postraszy żonę, że skoro to ona rozbiła małżeństwo, dziecko zostanie przy nim – a ona i konkubent będą płacić alimenty jemu. Czasami to wystarczy. Kobieta zmuszona wybierać między dzieckiem a kochankiem w większości przypadków wybierze jednak dziecko. Gdy matce grozi utrata dziecka, często wietrzeją z głowy amory. Choć niestety spotykałem się z takim „opętaniem” zakochanej

kobiety, że była gotowa zostawić mężowi malutkie (przedszkolne) dzieci i odejść z kochankiem.

Jednak zdrady i odejścia męża i ojca od żony i dzieci zdarzają się ciągle jeszcze częściej, niż odejście żony i matki. Choć odejścia żon są, niestety, coraz częstsze.

Przykład z życia. Facet miał trójkę dzieci, poznał inną kobietę, odszedł. Na jego prośbę mamusia, „przykładna katoliczka z pierwszych ławek w kościele”, niestety, obrzydliwie oczerniła w sądzie swą synową, po to, aby orzeczono rozwód z jej winy. Robiła to „z miłości” do synka, któremu wszystko poświęciła samotnie wychowując. Chciała umożliwić mu „szczęście” z... kochanką. Oskarżenia były tak obrzydliwe, że nie godzi ich się nawet cytować. Pani sędzia jednak poznała się na tych kłamstwach i orzekła rozwód z winy męża, który ewidentnie zdradził i odszedł do innej kobiety. Oczywiście za tym w ślad poszedł obowiązek pokąźnych płatności (mieli kredyt na mieszkanie, w którym ona z dziećmi mieszkała), nie licząc alimentów na trójkę dzieci. Nowa konkubina nie chciała partnera z takimi zobowiązaniami i... puściła go w trąbę, w jednej chwili zrywając związek. Gość pokręcił się trochę, pokręcił i z podkulonym ogonem wrócił w końcu do żony. Żona go przyjęła, wybaczyła. Uznała, że działał w amoku, był chory. (W pewnym sensie słusznie.) Przyszli do poradni półtora roku po wybaczonej zdradzie. Z jakim problemem? Od tego czasu dzieci nie widziały jeszcze babci. Nie dlatego, że synowa nie może wybaczyć. Dlatego, że ona nie jest w stanie spojrzeć w oczy swojej synowej i własnym wnukom. Czasami potrzeba wielu, wielu lat, aby przy nawet najlepszej woli odbudować zrujnowane międzyludzkie relacje. Nasuwa się prosty wniosek: dbajmy o piękne relacje małżeńskie i rodzinne zawczasu.

ZAKOŃCZENIE

Aco zrobić w sytuacji najtrudniejszej, gdy współmałżonek po prostu odszedł? Czy to już koniec, czy już nic nie można zrobić? Z Bożej perspektywy sytuacja małżonka porzuconego jest o „całe niebo” (i to dość dosłownie) lepsza od tego, który odszedł. Porzucony może być wierny przysiędze małżeńskiej do końca, może żyć w stanie łaski uświęcającej i czerpać moc z sakramentów. (Do czego szczerze zachęcam.) Oczywiście, że nie jest to z pewnością dla niego sytuacja łatwa, ale na pewno nie beznadziejna. Wręcz może stać się rozwojowa duchowo. Znam wiele sytuacji, gdzie rozwód paradoksalnie przybliżył porzuconego małżonka do Boga. Nawet będąc opuszczonym do końca życia, może wzrastać w świętości i czerpać szczęście z relacji miłości z Bogiem. Jednak szczęście płynące z relacji międzyludzkich jest ograniczone. Może płynąć z relacji z dziećmi, relacji miłości z rodzicami a nawet teściami (tak!), z relacji z innymi ludźmi też. Jednak najważniejsza z relacji ludzkich – małżeńska została zniszczona. Pełnia szczęścia jest niemożliwa, aż... do powrotu współmałżonka. Tak więc modlitwa i zabieganie o powrót nawróconego małżonka do końca życia ma najgłębszy sens...

Owszem, ten współmałżonek, który odszedł, mógłby żyć w czystości nawet nie wracając do żony (męża), ale on też nie osiągnie pełni szczęścia. Powiedzmy, że dla dobra dzieci trwa

w drugim związku. Podejmuje decyzję o życiu w czystości. Tylko szkopał w tym, że nie może narzucić jednostronnie tego tej kolejnej osobie – matce lub ojcu dziecka. Zło jest jak kręgi na wodzie, rozszerza się. Sytuacje, które nazywamy bez wyjścia, zawsze poprzedzone są jakimś złem, grzechem. To nie Bóg stawia człowieka w takich sytuacjach, to człowiek, łamiąc przykazania Boże, sam się w takie sytuacje łąduje. A potem oskarża się Kościół (który tłumaczy naukę Boga i strzeże jej), o bezdusność, że nie dopuszcza do Komunii Świętej ludzi żyjących w powtórnych związkach. Tę kwestię rozstrzygnął raz na zawsze sam Chrystus, wypowiadając słowa: „Kto oddała swoją żonę i łączy się z inną, cudzołoży, kto łączy się z oddaloną cudzołoży” (por. Mt 5,32; 19,9). Tych słów do końca świata nikt nie ma mocy odwołać. Zostały wypowiedziane, i to dwukrotnie! Można się im sprzeniewierzyć, ale odwołać nie!

Popatrzmy jak Kościół katolicki dba o trwałość małżeństw. Popatrzmy na to w świetle przysięgi małżeńskiej. Co my sobie obiecaliśmy? Przed wypowiedzeniem znanych słów roty przysięgi, kapłan w imieniu Kościoła zadaje trzy pytania skierowane do narzeczonych. Pierwsze pytanie: czy z własnej woli i bez żadnego przymusu? Ludzie dorośli, przy zdrowych zmysłach. Przy takim stanie wiedzy, jaką mamy, decydujemy się być z tą osobą do końca życia, czyli z własnej woli i bez żadnego przymusu. Ze sobą na warunkach, jakie określa Kościół katolicki. (Inaczej byśmy do Kościoła nie przyszli z własnej woli.)

Drugie pytanie: czy w dobrej i złej doli, w zdrowiu i w chorobie wytrwacie do śmierci? Tak, bardzo wiele udręczonych np. alkoholizmem męża kobiet, mówi, że to jest już nie do wytrzymania. I czasami to rzeczywiście jest nie do wytrzymania i trzeba dokonać separacji, bo istnieje zagrożenie dla zdrowia,

dla życia, ale to nie zwalnia ze zobowiązania aż do śmierci. Dlatego osobiście nigdy nikomu nie doradzałem rozwodu. Natomiast czasową separację albo sprawdzenie czy małżeństwo zostało w ogóle ważnie zawarte, na przestrzeni czterdziestu lat, po kilka razy i to zawsze w przypadkach bardzo drastycznych. Rozwód jest dezercją z „pola walki”. Niczego tak naprawdę nie rozwiązuje, tylko jest haniebną kapitulacją. Rozwodu żądają ludzie dla obrony siebie, lub dla realizacji swoich egoistycznych „nowych planów”. Ale skoro jesteśmy wzajemnie odpowiedzialni za swoje zbawienie, musimy zagubionego współmałżonka bronić przed rozwodem, niemalże do upadłego.

To, że współmałżonek odszedł, jeszcze nie znaczy, że musi być potępiany, choć wkroczył na drogę ku potępieniu, zdecydowanie tak. Ale mamy się o tego współmałżonka, który odszedł, troszczyć aż do śmierci. Obiecaliśmy to jemu i Bogu. Nawet jeśli są trudne uczucia, nawet gdy się pojawia nienawiść – z którą trzeba zawsze walczyć, bo nienawiść człowieka zawsze niszczy – to i tak można narzucić sobie troskę o jego dobro. Dobro współmałżonka, który odszedł. A najwyższe dobro to nawrócenie i zbawienie.

Trzecie pytanie: czy przyjmiecie z miłością, a więc z troską o dobro, potomstwo i je po katolicku wychowacie? Jest to zobowiązanie, że przyjmiecie każde poczęte dziecko, zarówno to upragnione, jak i to, które się poczęło nie w porę, a nawet i to, które się poczęło zupełnie wbrew planom, przyjmiecie z miłością, z troską o jego dobro i po katolicku wychowacie. To są nasze zobowiązania, które wypowiadamy jeszcze przed złożeniem formalnej przysięgi, chociaż są one już jej częścią, niejako wstępem, przed wypowiedzeniem rotę przysięgi:

„Ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci”. Tymi słowami narzeczeni udzielają sobie ślubu. Tak, sobie. Bo szafarzami sakramentu małżeństwa są sami narzeczeni. Oni udzielają sobie ślubu, a kapłan jest świadkiem z ramienia Kościoła i błogosławi ich w imieniu Chrystusa.

Prześledźmy słowa roty przysięgi. Co sobie narzeczeni obiecują? Po pierwsze: ślubuję ci miłość. Czym jest miłość, którą sobie ślubujemy? Miłość to troska o dobro. Ja tobie obiecuję, że będę troszczył się o twoje dobro. Oczywiście najwyższym dobrem człowieka jest jego zbawienie. Tak, żona męża, nawet tego nieznośnego, który jest w domu, i nawet żona męża, który odszedł z domu, do końca życia jest zobowiązana do troski o jego zbawienie. I to może być trudne, bo wbrew uczuciom. Ślubuję ci miłość, czyli troskę o twoje zbawienie, do końca życia i cokolwiek zrobisz. To nie jest ślub, że będę do końca życia troszczyć się o twoje dobro, jeżeli ty będziesz miły, grzeczny i wierny. Bez względu na to, co zrobisz. Oczywiście dokładnie to samo zobowiązuje męża względem żony.

Po drugie: ślubuję ci wierność. I znowu ta jednostronność, bezwarunkowość deklaracji. Ja ci ślubuję wierność, a ty i tak odejdziesz! Nawet jak zwiążesz się z drugą, piątą, dziesiątą osobą, nawet jak zupełnie się pogubisz, ja ci ślubuję wierność. Ten ślub można wypełnić jednostronnie, choć nie mówię, że to jest łatwe. Tylko że tak naprawdę nikt nie obiecywał, że będzie to łatwe. Wzorem miłości męża do żony jest miłość Chrystusa do Kościoła – ta miłość, która zaprowadziła Jezusa na krzyż. A my przy pierwszym najdrobniejszym krzyżyku, przy najdrobniejszej trudności, buntujemy się, bo nie miało tak być! Przecież miało być łatwo i przyjemnie! Nikt nie obiecywał, że

ma być łatwo, wręcz przeciwnie, nam te trudności są wręcz potrzebne. Oczywiście trudność człowieka może załamać lub wypaczyć, może uczynić go nieuczciwym, jak będzie nieuczciwie trudności pokonywać. Ale każda trudność może człowieka też wzmocnić. I tak patrzmy na trudności, które spotykamy w całym życiu, nie tylko w małżeństwie. To jest okazja do osobistego wzrostu, czyli do przybliżenia się do własnego szczęścia. Trzeba życzyć wszystkim nowożeńcom, żeby napotkali dużo trudności, ale nie tych, które ich załamią, tylko tych, które pokonają wspólnie i to wzmocni ich więź.

Dobrze, ale czym jest taka doskonała wierność? Ja to ilustruję następująco: gdy jestem z żoną, moje zachowanie wobec innych kobiet jest takie samo, jak wówczas, gdy żony nie ma obok mnie. Niewierność nie znaczy, że wskakuję do łóżka z inną babą. Jeżeli ja inaczej traktuję kobiety, kiedy żona nie widzi, to już w tym momencie jestem niewierny. Chociaż ja się przyznam, że ja rzeczywiście traktowałem je inaczej: ostrożniej. W chwili, kiedy byłem bez żony, dużo ostrożniej się wygłupiałem, dużo ostrożniej bajerowałem, dużo ostrożniej mówiłem komplementy, żeby sobie któraś przypadkiem czegoś nie pomyślała. Ja nieświadomie wprowadziłem sobie taką autokontrolę, żeby przypadkiem któraś kobieta sobie nie pomyślała, że ją podrywam, że jej coś proponuję. I jest to moim zdaniem właściwe rozumienie wierności. (Oczywiście powyższe jest wspomnieniem lat dawnych, kiedy byłem „piękny i młody”. Dziś to mi z tego tylko „i” zostało. Jestem już bezpieczny.)

Zatrzymajmy się na chwile nad brakiem wiary w wierność współmałżonka. Chyba nie ma nic bardziej destrukcyjnego dla małżeństwa niż brak zaufania. Miałem kiedyś w poradni

przykład takiej chorobliwej zazdrości. On rozwoził po sklepach towary, zaopatrzeniowiec, miał tych punktów wiele. Jeździł samochodem prywatnym i żona wyliczyła, że to za długo trwa, on ją na pewno zdradza, więc wsiadła mu do samochodu, wzięła do ręki listę i po kolei przed każdym sklepem wkładała mu towary do ręki. Oczywiście to trwało krócej. Pewnie nie tylko dlatego, że ona mu to wyszykowała, co zajmuje trochę czasu, ale również dlatego, że nie miał czasu ani ochoty z kimkolwiek pogadać po drodze, bo przecież ona z zegarkiem w ręku siedzi w samochodzie! No więc pomiary te tylko utwierdziły ją w przekonaniu, że on na pewno ją zdradza, bo o godzinę mniej zajął mu przejazd z żoną...

Zazdrość może być tak niezdolna, że ludzie rzeczywiście nie wytrzymują tego. Pamiętam taką parę, trudne małżeństwo, ono się rozeszło i zostało później uznane za nieważne przez sąd kościelny. Oboje byli, jak się to delikatnie mówi, po przejściach, również w tej dziedzinie seksualnej, mieli oboje trudne i przykre doświadczenia. Dobrała się taka para życiowych połamańców. Rzeczywiście się nawrócili, żyli przyzwoicie. Poznałem ich, gdy już byli dziesięć lat w małżeństwie, ich starsze dziecko miało dziesięć, a młodsze jakieś siedem lat. Ten mężczyzna był obsesyjnie zazdrosny. Próbowaliśmy różnych chwytów, żeby razem poszli do psychologów. On oświadczył, że nie pójdzie, bo jest normalny, przecież wszystkiemu była winna jego żona! To jest typowe dla nas, mężczyzn, potrafimy tak ułożyć fakty w jeden, zgodny ciąg logiczny, że zawsze wyjdzie na nasze. Mamy umiejętność wytłumaczenia i usprawiedliwienia siebie w każdej sytuacji. To jest wielkie zagrożenie dla wzrostu mężczyzny. Bo, skoro ona jest winna, to dlaczego ja mam się zmieniać? Tamten mąż posądzał żonę o zdradę

z każdym mężczyzną, z którym się spotykała: z inkasentem prądu, listonoszem, kominiarzem, księdzem proboszczem, komendantem policji, z każdym – i miał na to „niezbite dowody”, oczywiście. On tę żonę na swój sposób kochał, tylko że najchętniej zamknąłby ją w złotej klatce. Półtora, może dwa lata spotykaliśmy się dość regularnie, no i mur, o wszystkim można było rozmawiać, ale tutaj blokada kompletna!

Któregoś dnia wychodziłem z konferencji prasowej ze znajomą. Byłem wtedy wiceprezesem Stowarzyszenia Rodzin Katolickich Archidiecezji Poznańskiej, a ona prezesem. Chodziło coś o obronę życia, o jakąś antykoncepcję, coś z tej branży seksualności. Oczywiście dziennikarze rzucili się, żeby nas pożreć. Tymczasem dziennikarze trochę poujadali, ale nic nie utargowali, a nawet wręcz przeciwnie. Wyszło na to, że raczej oni się ośmieszili i postawą, i niewiedzą. Wyszliśmy zadowoleni. Oczywiście oboje byliśmy nienagannie ubrani, znajoma piękna i bardzo elegancka kobieta. Wyszliśmy, uradowani, roześmiani. Szliśmy chodnikiem obok siebie, nawet się nie dotykając. On szedł z przeciwka (tamten mąż posądzający o zdradę żonę). Gdy on nas zobaczył, to prawie wszedł pod samochód zaparkowany na chodniku, kucnął, udawał, że łączy but, tyłem do nas, oczywiście. Potem wstał i prawie biegiem znikł za rogiem. Byłem zdziwiony. Co mu się stało...? Za kilka dni byliśmy umówieni na kolejne spotkanie, ale już więcej nie przyszedł. Po co on będzie chodził do Pulikowskiego, skoro Pulikowski zdradza żonę?! Przecież widział mnie, przyłapał na gorącym uczynku, szedłem z kobietą! Biedny człowiek, cierpiał na obsesyjną zazdrość. Wierności można upilnować wyłącznie „od środka”, trzeba stworzyć takie warunki, żebyśmy oboje chcieli tej wierności pilnować – a nie

sprawdzać kalendarz, notes, maile, telefon, bilingi. Znam nawet taką sytuację, gdzie żona tak długo mężowi wmawiała, że ją zdradza, że on się przyznał, myśląc, że wtedy zapanuje spokój. Oczywiście, wiadomo, co się rozpętało, jak się przyznał! Na szczęście było możliwe udokumentowanie, że jednak nie, ale sytuacja była naprawdę dramatyczna.

W rzeczy samej wierność jest podstawowym, ostatecznym podsumowaniem każdego powołania. Każdego! Kapłańskiego, małżeńskiego, wierność do końca – i to ona, nie wielkie dokonania podsumowuje wypełnienie powołania życiowego.

I wreszcie w przysiędze obiecujemy po trzecie: ślubuję ci uczciwość małżeńską. Jak to rozumieć? Nie ma jasno spisanej wykładni Kościoła, na temat rozumienia uczciwości małżeńskiej, tym bardziej, że przysięgi nie są identyczne w różnych językach. Ale popatrzmy co znaczy uczciwość w takim potocznym rozumieniu? Jak gram w szachy, to jestem uczciwy wtedy, kiedy przestrzegam zasad, czyli przesuwam konika ruchem konika, pionka ruchem pionka i lewą ręką nie ściągamy przy tym z szachownicy pionka przeciwnika. Uczciwość jest w potocznym rozumieniu przestrzeganiem zasad. Podpisałem umowę o pracę, jestem uczciwy, jeżeli wypełniam tę umowę. Jeżeli w jakimś tam gronie panują jakieś zasady, jestem uczciwy, kiedy je wypełniam, koniec. Natomiast w wyrażeniu: „uczciwość małżeńska” niektórzy analizujący wnikliwie przysięgę małżeńską, podkreślają to słowo „małżeńska”. Podkreślają również fakt, że uczciwość w języku polskim ma swoją genezę, wzięła się z uczczenia. Oznaczałoby to zatem: „ja ciebie uczczę poprzez małżeństwo”. Ale również to wskazuje, że ja ciebie uczczę jako mąż, jako żona, a więc co najmniej również poprzez sferę seksualności. Niektórzy mówią i też pewnie

słusznie, że uczciwość małżeńska jest taką klamrą, takim zwornikiem, który podsumowuje całą przysięgę, że z własnej woli, że w zdrowiu i chorobie, że przyjmę potomstwo, że miłość i wierność, bo to są zasady. A więc uczczenie, uczciwość jest wypełnieniem tych zasad. Czyli można i tak to rozumieć. Jakbyśmy tego nie rozumieli, możemy sobie te wszystkie interpretacje razem zestawić i będziemy mieli wyobrażenie, czym jest uczciwość małżeńska.

Po czwarte, słowa przysięgi: oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci. Te słowa są jednoznaczne i trudno je inaczej zinterpretować. I znowu można to robić jednostronnie: ja ciebie nie opuszczę, nawet gdy ty mnie opuścisz. Nie ma tego w treści przysięgi, ale to jest logiczne zrozumienie. Ja cię nie opuszczę, ja osobiście składam ci taką obietnicę, że cię nie opuszczę aż do śmierci, niezależnie od tego, co ty zrobisz. Taką deklarację podjęli wszyscy małżonkowie, składający przysięgę małżeńską, zawierający sakramentalne małżeństwo w Kościele katolickim. Czasem choroby powodują, że separacja bywa konieczna. Jednak separacja nie powinna być opuszczeniem. Troska o współmałżonka nadal obowiązuje. Zauważmy, na czym polega zasadnicza różnica między rozwodem a separacją: rozwód otwiera drogę, przynajmniej cywilnoprawną, do zawarcia następnego małżeństwa – czyli do legalnego względem prawa cudzołóstwa do końca życia. Jeżeli ja, mąż, jestem odpowiedzialny za zbawienie żony, to nie powinienem jej ułatwiać cudzołóstwa, wręcz przeciwnie, powinienem robić wszystko, żeby jej to utrudnić, bo na moim sumieniu leży jej zbawienie. I odwrotnie. Zgoda na rozwód spowoduje, że druga strona może wejść w cudzołożny związek w majestacie prawa cywilnego, legalnie, a przecież cudzołoży i do końca

życia będzie cudzołożyc. A gdzie moja troska o jej zbawienie? Więc nigdy nie doradzałem nikomu rozvodu i mam zamiar tak wytrwać do końca życia. Bo te same zabezpieczenia prawne mogą być w separacji, alimenty i różne inne, ograniczenia władzy, wszystko, co jest konieczne

Osobnym, bardzo rozległym problemem jest kwestia uznania za nieważne małżeństw przez sądy kościelne. W tym miejscu podkreślił jedynie, że nie istnieje możliwość orzeczenia czegoś takiego jak „rozwód kościelny”, można jedynie stwierdzić, że sakrament małżeństwa był nieważnie zawarty, czyli do zawarcia małżeństwa faktycznie nie doszło. Istnieje jeden, jedyny wyjątek, przywilej zarezerwowany wyłącznie dla papieża: gdy ważnie zawarte małżeństwo nie zostało skonsumowane, papież może je rozwiązać, pomimo że sakrament zaistniał. Poza tym „rozwodów kościelnych” nie ma. Oczywiście w przypadku, gdy małżeństwo zostało zawarte nieważnie, a dana osoba o tym nie wiedziała, nie ma grzechu, żyjąc w tym związku, ponieważ była przekonana, że jej małżeństwo jest sakramentalnie ważne. Natomiast w chwili, gdy sąd kościelny orzeka nieważność małżeństwa, osoby te są stanu wolnego i mają obowiązek żyć w czystości. Tutaj również bardzo bolesne jest, gdy taka para posiada dzieci. Znam małżeństwo, które jest naprawdę trudne i mieliby poważne podstawy (warunki wejścia w małżeństwo), aby wystąpić do trybunału o orzeczenie nieważności sakramentu. Oni jednak, w poczuciu przyzwoitości, w trosce o dobro dzieci trwają w tym związku. I również nie grzeszą, ponieważ małżeństwo jest ważne, dopóki Kościół nie orzeknie inaczej. I zapewniam, że te sprawy są bardzo, bardzo wnikliwie rozpatrywane – sądy kościelne nie szafują na prawo i lewo takimi wyrokami. Pewnie, że wszędzie, gdzie są ludzie,

może dojść do ryzyka nadużyć. Ale warto pamiętać, że prawnik, który się taką sprawą zajmuje, nazywa się „obrońcą węzła małżeńskiego”. I to jest jego podstawowe zadanie.

Mogę to powiedzieć z bólem po latach pracy z małżeństwami, że ogromna część małżeństw, które przychodzą do poradni w bardzo złym stanie, w ogóle nigdy nie powinna zostać zawarta. Kilka razy powiedziałem, przez czterdzieści lat praktyki, żeby sprawdzić, czy małżeństwo jest ważne. I w dwóch przypadkach zostało uznane przez Kościół za nieważne. W jednym chodziło o całkowitą niezdolność do oderwania się dziewczyny od rodziców. Kandydat do jej ręki musiał zamieszkać jeszcze rok przed ślubem w domu rodziców dziewczyny, bo oni musieli mu się przyjrzeć. Miał swój pokój, wynajmował kwaterę jako student i oni mu się przyglądali. Uznali, że kandydatura im odpowiada, ale po ślubie, chyba po dwóch tygodniach, zmienili zdanie i wystawili mu walizki za drzwi. A wcześniej, kilka dni po ślubie, gdy wyszedł z żoną i z psem na spacer (do lasu, kilkaset metrów od domu!) mamusia zadzwoniła do córki:

– Szybko, natychmiast wracaj do domu! Córka zostawiła psa i męża, pobiegła do mamy.

– Co się stało?!

– A, nic, tak mi się smutno zrobiło...

Mamusia była całkowicie niezdolna do wypuszczenia córki z domu, córka niezdolna całkowicie do oderwania się od swojej mamusi. Patologia z pewnością. W drugim przypadku wchodził w rachubę ukryty przed ślubem okultyzm i całkowita niezgoda na dzieci, co dało się udokumentować.

Warto wiedzieć, na przykład, że o ile niepłodność nie jest przeszkodą do małżeństwa, to impotencja jest. Kłamstwo w rzeczy ważnej jest podstawową przeszkodą zrywającą.

Oznacza to, że jeśli jedna ze stron przed ślubem zataiła świadomie ciężką chorobę – na przykład psychiczną – a współmałżonek, wiedząc o tym, nie zgodziłby się na ślub, to jest to przeszkoda zrywająca. Nawet znam sytuację z ukrytym alkoholizmem. Nałóg był solidarnie ukrywany przez całą rodzinę, młodzi przez dwa lata chodzili ze sobą i dziewczyna się nie zorientowała, że on jest alkoholikiem. Wydało się na weselu. To małżeństwo również uznano za nieważnie zawarte. Gdyby ona wiedziała, że on jest nałogowym alkoholikiem, to by nigdy za niego nie wyszła.

Ale w każdym razie, to też warto wiedzieć, że tylko to, co się wydarzyło do chwili ślubu, wpływa na ważność lub nieważność małżeństwa. Cokolwiek by się wydarzyło po ślubie, to już jest krzyż tego małżeństwa. Tych tak zwanych przeszkód zrywających jest kilkanaście. Od 1983 roku (nowy Kodeks Prawa Kanonicznego) doszedł paragraf i z niego jest teraz najwięcej orzeczeń: niezdolność do podjęcia podstawowych funkcji małżeńskich i rodzicielskich. Kiedy tak patrzę na narzeczonych, których czasem spotykam, to obawiam się, że zdecydowana większość jest w tym sensie niezdolnych. To jest dramat duszpastry, przygotowujących do ślubu młodych, którzy są zupełnie do tego niedojrzali, a już zaczęli żyć „jak małżeństwo”.

Na koniec, ku pocieszeniu serc: św. Matka Teresa z Kalkuty, zapytana przez dziennikarza, jak zmienić świat na lepsze, odpowiedziała:

– Pan zmieni siebie, ja siebie – i świat będzie lepszy.

Jak zmienić małżeństwo na lepsze? Mąż zmieni siebie, żona siebie – i już. Wystarczy, żeby tylko jedna z osób wzrosła w dobru, aby suma dobra w małżeństwie wzrosła. To przecież jest czysta arytmetyka.

A tym, którym się wydaje, że dla nich nie ma już żadnej nadziei, dedykuję zdanie papieża Benedykta XVI, wypowiedziane (z Rzymu) na zakończenie Światowego Spotkania Rodzin w Meksyku w styczniu 2009 roku:

**„Najważniejsze, co katolik może dać światu, to OSO-
BISTA ŚWIĘTOŚĆ”**

UWAGI DOTYCZĄCE PROJEKTÓW LEGALIZACJI ZWIĄZKÓW MIĘDZY OSOBAMI HOMOSEKSUALNYMI

WSTĘP

1. Różne kwestie dotyczące homoseksualizmu były w ostatnim czasie wielokrotnie poruszane przez Ojca Świętego Jana Pawła II i odpowiednie dykasterie Stolicy Apostolskiej.⁽¹⁾ Chodzi bowiem o zjawisko moralnie i społecznie niepokojące, także w tych krajach, w których nie nabiera jakiegoś szczególnego wymiaru z punktu widzenia rozporządzenia prawa. Budzi natomiast większy niepokój w krajach, które już zalegalizowały albo zamierzają zalegalizować związki homoseksualne, w niektórych przypadkach włącznie z uprawnieniem do adopcji dzieci. Poniższe Uwagi nie zawierają nowych elementów doktrynalnych; ich celem jest przypomnienie podstawowych prawd związanych z powyższym problemem i wskazanie kilku argumentów o charakterze racjonalnym, mogących posłużyć biskupom w podejmowaniu bardziej konkretnych działań z uwzględnieniem sytuacji istniejących w różnych regionach świata: działań służących ochronie i promocji godności małżeństwa jako podstawy rodziny i trwałości społeczeństwa, którego ta instytucja jest cześcią konstytutywną. Uwagi te mają na celu również ukierunkowanie działań polityków katolickich, którym wskazują zasady postępowania zgodne z sumieniem chrześcijańskim

w sytuacjach, gdy mają oni do czynienia z projektami ustawodawczymi związanymi z tą problematyką.(2) Jako że dotyczą one prawa moralnego naturalnego, poniższe argumenty proponowane są nie tylko wierzącym, ale także wszystkim osobom zajmującym się propagowaniem i obroną dobra wspólnego społeczności.

I. ISTOTA I NIEODZOWNE PRZYMIOTY MAŁŻEŃSTWA

2. Nauczanie Kościoła o małżeństwie i o komplementarności płci podejmuje prawdę wskazaną przez prawy rozum (*recta ratio*) i jako taką przyjętą przez wszystkie wielkie kultury świata. Małżeństwo nie jest jakimkolwiek związkiem między osobami. Zostało ono ustanowione przez Stwórcę w swej istocie, zasadniczych właściwościach i celach.(3) Żadna ideologia nie może pozbawić ludzkiego ducha pewności, że małżeństwo istnieje tylko między dwiema osobami różnej płci, które przez wzajemne osobowe oddanie, im właściwe i wyłączone, dążą do jedności ich osób. W ten sposób udoskonalają się wzajemnie, by współpracować z Bogiem w przekazywaniu i wychowaniu nowego życia ludzkiego.

3. Prawda naturalna o małżeństwie została potwierdzona przez Objawienie zawarte w tekstach biblijnych o stworzeniu, będących również wyrazem pierwotnej mądrości człowieka, w której daje się słyszeć głos samej natury. Istnieją trzy podstawowe elementy stwórczego planu dotyczącego małżeństwa, o którym mówi Księga Rodzaju.

Przed wszystkim człowiek, obraz Boga, został stworzony „mężczyzną i niewiastą” (Rdz 1,27). Mężczyzna i kobieta są sobie równi jako osoby i dopełniają się jako odrębne płci. Płciowość z jednej strony należy do sfery biologicznej, z drugiej zaś, zostaje wyniesiona w stworzeniu ludzkim na nowy poziom – osobowy, na którym ciało i duch się jednoczą.

Poza tym, małżeństwo zostało ustanowione przez Stwórcę jako forma życia, w której realizuje się wspólnota osób związana z pełnieniem aktów płciowych. „Dlatego mężczyzna opuszcza ojca swego i matkę swoją i łączy się ze swą żoną tak ściśle, że stają się jednym ciałem” (Rdz 2,24).

Wreszcie, Bóg zechciał powierzyć temu związkowi mężczyzny i kobiety szczególne uczestnictwo w swym dziele stwórczym. Dlatego pobłogosławił mężczyznę i niewiastę tymi słowami: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się” (Rdz 1,28). W planie Stwórcy komplementarność płci i płodność należą więc do samej natury instytucji małżeństwa.

Co więcej, związek małżeński mężczyzny i kobiety został wyniesiony przez Chrystusa do godności sakramentu. Kościół naucza, że małżeństwo chrześcijańskie jest znakiem przymierza Chrystusa z Kościołem (por. Ef 5,32). To chrześcijańskie znaczenie małżeństwa nie umniejsza głęboko ludzkiej wartości związku małżeńskiego mężczyzny i kobiety, ale ją potwierdza i umacnia (por. Mt 19,3-12; Mk 10,6-9).

4. Nie istnieje żadna podstawa do porównywania czy zakładania analogii, nawet dalekiej, między związkami homoseksualnymi a planem Bożym dotyczącym małżeństwa i rodziny. Małżeństwo jest święte, natomiast związki homoseksualne pozostają w sprzeczności z naturalnym prawem moralnym.

Czyny homoseksualne bowiem „wykluczają z aktu płciowego dar życia. Nie wynikają z prawdziwej komplementarności uczuciowej i płciowej. W żadnym wypadku nie będą mogły zostać zaaprobowane”.(4)

W Piśmie Świętym stosunki homoseksualne „są potępione jako poważna deprawacja... (cf. Rz 1,24-27; 1 Kor 6,10; 1 Tm 1,10). Ten sąd Pisma Świętego nie uprawnia do stwierdzenia, że wszyscy dotknięci tą nieprawidłowością, mają tym samym winę osobistą; świadczy jednak, że akty homoseksualizmu są wewnętrznie nieuporządkowane”.(5) Taką samą ocenę moralną znajdujemy u wielu pisarzy chrześcijańskich pierwszych wieków(6) i została ona jednoznacznie przyjęta przez Tradycję katolicką.

Niemniej, według nauczania Kościoła, mężczyźni i kobiety o skłonnościach homoseksualnych „powinni być traktowani z szacunkiem, współczuciem i delikatnością. Powinno się unikać wobec nich jakichkolwiek oznak niesłusznej dyskryminacji”.(7) Takie osoby są wezwane, tak jak inni chrześcijanie, do życia w czystości.(8) Ale skłonność homoseksualna jest „obiektywnie nieuporządkowana”(9) i czyny homoseksualne „są grzechami pozostającymi w głębokiej sprzeczności z czystością”.(10)

II. POSTAWY WOBEC PROBLEMU ZWIĄZKÓW HOMOSEKSUALNYCH

5. Wobec zjawiska związków homoseksualnych, faktycznie istniejących, władze cywilne przyjmują różne postawy: czasem ograniczają się do tolerowania tego zjawiska; niekiedy zgłaszają propozycje legalizacji takich związków, pod

pretekstem zapobieżenia – w odniesieniu do niektórych praw – dyskryminacji osoby, która współżyje z osobą tej samej płci; w niektórych przypadkach popierają nawet równouprawnienie związków homoseksualnych i małżeństw we właściwym tego słowa znaczeniu, nie wykluczając uznania zdolności prawnej do starania o adopcję dzieci.

Tam gdzie państwo przyjmuje politykę faktycznej tolerancji, nie pociągającej za sobą ustawodawstwa, które byłoby wyraźnym zalegalizowaniem takich form życia, należy właściwie rozróżnić poszczególne aspekty zagadnienia. Sumienie moralne wymaga, aby w każdym przypadku, być świadkami pełnej prawdy moralnej, której przeciwstawiają się zarówno akceptacja stosunków homoseksualnych, jak niesprawiedliwa dyskryminacja osób o skłonnościach homoseksualnych. Należy zatem postępować w sposób dyskretny i roztropny, mając na uwadze, przykładowo, następujące cele: ujawnić ewentualne instrumentalne czy ideologiczne wykorzystanie tej tolerancji; wyrazić jednoznacznie niemoralność tego typu związków; przypomnieć państwu o konieczności utrzymania zjawiska w granicach, tak by nie stanowiło ono zagrożenia dla moralności społecznej i, przede wszystkim, nie narażało młodych pokoleń na błędne koncepcje płciowości i małżeństwa, co pozbawiłoby je koniecznej ochrony i przyczyniłoby się, ponadto, do rozszerzania się samego zjawiska. Tym, którzy w imię tej tolerancji chcą podejmować działania na rzecz przyznania określonych praw osobom homoseksualnym współżyjącym ze sobą, należy przypomnieć, że tolerowanie zła jest czymś zupełnie odmiennym od aprobowania i legalizowania zła.

W wypadku prawnego zalegalizowania związków homoseksualnych bądź zrównania prawnego związków

homoseksualnych i małżeństw wraz z przyznaniem im praw, które są właściwe temu ostatniemu, konieczne jest przeciwstawienie się w sposób jasny i wyrazisty. Należy wstrzymać się od jakiegokolwiek formalnej współpracy w promowaniu i wprowadzaniu w życie praw tak wyraźnie niesprawiedliwych, a także, jeśli to możliwe, od działania na poziomie wykonawczym. W tej materii każdy może odwołać się do prawa odmowy posłuszeństwa z pobudek sumienia.

III. ARGUMENTY RACJONALNE PRZECIWKO LEGALIZACJI PRAWNEJ ZWIĄZKÓW HOMOSEKSUALNYCH

6. Zrozumienie racji, powodujących konieczność przeciwstawienia się w ten sposób instancjom starającym się o zalegalizowanie związków homoseksualnych wymaga kilku specyficznych uwag etycznych różnych w swej naturze.

W porządku odpowiadającym prawemu rozumowi (*recta ratio*)

Zadanie prawa cywilnego jest niewątpliwie bardziej ograniczone niż prawa moralnego, (11) a prawo cywilne nie może wchodzić w konflikt z prawym rozumem (*recta ratio*) bez utraty tym samym mocy wiążącej dla sumienia. (12) Każde prawo ustanowione przez ludzi ma rację bytu jako prawo na tyle na ile jest zgodne z naturalnym prawem moralnym, uznawanym przez prawy rozum (*recta ratio*), i na ile respektuje

w szczególności niezbywalne prawa każdej osoby.(13) Ustawodawstwa przychylnie związkom homoseksualnym są sprzeczne z prawym rozumem, ponieważ udzielają gwarancji prawnych analogicznych do tych, jakie przysługują instytucji małżeństwa, związkom między dwoma osobami tej samej płci. Biorąc pod uwagę wartości, które się z tym wiążą, państwo nie może zalegalizować takich związków bez uchybienia swemu obowiązkowi promowania i ochrony zasadniczej instytucji dla dobra wspólnego jaką jest małżeństwo.

Można by zapytać w jakim sensie może być przeciwne dobru wspólnemu rozporządzenie, które nie nakazuje żadnego szczególnego zachowania, a ogranicza się do prawnego uznania faktycznej rzeczywistości, która pozornie wydaje się nie powodować niesprawiedliwości wobec nikogo. W tym względzie należy rozważyć przede wszystkim różnicę istniejącą między zachowaniem homoseksualnym jako zjawiskiem prywatnym, a tym samym zachowaniem jako relacją społeczną prawnie przewidzianą i zaaprobowaną, włącznie z nadaniem jej rangi jednej z instytucji systemu prawnego. Ten drugi przypadek nie tylko jest o wiele poważniejszy, ale przybiera zasięg o wiele większy i głębszy, przez co prowadziłby do zmian całego porządku społecznego, które okazałyby się sprzeczne z dobrem wspólnym. Prawa cywilne są zasadami ukierunkowującymi życie człowieka w łonie społeczności, ku dobru albo ku złu. „Odgrywają rolę bardzo ważną, a czasem decydującą w procesie kształtowania określonej mentalności i obyczaju”.(14) Formy życia i wzory w nich wyrażone nie tylko kształtują zewnętrznie życie społeczne, ale prowadzą do modyfikowania w nowych pokoleniach zrozumienia i oceny zachowań. Zalegalizowanie związków homoseksualnych powodowałoby

zatem przysłonięcie niektórych fundamentalnych wartości moralnych i dewaluację instytucji małżeństwa.

W porządku biologicznym i antropologicznym

7. W związkach homoseksualnych brakuje całkowicie elementów biologicznych i antropologicznych małżeństwa i rodziny, które mogłyby być racjonalną podstawą dla zalegalizowania prawnego takich związków. Nie są one w stanie zapewnić odpowiednio prokreacji i trwania rodzaju ludzkiego. Ewentualne posłużenie się środkami udostępnionymi przez ostatnie odkrycia w dziedzinie sztucznego zapłodnienia, poza tym że wiążą się z poważnym uchybieniem szacunkowi należnemu godności ludzkiej,⁽¹⁵⁾ nie zmieniłyby bynajmniej tej ich nieadekwatności.

W związkach homoseksualnych jest też całkowicie nieobecny wymiar małżeński, który stanowi formę ludzką i uporządkowaną relacji płciowych. Są one rzeczywiście ludzkie tylko wtedy i tylko na tyle na ile wyrażają i umacniają wzajemne wsparcie płci w małżeństwie i pozostają otwarte na przekazywanie życia.

Jak pokazuje doświadczenie, brak dwubiegunowości płciowej stwarza przeszkody w normalnym rozwoju dzieci ewentualnie włączonych w takie związki. Brakuje im doświadczenia macierzyństwa albo ojcostwa. Włączenie dzieci do związków homoseksualnych na drodze adopcji oznacza w rzeczywistości dokonanie przemocy na tych dzieciach w sensie, że wykorzystuje się ich bezbronność dla włączenia ich w środowisko, które nie sprzyja ich pełnemu rozwojowi ludzkiemu.

Oczywiście takie postępowanie byłoby poważnie niemoralne i pozostawałoby w jawnej sprzeczności z zasadą uznaną także przez Konwencję międzynarodową ONZ o prawach dzieci, według której najważniejszą wartością, którą trzeba chronić, jest w każdym wypadku dobro dziecka, będącego istotą słabszą i bezbronną.

W porządku społecznym

8. Społeczność swe przetrwanie zawdzięcza rodzinie opierającej się na małżeństwie. Nieuniknioną konsekwencją legalizacji prawnej związków homoseksualnych jest podważenie definicji małżeństwa, przez co staje się ono instytucją, która, w swej naturze prawnie uznanej, traci zasadnicze odniesienie do aspektów związanych z heteroseksualnością, jak na przykład zadanie prokreacji i wychowania. Jeśliby z punktu widzenia prawnego małżeństwo między dwoma osobami odmiennych płci zostało uznane tylko za jedno z możliwych małżeństw, koncepcja małżeństwa uległaby radykalnej zmianie, z poważną szkodą dla dobra wspólnego. Stawiając związki homoseksualne na tej samej płaszczyźnie prawnej co małżeństwo albo rodzinę, państwo działa arbitralnie i wchodzi w konflikt z własnymi obowiązkami.

Dla poparcia legalizacji związków homoseksualnych nie można przywoływać zasady szacunku i niedyskryminacji wobec każdej osoby. Bowiern czynienie różnic między osobami albo odmowa uznania prawnego czy przyznania pewnego świadczenia społecznego nie są dopuszczalne tylko wtedy, gdy pozostają w sprzeczności ze sprawiedliwością. (16) Nieprzyznanie statusu

społecznego i prawnego małżeństwa formom życia, które nie są i nie mogą być małżeńskimi, nie przeciwstawia się sprawiedliwości, ale przeciwnie, jest przez nią wymagane.

Nie można powołać się w sposób racjonalny również na zasadę słusznej autonomii osobistej. Inną jest rzeczą to, że pojedynczy obywatele mogą swobodnie zajmować się działalnością, dla której żywią zainteresowanie, oraz że działania te generalnie mieszczą się w powszechnym prawie cywilnym do wolności; zupełnie inną zaś jest to, że działania, które nie wnoszą znaczącego ani pozytywnego wkładu w rozwój osoby i społeczności, miałyby otrzymać od państwa specyficzne i określone uznanie prawne. Związki homoseksualne nie realizują, nawet w najdalej idącej analogii, zadań, ze względu na które małżeństwo i rodzina zasługują na właściwe i specyficzne uznanie prawne. Istnieją natomiast słuszne racje, by stwierdzić, że takie związki są szkodliwe dla prawidłowego rozwoju społeczności ludzkiej, szczególnie jeśli dopuściłoby się do wzrostu ich efektywnego wpływu na tkankę społeczną.

W porządku prawnym

9. Jako że pary małżeńskie mają za zadanie zagwarantowanie następstwa pokoleń, a zatem wyraźnie przyczyniają się dla dobra publicznego, prawo cywilne nadaje im znaczenie instytucjonalne. Związki homoseksualne natomiast nie wymagają szczególnej uwagi ze strony ustawodawstwa prawnego, ponieważ nie odgrywają wspomnianej roli dla dobra wspólnego.

Nie jest słuszna argumentacja, według której zalegalizowanie prawne związków homoseksualnych jest rzekomo

konieczne dla zapobieżenia sytuacji, w której współżyjący homoseksualiści straciliby, ze względu na sam fakt ich współżycia, rzeczywiste uznanie ich powszechnych praw, które mają jako osoby i jako obywatele. W rzeczywistości, mogą oni zawsze odwołać się – jak wszyscy obywatele, na podstawie swej prywatnej autonomii – do powszechnego prawa do ochrony sytuacji prawnych wspólnego interesu. Stanowi natomiast poważną niesprawiedliwość poświęcenie dobra wspólnego i słusznego prawa rodziny w celu uzyskania dóbr, które mogą i muszą być gwarantowane w sposób nie szkodzący całemu organizmowi społecznemu.(17)

IV. POSTAWY POLITYKÓW KATOLICKICH WOBEC USTAWODAWSTWA PRZYCHYLNEGO ZWIAZKOM HOMOSEKSUALNYM

10. Jeśli wszyscy wierni mają obowiązek przeciwstawienia się zalegalizowaniu prawnemu związków homoseksualnych, to politycy katoliccy zoobowiązani są do tego w sposób szczególny, na płaszczyźnie im właściwej. Wobec projektów ustaw sprzyjających związkom homoseksualnym trzeba mieć na uwadze następujące wskazania etyczne.

W przypadku gdy po raz pierwszy zostaje przedłożony Zgromadzeniu ustawodawczemu projekt prawa przychylny zalegalizowaniu związków homoseksualnych, parlamentarzysta katolicki ma obowiązek moralny wyrazić jasno i publicznie swój sprzeciw i głosować przeciw projektowi ustawy. Oddanie głosu na rzecz tekstu ustawy tak szkodliwej dla dobra wspólnego społeczności jest czynem poważnie niemoralnym.

W przypadku, kiedy parlamentarzysta katolicki ma do czynienia z prawem przychylnym związkom homoseksualnym już ustanowionym, musi on przeciwstawić się w możliwy dla siebie sposób i uczynić publicznym swój sprzeciw: chodzi o należyte świadectwo prawdzie. Jeśli nie byłoby możliwe całkowite uchylenie rozporządzenia prawnego tego typu, odwołując się do wskazań zawartych w Encyklice *Evangelium vitae*, «postąpiłby słusznie, udzielając swego poparcia propozycjom, których celem jest ograniczenie szkodliwości takiej ustawy i zmierzających w ten sposób do zmniejszenia jej negatywnych skutków na płaszczyźnie kultury i moralności publicznej», pod warunkiem że będzie «jasny i znany wszystkim» jego «osobisty absolutny sprzeciw» wobec praw tego rodzaju i że zostanie zażegnane niebezpieczeństwo zgorszczenia.⁽¹⁸⁾ Nie oznacza to, jakoby w tej materii ustawa bardziej restrykcyjna mogła być uważana za prawo sprawiedliwe albo przynajmniej dopuszczalne; przeciwnie, chodzi raczej o słuszną i obowiązkową próbę dążenia do przynajmniej częściowego zniesienia niesprawiedliwego prawa, gdy jego całkowite uchylenie nie jest w danym momencie możliwe.

ZAKOŃCZENIE

11. Kościół naucza, że szacunek dla osób homoseksualnych nie może w żadnym wypadku prowadzić do aprobowania zachowania homoseksualnego albo do zalegalizowania związków homoseksualnych. Wspólne dobro wymaga, aby prawa uznawały, popierały i chroniły związki małżeńskie jako podstawę rodziny, pierwszej komórki społeczeństwa.

Prawne uznanie związków homoseksualnych albo zrównanie ich z małżeństwem oznaczałoby nie tylko aprobatę zachowania wewnątrznie nieuporządkowanego i w konsekwencji uczynienie go modelem dla aktualnego społeczeństwa, ale też zagubienie podstawowych wartości, należących do wspólnego dziedzictwa ludzkości. Kościół nie może nie bronić tych wartości ze względu na dobro ludzi i całej społeczności.

Jego Świątobliwość Jan Paweł II w czasie audiencji udzielonej 28 marca 2003 r. niżej podpisanemu Kardynałowi Prefektowi zatwierdził niniejsze uwagi, uchwalone na zebraniu plenarnym Kongregacji Nauki Wiary, i nakazał ich opublikowanie.

Rzym, w siedzibie Kongregacji Nauki Wiary,
3 czerwca 2003 r., wspomnienie świętych
męczenników Karola Lwangi i towarzyszy.

Joseph Kard. Ratzinger
Prefekt

Angelo Amato, S.D.B.
Arcybiskup tytularny Sila
Sekretarz

PRZYPISY

- ¹ Por. Jan Paweł II, Rozważanie przed modlitwą „Anioł Pański”, 20 lutego 1994 i 19 czerwca 1994; Przemówienie do Uczestników Zebrania Plenarnego Papieskiej Rady ds. Rodziny, 24 marca 1999; Katechizm Kościoła Katolickiego, nn. 2357-2359, 2396; Kongregacja Nauki Wiary, Deklaracja Persona humana, 29 grudnia 1975, n. 8; List do Biskupów Kościoła Katolickiego o duszpasterstwie osób homoseksualnych, 1 października 1986; Uwagi dotyczące odpowiedzi na propozycje ustaw o niedyskryminacji osób homoseksualnych, 24 lipca 1992; Papieska

- Rada do Spraw Rodziny, List do Przewodniczących Konferencji Episkopatów Europy w sprawie rezolucji Parlamentu Europejskiego dotyczącej związków homoseksualnych, 25 marca 1994; Rodzina, małżeństwo i „związki de facto”, 26 lipca 2000, n. 23.
- ² Por. Kongregacja Nauki Wiary, Nota doktrynalna o niektórych aspektach działalności i postępowania katolików w życiu politycznym, 24 listopada 2002, n. 4.
- ³ Por. Sobór Watykański II, Konstytucja duszpasterska *Gaudium et spes*, n. 48.
- ⁴ Katechizm Kościoła Katolickiego, n. 2357.
- ⁵ Kongregacja Nauki Wiary, Deklaracja *Persona humana*, 29 grudnia 1975, n. 8.
- ⁶ Por. na przykład św. Polikarp, List do Filipian, V, 3; św. Justyn, Apologia I, 27, 1-4; Atenagoras, Prośba za chrześcijanami, 34.
- ⁷ Katechizm Kościoła Katolickiego, n. 2358; por. Kongregacja Nauki Wiary, List do Biskupów Kościoła Katolickiego o duszpasterstwie osób homoseksualnych, 1 października 1986, n. 10.
- ⁸ Por. Katechizm Kościoła Katolickiego, n. 2359; Kongregacja Nauki Wiary, List do Biskupów Kościoła Katolickiego o duszpasterstwie osób homoseksualnych, 1 października 1986, n. 12.
- ⁹ Katechizm Kościoła Katolickiego, n. 2358.
- ¹⁰ Tamże, n. 2396.
- ¹¹ Por. Jan Paweł II, Encyklika *Evangelium vitae*, 25 marca 1995, n. 71.
- ¹² Por. tamże, n. 72.
- ¹³ Por. Św. Tomasz z Akwinu, *Summa Theologiae*, I-II, q. 95, a. 2.
- ¹⁴ Jan Paweł II, Encyklika *Evangelium vitae*, 25 marca 1995, n. 90.
- ¹⁵ Por. Kongregacja Nauki Wiary, Instrukcja *Donum vitae*, 22 lutego 1987, II. A. 1-3.
- ¹⁶ Por. Św. Tomasz z Akwinu, *Summa Theologiae*, II-II, q. 63, a. 1, c.
- ¹⁷ Poza tym nie należy zapominać, że istnieje zawsze „niebezpieczeństwo, że ustawodawstwo uznające homoseksualizm za powód do domagania się praw mogłoby w praktyce zachęcić osoby o skłonności homoseksualnej do jej ujawniania, a nawet do poszukiwania partnera w celu lepszego wykorzystania możliwości prawnych” (Kongregacja Nauki Wiary, Uwagi dotyczące odpowiedzi na propozycje ustaw o niedyskryminacji osób homoseksualnych, 24 lipca 1992, n. 14).
- ¹⁸ Jan Paweł II, Encyklika *Evangelium vitae*, 25 marca 1995, n. 73.

Źródło: http://www.vatican.va/roman_curia/congregations/cfaith/documents/rc_con_cfaith_doc_20030731_homosexual-union_pl.html

SPIS TREŚCI

WSTĘP	5
Zagubienie świata	8
Małżeństwa heteroseksualne (normalne)	12
1. GWAŁCENIE PRAWA NATURY	18
Niszczenie katolicyzmu w świecie	18
Jedność małżeńska a dar rodzicielstwa	21
2. PODSTAWY SZCZĘŚCIA CZŁOWIEKA	39
Definicja szczęścia	39
Wzrost ku świętości	44
Relacja miłości jako jedyne źródło szczęścia	49
Relacja z Bogiem	57
3. CZYNNIKI UTRWALAJĄCE WIĘŹ MAŁŻEŃSKĄ	62
Cel sakramentu małżeństwa	62
Przyłgnięcie do Boga	66
Stałe kierownictwo duchowe	69
Pokonywanie egoizmu	73
4. POWODY KRYZYSU MAŁŻEŃSTWA I RODZINY	78
Ataki na małżeństwo i rodzinę	78
Miłość a uczucia	83
Niedojrzałość mężczyzn i demoralizacja kobiet ..	94
Niewłaściwa relacja z teściami	109

5. KOMUNIKACJA JAKO NARZĘDZIE BUDOWANIA KOMUNII ..	116
Nieumiejętność rozmowy	116
Elementy tzw. łańcucha komunikacji	122
Podstawowe błędy nadawcy i możliwe błędy po stronie odbioru	125
Rozmowa w gniewie	134
Obecność osób postronnych	140
Czas to miłość	143
Owoce dobrej rozmowy	148
6. PSYCHIKA MĘSKA I KOBIECA	154
Próba zmiany myślenia	154
Tereny ojcowania i matkowania	172
Wrażliwość na bodźce	180
Zdolność do koncentracji i podzielność uwagi ..	185
Docenianie zalet współmałżonka	196
7. SEKSUALNOŚĆ KOBIETY I MĘŻCZYZNY	212
Współczesne mity na temat seksualności	213
Mit spontaniczności	215
Mit dopasowania seksualnego	216
„Mityczne” oczekiwania w sferze seksualności ..	220
Mit, że łądactwo prowadzi do szczęścia	222
Mit o konieczności działania seksualnego	225
Poranienia i chore tęsknoty	226
Czynniki rujnące intymność małżeńską	229
Sposoby odbudowania zniszczonej komunii osób	245
ZAKOŃCZENIE	264

KONGREGACJA NAUKI WIARY

UWAGI DOTYCZĄCE PROJEKTÓW LEGALIZACJI ZWIĄZKÓW MIĘDZY OSOBAMI HOMOSEKSUALNYMI

I. Istota i nieodzowne przymioty małżeństwa	278
II. Postawy wobec problemu związków homoseksualnych	280
III. Argumenty racjonalne przeciwko legalizacji prawnej związków homoseksualnych	282
IV. Postawy polityków katolickich wobec ustawodawstwa przychylnego związkom homoseksualnym	287
Zakończenie	288

KS. MAREK DZIEWIECKI

SYCHAR
POKONYWANIE
TRUDNOŚCI
W MAŁŻEŃSTWIE
I RODZINIE



O. JACEK SALIJ OP

SYCHAR
MAŁŻEŃSTWO
JEST ŚWIĘTE

Najlepsze wino na końcu



SYCHAR ZNOWU RAZEM

Jak wrócić do sakramentalnego małżonka,
wychowując nieślubne dzieci?

ŚWIADECTWA



ANNA JEDNA

SYCHAR

ILE JEST WARTA
TWOJA ○BRĄCZKA?

książka dla pragnących kochać
mimo wszystko



SYCHAR

DROGA KRZYŻOWA
MAŁŻONKÓW
W KRYZYSIE

Dwoje ludzi jedna Droga Krzyżowa



MARZENA ZIĘBA

SYCHAR
ROZWAŻANIA
RÓŻAŃCOWE

Zróbcie wszystko
cokolwiek wam powie Jezus





WWW.WYDAWNICTWOFIDES.PL



Wydawnictwo Fides, ul. Koziennicka 17, 30-397 Kraków
tel. 605 416 946, e-mail: fides@wydawnictwofides.pl
www.WydawnictwoFides.pl

Wspólnota
Trudnych
Małżeństw
Sychar



SYCHAR

to miasteczko położone w Samarii, obok którego przy studni Jakuba miała miejsce rozmowa Chrystusa z Samarytanką. Pan Jezus powiedział Samarytance prawdę o jej życiu i wskazał na Siebie jako źródło wody żywej.

Wspólnota Trudnych Małżeństw Sychar wspiera sakramentalnych małżonków, których małżeństwa przeżywają kryzys. Opiera się na prawdzie o mocy sakramentu, który jest darem od Boga, a On – Bóg daje siłę na odrodzenie wspólnoty małżeńskiej w każdej sytuacji, nawet, po ludzku patrząc, beznadziejnej.

www.sychar.org

ISBN 978-83-61860-94-5



9 788361 860945

CENA: 35 ZŁ

WydawnictwoFides.pl

Zdaję sobie sprawę, że sięgnie po tę książkę wiele osób, których życie nie wygląda różowo. Także to życie sakramentalne, małżeńskie. Żyjąc w katolickim małżeństwie, niejednokrotnie mamy możliwość przekonać się aż nadto wyraźnie, że sakrament wcale nie gwarantuje życia bezproblemowego i lekkiego. Nie, on jest gwarancją czegoś o wiele, wiele cenniejszego: że we wszystkim, cokolwiek nas spotyka, jest obecny żywy Bóg, Jezus Chrystus. Bóg zawsze daje nam jakąś trudność, a my nie zawsze rozumiemy, dlaczego. Mimo to powinniśmy wierzyć, że trudności mają sens, one są darem i łaską, jak wszystko, cokolwiek otrzymujemy – bo poprzez trudności mamy wzrastać do świętości.

Jacek Pulikowski

Zauważmy, na czym polega zasadnicza różnica między rozwodem a separacją: rozwód otwiera drogę, przynajmniej cywilnoprawną, do zawarcia następnego małżeństwa – czyli do legalnego względem prawa cudzołóstwa do końca życia. Jeżeli ja, mąż, jestem odpowiedzialny za zbawienie żony, to nie powinienem jej ułatwiać cudzołóstwa, wręcz przeciwnie, powinienem robić wszystko, żeby jej to utrudnić, bo na moim sumieniu leży jej zbawienie. I odwrotnie. Zgoda na rozwód spowoduje, że druga strona może wejść w cudzołożny związek w majestacie prawa cywilnego, legalnie, a przecież cudzołoży i być może do końca życia będzie cudzołożyc. A gdzie moja troska o jej zbawienie? Więc nigdy nie doradzałem nikomu rozwodu i mam zamiar tak wytrwać do końca życia.

Jacek Pulikowski